

Robinson Kruzoe.

Grudziądz.
Czcionkami
W. Kulerskiego
1921.

Robinson Kruzoe

czyli

przygody młodzieńca angielskiego na dalekim świecie

podług Wł. Anczyca.



Z obrazkami.

Grudziądz

Drukiem i nakładem Wiktora Kulerskiego.




BIBLIOTHECA
UNIV. JAGELL.
CRACOVIENSIS

I.

Urodzenie moje — chęci — przeszkody.

W roku 1654 był ojciec mój kupcem w Hull, mieście portowem wschodniej Anglii. Miał się wcale nieźle, bo prowadził znaczny handel towarami zamorskimi, ale nie był szczęśliwym. Z trzech synów ja tylko zostawałem w domu; najstarszy brat zaciągnął się do marynarki królewskiej i zginął w bitwie z Hiszpanami; średni, puściwszy się przed dziesięciu laty na morze, przepadł jak kamień w wodzie; a i ze mnie rodzice nie mogli się spodziewać wielkiej pociechy, gdyż przyznam się, że byłem próżniakiem i unikałem pracy jak zaraźliwej choroby.

Ojciec, pragnąc, abym wyszedł na porządnego człowieka, starał się dać mi jak najlepsze wychowanie, trzymał nauczyciela, potem posełał do szkół, ale nieszczęściem przed kilku laty został rażony paraliżem i nie mógł opuszczać swego pokoju. Matka musiała się więc zajmować nietylko gospodarstwem domowem, ale i handlem. Ja zaś, sam sobie zostawiony, wymykałem się z pod oka ojca, a z matką robiłem co mi się podobało, bo jak tylko zaczęła czynić mi najmniejsze uwagi, zaraz udawałem chorego, a

biedna kobieta, drżąc o życie najmłodszego i jedynego syna, pozwalała na wszystkie moje wybryki.

Więc też zamiast iść do szkoły, albo siedzieć nad książką, wymykałem się z domu i biegłem do portu, gdzie mi się nadzwyczajnie podobało. Bo też w porcie było co widzieć: różne okręty, jedno, dwu i trzymasztowe, ogromne statki kupieckie rozmaitych narodów i zgrabne łodzie nadbrzeżnych rybaków. Różnokolorowe bandery, rozmaite ubiory majtków, wszystko to było bardzo ładne i zajmujące. Kiedy zaś przypadkiem okręt liniowy albo fregata wojenna zawitały do portu, to już dla mnie była prawdziwa uroczystość.

Wdajże się przytem w pogadankę z majtkiem, co to wrócił gdzieś z Indyi albo Ameryki, który się napatrzył czarnym jak kruk murzynom, żółtym Chińczykom, albo czerwonym Amerykanom; co to jak zacznie rozpowiadać o lasach brazylijskich, nieprzebytych, zarosłych olbrzymiemi drzewami; o różnobarwnych papugach, złotopiórych kolibrach, gromadach swawolnych małpek, na których widok trzeba się brać za boki od śmiechu, to aż serce wydziera się w tamte strony. Cóż dopiero, jeżeli stary sternik pocznie opisywać, jakie to swobodne i wesołe życie prowadzi się na okręcie; jakie to wspaniałe miasta są na wschodzie, jaka żyzność i bogactwo krain w gorących krajach

leżących, gdzie dość się schylić, ażeby zbierać złoto, perły, rubiny i dyamenty...

Kiedym się nasłuchał tych opowieści, usiedzieć w domu nie mogłem; dom wydawał mi się taki nudny, sklep tak obrzydliwy, a szkoła tak szkaradną, że nieraz płakałem po kątach, rozpaczając, że tutaj siedzieć muszę, zamiast bujać na prześlicznym okręcie po niezmierzonym oceanie.

Nieraz, gdy ojciec był w dobrym humorze, zaczynałem rozmowę o żeglarstwie, unosiłem się nad pięknością krajów zamorskich; ale starzec, rozdrażniony stratą mego średniego brata, jednem słowem usta mi zamykał.

— Milcz! — mówił — nie waż się przy mnie morza wspominać, nienawidzę tego zdradzieckiego żywiołu. Gdyby biedny Tom był pozostał w domu, byłoby nam daleko lepiej, miałbym w handlu wyręczyciela, a to przeklęte morze wydarło mi podporę mojej starości.

Miałem już blisko ośmnaście lat, a jeszcze nie wiedziałem, czem będą. Ojciec zamyślał wykierować mnie na kupca. Matka wolałaby, żebym został duchownym, mnie zaś marynarka zawróciła głowę. Próżniactwo moje nieraz ściągało na mnie surowe napomnienia ojca, matka parę razy płakała, usiłując obudzić we mnie chęć do pracy. Kiedy mówili, słuchałem ze skruchą, płakałem także nieraz i ze szczerego serca przy-

rzekałem poprawę, ale te piękne zamiary bardzo prędko wietrzały z mej głowy i parę dni potem broiłem po dawnemu.

Jednego razu powróciłem z portu nadzwyczaj rozdrażniony. Stary Smiths, kapitan okrętu kupieckiego, odbywszy świeżo podróż do Indyi Wschodnich, więcej jak dwie godziny rozpowiadał o łowieniu pereł przy wyspie Cejlon, o polowaniach na słonie, bogactwach i gościnności tamtejszych osadników. Nasłuchawszy się jego opowiadań, postanowiłem bez dłuższego odwlekania zostać marynarzem i za powrotem oświadczyłem to stanowczo mojej matce.

Biedna kobieta struchlała na te słowa.

— Moje dziecko! — zawołała ze łzami — czyż nie wiesz, że obaj twoi bracia za morzem zginęli, że tylko ty nam pozostałeś? Czy masz zamiar wpędzić nas do grobu, opuszczając biednych rodziców? Porzuć tę myśl szaloną, jeżeli nie chcesz, żebym umarła.

— Ha! jeśli matka będzie się sprzeciwiać mojemu zamiarowi i nie wyprosi pozwolenia od ojca, to ja się utopię i kwita! — zawołałem ze złością. — Ja nie chcę siedzieć w tym nudnym domu, wolę umrzeć, aniżeli tutaj się mordować. Raz niech się to skończy!

Kochana matka, zastraszona tą pogróżką, poczęła mię ściskać, całować i zaklinać na wszystko, żebym się upamiętał. Czułem, jak jej gorące łzy spadały mi po twarzy,

ale ja niegodziwy nie wzruszyłem się tem wcale. Cierpienie drogiej matki wcale mię nie obchodziło, upierałem się przy swojem... O jakże mię ciężko Bóg za to później ukarał!

Upór mój skłonił nieszczęśliwą kobietę, iż narażając się ojcu, poszła prosić go za mną. Starzec, usłyszawszy to, wpadł w gniew niepohamowany i kazał mię natychmiast zawołać. Z bijącem sercem wszedłem do pokoju, a ojciec, ujrzawszy mię, gwałtownie krzyknął:

— Cóż to za głupstwa chodzą ci po głowie?! Zachciało ci się żeglować, zostać marynarzem?... Czy myślisz, że cię od razu admirałem zrobią?! Chcąc być marynarzem, trzeba znać matematykę, astronomię i inne umiejętności; trzeba służyć długie lata na morzu, aby po tysiącznych niebezpieczeństwach i trudach wyjść na kapitana okrętu. Chcąc być majstrem okrętowym, trzeba znać kowalstwo, ciesiółkę, mechanikę; a ty co umiesz? — bąki zbijać i gawronić się na okręty! Jak na przyszłego kapitana, to trochę za mało. Bez nauki i pracy człowiek jest zerem i do niczego nie przyjdzie. Choćbym nawet i dogodził twoim zachciankom, powiedz mi, co będziesz robił na okręcie?... Możesz zostać ledwie majtkiem, skazanym na wspinanie się po masztach i linach przez całe życie, na nieustanne plagi i poniewierkę. Na to znowu ja nie przy-

stanę. Wybij sobie raz z głowy te wszystkie urojenia, bo nigdy... rozumiesz! nigdy nie pozwolę ci nogą wstąpić na okręt. ... ponieważ nie chcesz się uczyć, więc od jutra przestaniesz chodzić do szkół i wstąpisz do handlu! Pracuj! albo wynoś się z mojego domu, gdyż nie myślę dłużej żywić próżniaka! A teraz precz!



Ostra przemowa ojca przeraziła mię nadzwyczajnie. Jak żyję, nie widziałem go w takiem uniesieniu. Wszystkie moje świetne projekta żeglowania na wyspę Cejlon rozpierzchły się jak mgła poranna. Wiedziałem dobrze, że z ojcem nie ma żartów, więc nie mówiąc ani słówka matce, położyłem się spać, a nazajutrz rano stałem już za kasą w naszym sklepie.

Nowość zatrudnienia i praca zajęły mię

zrazu bardzo. Przez kilka tygodni sprawowałem się jak najlepiej; matka rosła z radości, a i ojciec podczas obiadu łagodniej na mnie spoglądał. O żegludze w tym czasie nie myślałem prawie wcale. Prawda, że nieraz ważąc kawę, imbier lub gwoździki, przypomniałem sobie te prześliczne kraje, gdzie te towary rosną i nieraz westchnąłem ciężko z tęsknoty za niemi, ale się też na owych westchnieniach kończyło.

I kto wie, czy nie byłbym wyszedł na kupca i obywatela miasta Hull, gdyby przypadek nie był rozbudził we mnie na nowo chętki do żeglowania i nastręczył mi sposobności do uczynienia zadość mym pragnieniom.

Jednego dnia ojciec przy śniadaniu rzekł do mnie:

— Dostaliśmy świeży transport towarów, Mathews nie ma czasu, więc ty pójdziesz je odebrać. Tylko pamiętaj pospieszyć się i nie gawronić się w porcie!

Ucieszyłem się bardzo z tego polecenia. Od dwóch miesięcy bowiem, oprócz do kościoła, nigdzie nie wychodziłem, więc też poleciałem jak strzała do portu, podskakując z radości przez drogę.

Mój humor wesoły zniknął w chwili, gdy zobaczyłem przystań. Kilkanaście rozmaitych okrętów stało w porcie; morze lekko zmarszczone unosiło inne, posuwające się wspaniale jak łabędzie po zwierciadle

wód. Jeden właśnie opuszczał przystań przy wesołych okrzykach majtków i wystrzałach działowych. Serce zabiło mi gwałtownie, łzy zakręciły się w oczach i załamawszy ręce, mimowolnie w głos zawołałem:

— O mój Boże, mój Boże! dlaczegóż jestem tak nieszczęśliwy!

— A ty krecie ziemny, czego tak lamentujesz? — zawołał ktoś, uderzając mię z lekka po ramieniu.

Odwróciłem się i ujrzałem Wiliama, kolegę szkólnego, miłego i wesołego chłopca, który od czterech lat służył na statku własnego ojca.

— To ty, Wiliamie? — zawołałem z radością, — nie widzieliśmy się już tak dawno!...

— Ba! nic dziwnego, toż przeszło dwa lata krążyliśmy z ojcem po morzach indyjskich. Byłem w Goa, Kalkucie, Batawii, Manili, a nawet w Makao, podczas kiedy ty, ślimaku, pełzałeś po kamienistym bruku twego rodzinnego miasteczka.

— Ach, jakżeś ty szczęśliwy! — odrzekłem ze smutkiem — cóżbym dał za to, gdybym mógł być na twojem miejscu!

— A któż tobie broni spróbować lubej włóczęgi? Morze dla każdego otwarte, a na okrętach miejsca nie braknie.

— Mnie nawet mówić o tem nie wolno... — odrzekłem z niechęcią.

— Jakto? — zapytał zdziwiony.

Opowiedziałem mu więc całe moje po-

łożenie, wyspowiadałem się ze wszystkich zmartwień, utyskując, że mi rodzice zagradzają drogę do szczęścia.

Wiliam, wysłuchawszy mię, wzruszył ramionami i rzekł:

— I któż ci winien, że sobie radzić nie umiesz. Ja na twojem miejscu, nic nikomu nie mówiąc, porzuciłbym był dawno dom i zaciągnął bym się na pierwszy lepszy okręt. Takiego porządnego chłopca każdy kapitan z otwartemi rękoma przyjmie. A że nic nie umiesz, jak powiada twój ojciec, to nic nie znaczy. Nie święci garnki lepią, i ja, wchodząc na okręt, o niczem nie miałem wyobrażenia, a teraz proszę widzieć, jaki ze mnie wyborny marynarz.

— Przyznam ci się — odpowiedziałem — że dawno bym bym to zrobił, ale jestem trochę zabobonny. Ojciec powtarza mi ciągle, że kto rodziców nie słucha, marnie zginie i Bóg mu nigdy błogosławić nie będzie. Otóż dwóch moich starszych braci, wbrew woli ojca porzuciło dom, puścili się na morze i obaj zginęli w młodym wieku. To mię tak przeraża, iż nie mogę się odważyć.

— Niedołęga jesteś, kochaneczku, i kwita — zawołał z pogardą Wiliam. — Miliony ludzi puszcza się na morze i wracają szczęśliwie. Każdy stary lubi gderać. Już to taka ich natura. Teraz ojciec gniewa się i zabrania ci spróbować szczęścia, ale jak powrócisz i przywieziesz huk pieniędzy, to

przyjmie cię z otwartemi rękami. Raz trzeba być mężczyzną! Ot! wiesz co, jutro płyniemy do Londynu, jeżeli masz ochotę, wsiadaj z nami. Zobaczysz wielkie miasto, zakosztujesz marynarskiego życia; a jak ci się nie spodoba, to za parę tygodni wrócisz do domu i będziesz sobie znowu ważył miły pieprz i kochane gwoździki.



— Popłynąłbym z całej duszy — rzekłem, wzdychając — ale cóż... kiedy... kiedy...

— Co takiego? mów do krocset masztów!

— Oto nie mam pieniędzy... i...

— To nic nie szkodzi! — zawołał Wiliam — ja wezmę cię na mój koszt tam i napowrót! czy zgoda?

— Zgoda! zgoda! — zawołałem, rzucając mu się na szyję.

— A więc ruszaj i przygotuj się. A pamiętaj, żebyś się nie spóźnił, bo jak przed świtem nie będziesz w porcie, to popłyniemy bez ciebie.

— Niech cię o to głowa nie boli — mówiłem odchodząc; umiem ja wstawać bardzo rano, ktedy tego potrzeba.

II.

Pierwsza wycieczka na morze i co mnie w niej spotkało.

Rozszedłszy się z Wiliamem, pobiegłem co tchu po towary i zwiozłem je jak najprędzej, aby nie obudzić podejrzeń ojca. Biedny staruszek pochwalił mię, mówiąc, iż z radością przekonywa się, że mi dawne głupstwa wywietrzały z głowy. Mówił to w chwili, gdy gotowałem mu właśnie najczarniejszą niewdzięczność. Przez cały dzień byłem roztargniony, w nocy spać nie mogłem, bojąc się, bym nie zapóźnił. Ciemno jeszcze było, gdy porwałem się na nogi, aby się spiesznie ubrać. W całym domu było cichuteńko, jakby makiem zasiał. Rodzice i domownicy spali; lękając się obudzić stróża, nie przez bramę, ale przez parkan wydostałem się na ulicę.

Serce mi biło z bojaźni, to żeby ojciec się nie obudził, to żebym kogo znajomego nie spotkał, albo wreszcie nie spóźnił się do portu. A chociaż wyrzuty sumienia dręż-

czyły mię bardzo i rodzice stali mi ciągle na oczach, nie zważałem na to i biegałem tem prędzej, aby raz dostawszy się na okręt, nie módz już powrócić.

Wiliam przechadzał się już niecierpliwie po brzegu i poznawszy mię z daleka, krzyknął:

— Ha, idziesz przecie; myślałem, że się rozżalisz, rozbeczysz i zostaniesz przy matusi. No! siadaj czemprędzej, bo tam ojciec musi niecierpliwić się i kląć szkaradnie, że nas dotąd niema.

Wskoczyłem do łodzi.

Silnem pchnięciem wioseł majtkowie odbili od brzegu, a ranny odpływ morza (w ciągu 24 godzin morze dwa razy płynie ku brzegom i dwa razy odpływa. Każda przemiana taka trwa przez sześć godzin. Zjawisko to zowie się przypływem i odpływem morza i pochodzi od przyciągającej siły księżyca. Przyj.) ułatwiał nam przeprawę. Łódź podskakiwała, pląsała po falach, przechylając się często, a ja, pierwszy raz w życiu płynąc, zbladłem ze strachu, lecz nie śmiałem słówka przemówić, gdyż mi się zdawało, że lada chwila czołno wywróci kozła.

Za przybyciem do okrętu nowy przestrach. Wiliam kazał mi wstępować w górę po jakichś schodkach, czy drabince, zawieszonej nad wodą. Nie wypadało okazywać bojaźni; krew uderzyła mi do głowy, ale przecież jakoś wdrapałem się na pokład.

(Pokład, jest to pomostek z desek i belek, szczelnie zamykający wnętrze okrętu, ażeby podczas ulewy woda nie dostała się do środka. Przyj.)

Kapitan zburczał nas, żeśmy się nie spieszyli i natychmiast gwizdnął silnie, co było znakiem do podniesienia kotwicy. (Kotwice, są to ogromne podwójne lub potrójne haki żelazne, ważące 20, 30, a nawet 60 centnarów, stósownie do wielkości okrętu; spuszczone w morze, zahaczają się na dnie i tym sposobem utrzymują okręt w miejscu. Zawarczał kołowrot i za jego pomocą wyciągnięto ciężką kotwicę. Majtkowie wdrapali się na drabiny z lin zrobione, rozwiązali żagle, które natychmiast wiatr powabnie wydął, jakby skrzydła jakiego ogromnego ptaka. Zagrzmiały działa, a okręt, pochyliwszy się nieco, w lekkich pląsach z wdziękiem wybiegł na pełne morze.

Był to piękny trójmasztowiec kupiecki, mający z obu stron po sześć dział i sześćdziesiąt ludzi osady; zbudowany był silnie i zgrabnie do odległych podróży. Z wysokich masztów zbiegało ku bokom mnóstwo lin, to przytrzymujących maszty, to tworzących drabinki sznurowe, a na tyle wiatr rozdymał wspaniale dumną flagę angielską. Na szczycie masztów wesoło igrały długie szkarłatne chorągiewki, odbijając się od ciemnego błękitu niebios.

Nie umiem opisać uczuć, jakie mną mio-

tały. Raz przecież dogodziłem swej najgorętszej chęci żeglowania; byłem nareszcie na pokładzie okrętu. Wszystko dla mnie było nowością, każda rzecz zajmowała mię niezmiernie. Dumny mojem szczęściem, spoglądałem z pogardą na niknące wieże rodzinnego miasta. Płynęliśmy nader szybko; wkrótce już tylko brzegi Anglii, niby sinawa chmurka rysowały się w oddaleniu; ale wkrótce i te zniknęły, a zostały tylko nieprzejrzane przestwory wód pode mną i niebo nad głowami.

Zachwycenie moje jednak niedługo trwało. Około jedenastej przed południem zerwał się silny wiatr zachodni i począł statkiem gwałtownie kołysać. Raptem dostałem nudności, bólu głowy i mocnych wymiotów. Była to tak zwana choroba morska, której każdy pierwszy raz płynący po morzu uledz musi. Zaczęło mi się kręcić w głowie, myślałem, że lada chwila okręt wywróci się i zatonie. Natychmiast przypomnieli mi się biedni, zmartwieni mojem nieposłuszeństwem rodzice, ciężki żal mię ogarnął i począłem gorzko płakać.

Tymczasem wicher srożył się coraz bardziej, morze wzdymało się gwałtownie, bałwany piętrzyły się, rosły, a mnie zdawało się, iż lada chwila nas pochłoną.

Śmiertelna trwoga opanowała mię, począłem się modlić i ślubować Panu Bogu, że jeżeli mi tylko pozwoli dostać się na ląd,

to już nigdy domu rodzicielskiego nie opuszczę i w sklepie jak najusilniej pracować będę. O jakże mój ojciec słusznie robił, gdy mi zabraniał puszczać się na morze — powtarzałem sobie w duchu — jakąż miał racyę, gdy mi zachwalał ciche i spokojne życie handlowe, a ja waryat nie słuchałem go i wpadłem w nieszczęście, z którego już się pewnie nie wyratuję. I znowu na myśl o śmierci zalałem się łzami.

— A ty czego się tak mazgaisz, babo jakaś — krzyknął nadbiegający Wiliam. — Ślicznie wyglądasz z tym bekiem i morską chorobą. Ruszaj do kajuty (Kajutami zowią się pokoiki w tylnej części okrętu pod pokładem zbudowane, służące za pomieszkanie kapitanowi i starszyźnie. Majtkowie, żołnierze i służba podrzędna sypia pod pokładem, lub między pomostami na wiszących łóżkach, zwanych hamakami. Przyj.) i połóż się na łóżko, a nie rób mi wstydu przed całą osadą.

Na czworakach z wielkim trudem, to popychany przez majtków, to podrzucany chyleniem się statku, zaledwie zdołałem dopełzać do mego posłania w kajucie kapitana, gdzie mię jako zaproszonego gościa umieszczono. Ległem tam na łóżku, ale długi czas usnąć nie mogłem; okręt raz wybiegał na szczyt bałwanów, to znowu pogrążał się w przepaści; maszty i całe belkowanie przeraźliwie trzeszczały, podrzucane beczki

i paki podskakiwały, robiąc szalony hałas, a cała ta muzyka przerażała mię w najwyższym stopniu.

Nakoniec zmordowany chorobą, znękany przestrachem i zmartwieniem, usnąłem.

Na drugi dzień dopiero późno obudziłem się. Słońce zaglądało wesoło przez okienko kajuty; okręt leciuchno się kołysał.

— A więc burza szczęśliwie minęła! — zawołałem, zrywając się z łóżka, a że wczoraj nie rozbierałem się wcale, więc też pobiegłem na pokład.

Pierwszą osobą, którą tam napotkałem, był Wiliam.

— No i cóż, ty szczurze ziemny — zawołał wesoło — żyjesz przecie, a ja myślałem, żeś już umarł ze strachu. Było się czego trwożyć.

— Pewnie, że było — odpowiedziałem zniecierpliwiony trochę jego żarcikami — jak żyję, nie widziałem jeszcze podobnej burzy.

— Burzy! co, burzy!? — Cha! cha! cha! On silny wiatr zaraz burzą nazywa. Ciekawy jestem, cobyś powiedział, gdyby prawdziwa burza zaryczała. Ale bądź spokojny, tchórzu, okręt nasz silnie zbudowany i kierowany umiejętnie, nie zlęknie się i najgwałtowniejszej burzy. A teraz pójdź, dam ci lekarstwo, które cię w mgnieniu oka z morskiej choroby uleczy.

To rzekłszy, zaprowadził mię do ojcow-

skiej kajuty i podał potężną szklanicę gorącego groku (Napój składający się z wody, rumu i cukru. Przyj.) którego całą wazę majtek przyniósł z kuchni.

— Wypij to, ale do dna — mówił, pijąc sam — to ci dobrze zrobi i przywróci odwagę.

Jak żyję, nie piłem jeszcze groku, który mi Wiliam tak zalecał. Rodzice moi nie używali mocnych napojów i oprócz lekkiego piwa, nie znałem nawet smaku innych trunków. Gdybym śmiał, byłbym odmówił Wiliamowi. Ale on nazwałby mię znów babą lub niedołęgą, a ja chciałem uchodzić za mężczyznę. Krztusząc się wypiłem wszystko... lecz czułem od razu, że mi się głowa potężnie zawraca. Zaledwie też wyszedłem z kajuty, gdy nogi zaczęły mi się plątać, a majtkowie, ujrzawszy to, poczęli śmiać się i szydzić ze mnie. Zawstydzony, zrejterowałem do łóżka, trzymając się ścian.

Tak to pierwszy raz tylko wyłamawszy się z pod czujnego oka rodziców, już upiłem się i zostałem pośmiewiskiem prostaków.

Przez parę dni następnych, okręt z powodu przeciwnych wiatrów posuwał się bardzo powoli. Kapitan, mając interes w Yarmouth (Miasto portowe w Anglii, nad morzem Północnem, w hrabstwie Norfolk. Przyj.) skierował okręt ku brzegom. Zaledwie upłynęliśmy parę mil morskich, gdy w oddaleniu ukazała się na niebie czarna linia chmur.

Wiatr wilgotny zaczął podmuchiwać i marszczyć powierzchnię morza, pokrywającą się tu i owdzie białawą pianą.

— Źle! będzie burza i to teraz porządna — zawołał kapitan. — Zwinąć wielki żagiel! kieruj szybko ku lądowi!

Dreszcz przebiegł mię od stóp do głowy na te słowa. Burza i jeszcze kapitan mówi, że porządna! Ach nieszczęśliwy, teraz już niezawodnie nie wyjdziesz cało, zginiesz w tak młodym wieku, nie dotkniesz nogą ziemi i nie zobaczysz swoich. — Tak sobie myślałem.

A te myśli srodze mnie trapiły. Tymczasem okręt płynął szybko ku brzegom Anglii i niedługo ujrzeliśmy port w Yarmouth. Kapitan nie kazał jednak wpływać do portu, ale zarzucić kotwicę w przystani, zasłoniętej wzgórzem, gdzie zdawało mu się, iż okręt, nie będąc tyle narażony na wściekłość wiatru, szczęśliwie przeczeka nawałnicę.

Zaledwie kotwica dosięgła dna, kiedy nagle zawył wicher tak gwałtowny, iż o mało nie zerwał nam wszystkich rejów i nie zgruchotał masztów. Kapitan kazał natychmiast zwinąć żagle co do jednego i zarzucić drugą kotwicę, bojąc się, aby lina pierwszej nie pękła, a wicher nie roztrącił nas o skaliste wybrzeża. Szalony uragan, dąc z przerażającą siłą, zginał potężne maszty, które jak giętkie trzciny dotykały prawie szczytami o powierzchnię wody.

Czarna opona chmur zajęła całe niebo, sprawiając niemal nocne ciemności. Co chwila ogniste węże piorunowe rozdzierały obłoki, jaskrawem światłem oblewając cały widnokrąg, poczem znów robiło się ciemno. Olbrzymie bałwany, niby góry wodne, pędząc ku lądowi, z taką wściekłością raz po raz uderzały o ściany okrętu, że wszystko trzęsło się, trzeszczało. Statek to w tę, to w ową stronę miotany, szarpał się jak brytan na łańcuchu i zdawało się, że lada chwila potarga grube kotwiczne liny i popędzi ku brzegom. Żagle, reje poszarpane, potrzaskane w kawały odrywały się od masztów; nareszcie przedni, zgruchotany uraganem, padł, pokrywając siecią lin cały przód okrętu. Kapitan rozkazał zrąbać wszystko i wrzucić w morze; lecz przez upadek tamtego, maszt środkowy stracił punkt oparcia i zaczął się chwiać gwałtownie, zagrażając przewróceniem się okrętu. Trzeba więc było i ten jak pierwszy zwalić. Niezmordowany kapitan nie szczędził wszystkich usiłowań, aby okręt ocalić, lecz na wybladłej jego twarzy wyraźnie czytać można było, iż niewiele pozostaje nadziei

Podówczas siedziałem skurczony przy drzwiach pokładu, trzymając się z całej siły żelaznego kółka, za które obie założyłem ręce. Przerażony w najwyższym stopniu, drżałem jak liść, nie wiedząc gdzie się schronić, co z sobą począć. Wszystkie słowa

ojca, wszystkie jego przestrogi stały mi wciąż na myśli. Choroba morska, jeszcze silniejsza jak przed pięciu dniami, dokuczała mi srodze, a wyrzuty sumienia nieznośnie mnie trapiły.

— Ach Boże! mój Boże! — szeptałem, odchodząc od zmysłów — ja to wszystkiemu jestem winien; przez moje nieposłuszeństwo ściągnąłem gniew Twój na tych niewinnych ludzi. Przezemnie wszyscy poginą! Ach! ratuj mnie, miłosierny Boże! zlituj się nademną! Nigdy już, dopóki życia, nie zrobię nic bez wiedzy i woli moich rodziców; będę im posłusznym we wszystkiem. Ach Panie! Panie! zmiłuj się! zmiłuj!

Tak modliłem się żarliwie. Ale burza wrzała straszliwie, huk piorunów i świst wiatru nie ustawał ani na chwilę; dwa statki kupieckie, zerwane z kotwic, przeleciały jak błyskawica koło naszego okrętu i roztrzaskały się o nadbrzeżne skały. Inny okręt, o kilkaset sążni od nas odległy, z całym ładunkiem i wszystkim ludźmi poszedł na dno; widziałem starych majtków, doświadczonych marynarzy, modlących się na klęczkach i gotujących się na śmierć.

Wtem we drzwiach, przy których siedziałem, ukazał się wybladły utykacz szpar (W razie, gdy zrobi się szczelina w okręcie, zatyka ją przeznaczony do tego umyślnie majtek, zwany »utykaczem szpar«. Przyj.) i zawołał przerażającym głosem:

— Otwór w okręcie! cztery stopy wody w kadłubie!

— Do pomp! do pomp cała osada! - krzyknął kapitan, zwołując wszystkich na pomost.

— Wstawaj próżniaku! — zawołał utykacz, potrącając mnie silnie. — Czy nie słyszysz, co się dzieje? Ruszaj do pompy, bo cię wrzucę w morze, niedołęgo!

Zerwałem się na nogi i pobiegłem pracować z innymi, ale mimo wysilenia robota nie na wiele się zdała. Po całogodzinnem pompowaniu zawołano z wnętrza: pięć stóp wody!...

Naówczas kapitan, zagrożony zatonięciem okrętu, rozkazał dać ognia z dział na trwogę. Nieobeznany ze zwyczajami marynarskimi, usłyszawszy ten huk, myślałem, że okręt pękł na poły i zemdlałem ze strachu.

Porwano mnie i odrzucono na bok, sądząc, że umarłem. Każdy, tylko sobą zajęty, nie troszczył się wcale o drugich; już się ściemniało, kiedy odzyskałem zmysły.

Na okręcie panowało zupełne zamieszanie. Pomimo ciągle dawanych wystrzałów, ani od brzegu, ani od innych statków, stojących na kotwicach, żadna łódź nie przybywała nam na pomoc, a okręt coraz więcej nabierał wody; wszelka nadzieja ratunku znikła. Nakoniec bryg wojenny, wzruszony naszym losem, poświęcił swą szalupę, wysyłając ją ku nam. Długi czas walczyli dzielni majtkowie z rozhukanem morzem, zanim

zdołali przybliżyć się do nas; nakoniec uchwycili rzuconą linę i przybili do naszego statku.

Popłoch i zamieszanie mogłoby nas zgubić, gdyby nie energia kapitana, który, powstrzymawszy cisnących się tłumem, nie tylko wszystkich szczęśliwie do szalupy przesadził, ale nadto ocalił swoją gotówkę, papiery i kosztowności. Z początku chcieliśmy się dostać na pokład brygu; lecz o tem ani można było marzyć. Kapitan więc nakłonił sternika szalupy, ażeby skierował ku lądowi, biorąc na siebie odpowiedzialność w razie gdyby zatonęła. Z pomocą wioseł i wiatru szybko przebywaliśmy przestrzeń, przedzielającą nas od brzegu, lecz zaledwie odpłynęliśmy o paręset sążni od opuszczonego statku, kiedy ten pogrążył się w przepaściach morskich.

Po nadludzkich wysileniach zmordowani, przemokli i drżący dostaliśmy się nakoniec do brzegu w pobliżu latarni Winterton.

Mieszkańcy miasta Yarmouth, zgromadzeni w niezmiernej liczbie na brzegu, przyjęli nas z największą gościnnością, zabrali do domów i pokrzepili rozgrzewającą strawą i ciepłem posłaniem. Właściciele ocalonych okrętów zrobili natychmiast składkę i doręczyli kapitanowi, prosząc, ażeby rozdał ją między potrzebujących. Za pomocą tego wsparcia każdy z nas mógł dostać się do Londynu, albo do domu wrócić.

Za wstawieniem się Wiliama dostałem trzy gwineje. (Gwinea, pieniądz złoty angielski, wartości około 12 marek. Przyj.) Było to aż nadto dość na drogę do Hull, gdzie, jak każdy z moich czytelników zapewne mniema, zaraz się udałem dla pocieszenia i przebłagania strapionych rodziców.

Gdybym miał iskierkę rozumu, gdybym miał rzeczywiście poczciwe serce, byłbym niezawodnie zaraz do domu pojechał. Ale posiadając tak znaczną sumę pieniędzy, nie mogłem się oprzeć chęci zobaczenia Londynu. (To stolica Anglii. Przyj.) Razem z niebezpieczeństwem i strachem przeminęły dobre zamiary. A zresztą wracać do domu po tak niepomyślnej próbie, narazić się na gniew ojca i pośmiewisko wszystkich znajomych — nie... na to nie mogłem się odważyć. Zamiast więc myśleć o powrocie, zacząłem błąkać się po mieście, szukając sposobności udania się do Londynu.

Na drugi dzień napotkałem naszego kapitana, idącego razem z Wiliamem. Kolega mój miał wcale nie wesołą minę i z westchnieniem podając mi rękę, rzekł:

— I cóż, biedny Robinzonie, spotkał cię strach nie mały, a wszystko z mojej przyczyny.

— Jakto z twojej przyczyny? — zapytał kapitan.

— Tak, ojcze, bo to ja go namówiłem, aby z nami popłynął, a tymczasem zamiast

spodziewanej przyjemności, o mało tej wycieczki życiem nie przypłacił.

— Słuchaj chłopcze — rzekł poważnie kapitan — ostrzegam cię po przyjacielsku, ażebyś więcej nie próbował żeglugi. Wypadek, jakiego doznałeś, powinien cię przekonać, że nie jesteś stworzonym na marynarza.

— A pan czy także już nigdy w życiu nie wsiądziesz na okręt? — zagadnąłem go.

— Ja to całkiem co innego — odrzekł kapitan — żeglarstwo jest mojem zatrudnieniem i utrzymaniem. Ale ty wcale się tem nie trudnisz i zapewne tylko nierozsądna namowa mojego syna nakłoniła cię do spróbowania tej niebezpiecznej podróży morskiej.

— O nie, panie — odpowiedziałem z zapałem — żegluga od lat dziecinnych zajmuje mnie i pociąga niezmiernie, tak, iż przeciw woli ojca, wbrew jego najsurowszym zakazom, puściłem się potajemnie na morze, bez którego żyć nie mogę.

— Jakto! — zawołał z niezmiernem oburzeniem kapitan — ty dzieciuchu odważyłeś się wbrew rozkazom ojca postąpić? I czemże ja sobie na to zasłużyłem, żeby taki urwisz śmiał wstąpić nogą na mój statek! A czy ty wiesz, niepoczciwy synu, że nieposłuszeństwo dla rodziców pociąga za sobą karę bożą i kto wie, czy nie przez ciebie straciłem okręt! Precz mi z oczu niecnoto, i nie waż pokazywać mi się więcej, ani się wdawać z Wiliamem, bo mnie popamiętasz!

Widząc, że spłonąłem ze wstydu i oczy mi łzami zaszły, poczciwy kapitan wzruszył się i rzekł już łagodniej:

— No, nie martw się i nie bierz sobie tego za wiele do głowy. Możesz być jeszcze porządnym człowiekiem, staraj się więc jaknajprędzej naprawić złe, któreś uczynił i wracaj natychmiast do domu.

I uścisnąwszy mnie za rękę, wsunął w nią dwie gwineje.

Wiliam pożegnał mię także i ucałował serdecznie.

Na drugi dzień rano, zgodziwszy sobie za parę szylingów furmana, wracającego do domu, wsiadłem na wóz i pojechałem do Londynu.

III.

Przyjazd do Londynu. — Poznaję się z kapitanem innego okrętu i co z tego wynikło.

Stolica Anglii wydała mi się ogromnem miastem, zwłaszcza, że oprócz Hull i Yarmouth, nie widziałem innych miast w życiu. Olśniony wspaniałością pałaców, długością ulic, wielkością kościołów, błąkałem się przez pierwsze dwa dni, przypatrując się wszystkiemu z niezmiernem zadziwieniem. Lecz pobyt tam drogo kosztuje i po tygodniu wydawszy dwie z pięciu gwinei, przeraziłem się bardzo co dalej będzie.

W tak krytycznem położeniu obudziły się zwykłe wyrzuty sumienia i teraz posta-

nowiłem wrócić do domu. Miałem wuja proboszcza w Hull, człowieka dobrego i mnie bardzo lubiącego. Umyśliłem użyć jego pośrednictwa, a że ojciec wielce go poważał, byłem więc pewny, że mi przebaczenie u rodziców wyjedna. Zresztą odbyłem już podróż do Londynu, mogłem się z tem pochwalić przed znajomymi, tając niebezpieczeństwa, jakich w mojej wycieczce doznałem.

Ponieważ na podróż pieszą, a tembardziej na wozie nie wystarczyłoby mi pieniędzy, przeto umyśliłem na rzece Tamizie (nad nią leży Londyn. Przyj.) poszukać takiego statku, ażeby się zabrać do domu. Przybywszy na brzeg rzeki, ujrzałem mnóstwo ludzi, zajętych ładowaniem i wyprzątaniem okrętów.

Kogo się tu spytać o odpływający statek? — myślałem sobie; — a nuż trafię na jakiego łotra, który mię okradnie i na koszu osadzi... trzeba być ostróżnym. I począłem przypatrywać się pilnie flisom i marynarzom, aż nareszcie wpadł mi w oko mężczyzna około pięćdziesięcioletni, bardzo łagodnych i miłych rysów twarzy. Stał on oparty o d m celnej komory i uważałem, iż mi się od kilku chwil z zajęciem przypatruje. Zbliżyłem się tedy ku niemu i pozdrowiłem go grzecznie zdjęciem kapelusza.

— Czyś kogo zgubił, mój chłopcze? — zagadnął nieznajomy, odpowiadając na mój ukłon. — Uważam, że błądzisz z miejsca na miejsce, jak gdybyś kogo szukał.

— Panie — odpowiedziałem z ukłonem, raczcie mi powiedzieć, czy nie wiecie o jakim statku, któryby do Hull odpływał?

— Do Hull?... hm, to będzie trudno; dziś ani jeden w tamtą stronę nie płynie i zdaje mi się, że dopiero za kilka dni stary Dick puści się tam z adunkiem towarów. Zaczekaj więc do soboty i przyjdź tutaj, a ja cię zarekomenduję.

— O łaskawy panie, — odrzekłem nieśmiało – ja tak długo czekać nie mogę, gdyż wydałbym wszystkie pieniądze i brakłoby mi na zapłacenie przewozu.

— A cóż cię tak gwałtownie do Hull pociąga? Myślę, że taki młody chłopak i tutaj znalazłby utrzymanie; cóż tam będziesz robił nieboraku?

Zachęcony przyjaznym tonem i współczuciem, z jakiem do mnie nieznajomy przemawiał, opowiedziałem mu otwarcie moje przygody.

Marynarz, wysłuchawszy uważnie mego opowiadania, rzekł:

— Hm! hm! a więc wyrwałeś się sowizdrzale z domu bez pozwolenia rodziców, to wcale nie dobrze; ba, ale cię trochę uniewinnia w moich oczach ta twoja wielka chętka do żeglowania. Każdy młody ma swoje szaleństwa... ja ci znowu tego tak bardzo za złe nie mam, bo widzę, że mógłby z ciebie być tęgi marynarz. Gdy powrócisz teraz do domu, ojciec cię pewnie porządnie

zburczy; ja na jego miejscu wyłatałbym ci tęgo skórę. Do kroćset masztów, toby ci wcale nie zaszkodziło! Ale żarty na stronę, tak wracać nie możesz, wszyscyby cię wyśmiali i to bardzo słusznie.

— Cóż więc mam zrobić? — wyjąkałem, czerwieniąc się ze wstydu jak wiśnia.

— Wiesz co, kochaneczku, spodobałeś mi się od razu. Jesteś miłym chłopcem i możesz wyrość na człowieka. Ja byłem takim samym urwiszem, a przecież wyszedłem na porządnego człowieka. Nie odradzam ja ci wcale, żebyś do ojca nie wracał, ale być tylko w Londynie i powrócić z niczem, to będzie jakoś bardzo licho wyglądało. Jeżeliś zaczął się awanturować, to już z próżnemi rękami wracać nie wypada. Słuchaj mię więc: za trzy dni odpływam do Afryki ku wybrzeżom Gwinei, gdzie dużo pieniędzy zarobić można. Jeżeli chcesz, to wezmę cię z sobą. Mam dzięki Bogu znaczny majątek i dobrą żonę, ale ani jednego dziecka. Otóż na tę podróż przybiorę cię za syna i na twój rachunek zaryzykuję czterdzieści funtów szterlingów. (Funt szterling ma wartość 20 marek. Przyj.) Zakupię za nie rozmaitych towarów stalowych, bawełnianych i szklanych.

Jeżeli handel pójdzie dobrze, czego się niezawodnie spodziewam, zarobisz ładny pieniądz. Naówczas oddasz mi wyłożoną sumę, a powróciwszy z zyskiem do rodziców,

dowiedziesz im, żeś przez te parę miesięcy darmo chleba nie jadł. Podróż nie będzie cię nic kosztować, gdyż przewiozę cię tam i napowrót za darmo. Przez drogę obznajomię cię trochę z żeglarstwem, a ręczę ci, że ojciec nie tylko da się przebłagać, ale widząc, żeś skorzystał i pieniężnie i naukowo, może nawet pozwoli ci poświęcić się marynarce.

Usłyszawszy te słowa, zgodne z najgorętszemi życzeniami mojemi, o mało nie rzuciłem się do nóg kapitanowi. Projekt jego trafił mi zupełnie do przekonania, albowiem miałem teraz czem usprawiedliwić moje nieposłuszeństwo i dogodzić chęci podróżowania. Z ochotą więc przystałem na wszystko, a w trzy dni potem, korzystając z pomyślnego wiatru, opuściliśmy ujście rzeki Tamizy.

IV.

Podróż do Gwineni — ryby latające — pożar morza — korzystny handel i powrót do Anglii.

Wyjąwszy gęstej mgły, która nas zaskoczyła w Kanale i o mało nie była przyczyną spotkania się z innym okrętem, zakrytym w tumanie, żegluga odbywała się bardzo pomyślnie. Zaledwie wypłynęliśmy na ocean Atlantycki, natychmiast mgły ustąpiły. Najpiękniejsza pogoda zajaśniła na niebie; łagodny wietrzyk wzdymał żagle, igrając z banderą. Wody oceanu prześlicznym błękitem zachwycały oko, różniąc się od bru-

dnych i mętnych fal morza Niemieckiego. W przezroczystem ich zwierciadle widziałem mnóstwo ryb rozmaitej wielkości i barwy.

Kiedyniekiedy przemykała się gromada dużych delfinów, (Delfin, rodzaj zwierząt ssących, postaci ryby, zamieszkujący wszystkie morza, ma otwór w głowie, przez który podobnie jak wieloryb przy oddychaniu wyrzuca wodę. Skóra ich biała, miejscami czarna. Żyją gromadnie i płyną za okrętami w nadziei łupu; są drapieżne i żarłoczne, chwytają je dla tranu. Przyj.) igrających wesoło koło okrętu. Raz nawet sternik, przywoławszy mię na tył statku, pokazał mi ogromnego haja czyli rekina, zwanego też ludojadem. (Rekin, zwany też wilkiem morskim, jest to ryba nadzwyczaj żarłoczna, mająca otwór pyskowy pod spodem ciała, podobnie jak jesiotry. Paszcza jego uzbrojoną jest mnóstwem ostrych zębów, a siła szczęk tak wielka, że za jednem ich zwarciem ucina nogi ludziom wpadłym w morze i druzgoce grube drągi. Upędza się za okrętami, pożerając wszystko, co majtkowie wyrzucą, i jest bardzo niebezpieczny dla kąpiących się. Przyj.) Majtkowie mieli wielką ochotę złowić go, ale kapitan, nie chcąc tracić próżno drogiego czasu, nie pozwolił na to.

Przebywszy zwrotnik i zbliżając się ku wyspom Zielonego Przylądka, zauważyłem, że niebo przybierało coraz ciemniejszą barwę,

a powietrze mimo upałów tchnęło cudną świeżością. Choroby morskiej nie doświadczałem wcale, rozkosz nieznana ogarnęła całą moją istotę, radość ujrzenia cudownych krain nie dawała mi zasnąć. Żal, chęć przebłagania rodziców i poprawy, znów całkiem mi wywietrzały z głowy.

Jednego dnia przed południem nagle gromada ryb podniosła się z morza. Z początku wziąłem je za stado ptaków, lecz gdy przelatując nad okrętem kilka spadło na pokład, przekonałem się, że to ryby latające. (Ryby latające, należące do brzuchopletwych, za pomocą pletw, długich tak jak ich ciało, wznoszą się w powietrze, uchodząc przed czyhającemi na nie innemi rybami. Przyj.) Były one długie na pół łokcia, grzbiet ich błękitny, podbrzusza szarawo-srebrne; pletwy długie i szerokie zastępowały skrzydła i dopóki nie oschły, mogły się na nich latające rybki unosić. Przypatrywałem się im z zajęciem, ale chciwi tego przysmaku majtkowie w lot je pozbierali i zanieśli kucharzowi, który zaraz owe rybki usmażył.

W parę dni potem, późno wieczorem, kiedy już ułożyłem się na spoczynek, wpadł do kajuty kapitan i zawołał z udaną trwogą:

— Pójdź, pójdź co żywo admirale, straszne nieszczęście, pożar ogarnął morze! bałwany się palą!

Serce zabiło mi gwałtownie. Zrażony doznanymi wypadkami w pierwszej podróży,

wpadłem w przestrach bardzo łatwo. Zerwałem się więc z łóżka i pobiegłem z kapitanem na pokład. Okropny widok przedstawił się mym oczom. Całe morze jaśniało dziwnem światłem; za każdem poruszeniem fali wytryskiwały smugi ognia, jakby błyskawice wydobywały się z łona wód morskich, albo cała powierzchnia milionami iskier jaśniała. Snopy świateł to błękitnawych, to różowych ukazywały się naprzemian, a za okrętem widać było szeroką smugę światła, oznaczającą drogę, którą przebył. (Swietlenie morza pochodzi od mnóstwa świecących żyjątek, a tak małych, że ich gołem okiem dojrzeć nie można i tylko za pomocą bardzo powiększających szkieł dadzą się rozróżnić. Przyj.)

— Co to ma znaczyć? — zapytałem kapitana z przerażeniem.

— Co to ma znaczyć? Alboż ja wiem — rzekł poczciwiec, wzruszając ramionami. — W cieplejszych okolicach kuli ziemskiej widywałem często to zjawisko, ale żebyś mi nawet śmiercią zagroził, to tego wytłómaczyć nie potrafię. Tyle tylko wiem, że światło to nie tylko nie pali, ale nawet nie grzeje.

Długo przypatrywaliśmy się temu wspaniałemu zjawisku, a ile razy ryba plusnęła się na powierzchni morza, mieliśmy najwspanialszy fajerwerk. Nakoniec kapitan zapędził mię do łóżka.

Podczas żeglugi kapitan nie dał mi pró-

żnować. To mię oprowadzał po wszystkich kątach okrętu, ucząc nazwisk i przeznaczenia każdej liny, każdego narzędzia; to utrzymywać dziennik okrętowy; zapisywać spostrzeżenia pogody, słowem różnych wiadomości marynarzowi potrzebnych. Nieraz musiałem straż nocną odbywać, albo stać po kilka godzin przy sterze i uczyć się kierowania okrętem. Parę razy musiałem zarówno z majtkami drapać się po sznurowych drabinach na reje, ściągać lub rozpuszczać żagle, albo nawet wartować w bocianiem gnieździe, (Bocianiem gniazdem nazywa się kosz na szczycie wielkiego masztu, w którym majtek siedzący patrzy przez lunetę dokoła i o wszystkiem, co dostrzeże, donosi natychmiast kapitanowi. Pobyt w bocianiem gnieździe jest przykry i niebezpieczny, dla tego też wykraczający przeciw karności, bywają tam wysełani za karę) i przyznać trzeba, że w ciągu tej siedmiotygodniowej żeglugi ku brzegom afrykańskim, obznajomiłem się z najważniejszemi zasadami sztuki żeglarskiej.

Praca ta przykrzyła mi się z początku, lecz widząc, że kapitan mimo wrodzonej łagodności ostro karał nieposłusznych i opieszałych, nie śmiałem mu się narazić i pilnie wykonywałem, co mi polecił. A trzeba było dobrze uważać, bo nieraz badał mię ściśle, a na każde pytanie musiałem porządnie odpowiadać. Wkrótce przekonałem się, że życie marynarskie nie było tak swobodnem,

jak mi to nieraz majtkowie opowiadali. Na morzu, nie tylko darmo chleba jeść nie można, ale trzeba się tęgo napracować.

Nareszcie ujrzeliśmy upragnione brzegi Afryki; mówię upragnione, bo nie wiem jak komu, ale mnie się już porządnie przykrzyć zaczęło. Przez siedm tygodni nic nie widzieć, tylko same niebo i wodę, a przytem jeść suchary, solone mięso i pić ciepłą i niekoniecznie świeżą wodę, to wcale nie zachwyca. To też dostawszy się na ląd, o mało nie ucałowałem ziemi z radości. Zarzuciliśmy kotwicę w pobliżu Sierra Leone i zaczęliśmy prowadzić korzystny handel z murzynami.

Czarni znosili nam złoty piasek, kość słoniową, gumę arabską i mnóstwo innych płodów, które ich ziemia wydaje, w zamian za siekiery, piły, noże, zwierciadełka, paciorki i bawełniane tkaniny. Kapitan nasz zrobił świetny interes, a ja tak wyszedłem na moim handlu, że nie tylko dobroczyńcy mojemu zwróciłem wyłożone pieniądze, nie tylko wyprawiłem majtkom śniadanie, ale jeszcze do Londynu przywiozłem pięć funtów czystego złota w proszku, za który mi zapłacono w mennicy rządowej 300 funtów szterlingów samemi nowiuteńkiemi gwineami.

Cała ta podróż więc poszła nadzwyczaj pomyślnie. Wprawdzie nieprzyzwyczajony do klimatu afrykańskiego, dostałem w drodze silnej febry, ale ta za powrotem do Anglii wkrótce ustała.

V.

Śmierć kapitana okrętu — jego wdowa wysełą nową wyprawę do Gwinei — przyłączam się do niej — rozbójnik morski – bitwa.

Powróciwszy do Anglii i odebrawszy pieniądze z kasy za złoty piasek, zamyślałem pojechać natychmiast do Hull. Od znajomego londyńskiego kupca, którego spotkałem w stolicy, dowiedziałem się, że moi rodzice żyją, ale martwią się niezmiernie, nie wiedząc co się ze mną stało. A to tem więcej, że im doniesiono, iż okręt, na którym odpłynąłem, zatonął pod miastem Yarmouth.

Natychmiast poszedłem do portu i dałem zadatek sternikowi, odpływającemu do Edynburga, stolicy Szkocyi, który mię obiecał w Hull na ląd wysadzić, Wypadło tylko pożegnać dobrego kapitana i podziękować mu za wszystkie dobrodziejstwa.

Ale któż opisze moje zmartwienie, kiedy przybywszy do jego mieszkania, zastałem biedaka w okropnej gorączce, prawiącego od rzeczy, a żonę jak w największej rozpaczy. Biedak na drugi dzień po powrocie zachorował tak niebezpiecznie, iż lekarze żadnej nie robili nadziei. Nie mogłem nieszczęśliwej kobiety i mego zacnego opiekuna tak pozostawić. Zamiast więc siąść na okręt, przeniosłem się do nich i dzień i noc pielęgnowałem chorego. W tym stanie przebył dni pięć, a w nocy dnia szóstego, nie

odzyskawszy ani na chwilę przytomności, skonał na moich rękach.

Trzeba się było zająć pogrzebem, bo rozpaczająca żona nie miała sił o tem pomyśleć. Pochowaliśmy nieboszczyka z wielkim smutkiem. Umierając prawie nagle, zostawił interesa swoje w wielkim nieporządku. Strapiona wdowa nie mogła się niemi zająć. Przebyłem tam więc jeszcze parę tygodni, pomagając w tej sprawie bratu zmarłego.

Człowiek ten bardzo mię polubił i kiedy, kupiwszy okręt po bracie, zamierzał znów popłynąć do Gwinei, począł mię bardzo usilnie namawiać, abym mu towarzyszył. Nie trzeba mi było tego dwa razy mówić. Chęć do dalszej żeglugi, oraz korzyść wielka, odniesiona w pierwszej podróży, skusiły mię do spróbowania jeszcze raz szczęścia.

Postanowiłem więc nie wracać do domu, aż po przybyciu z Gwinei, aby z większym jeszcze kapitałem przedstawić się rodzicom.

Za połowę posiadanej sumy nakupowałem różnych towarów, najstósowniejszych dla handlu z murzynami. Resztę zostawiłem u wdowy po kapitanie, aby na wypadek jakiego nieszczęścia nie stracić od razu wszystkiego.

Dnia 1 września 1659 roku wyruszyliśmy w ową daleką podróż morską. Żegluga szła pomyślnie. Wprawdzie nic nieznacząca burza spotkała nas w zatoce Biskajskiej, ale wyszliśmy z niej bez szkody.

Brzegi Europy znikły nam już z oczu i wszystko zdawało się zapowiadać szczęśliwe przybycie do celu podróży, gdy w tem niedaleko wyspy Lanceroty, jednej z wysp Kanadyjskich, majtek, będący na straży w bocianiem gnieździe, dał znać kapitanowi, iż jakiś wielki okręt ukazał się na wschodzie i wprost ku nam płynie. Kapitan wdarł się na maszt i przekonał się, że to statek berberyjski*), ścigający nas pełnemi żaglami; ale zamiast skierować się ku Lancerocie i w tamtejszym porcie szukać ocalenia, jak to roztropność nakazywała, kapitan, zaufany w szybkim pływie okrętu, kazał rozpuścić wszystkie żagle i płynąć na południe. Mniemaliśmy tym sposobem ujść przed rozbójnikiem.

Wkrótce jednak pokazało się, że korsarz prędzej od nas płynie i za kilka godzin niezawodnie nas dopędzi. Natychmiast więc przygotowano się do obrony. Dziesięć armat okrętowych nabito po części kulami, w części zaś siekańcami. Naokoło wielkiego masztu ułożono stos pik, toporów i szabli oraz kilkanaście nabitych karabinów. Było

---

*) Aż do początku teraźniejszego wieku, państwa mahometańskie na północnych wybrzeżach Afryki, zwane berberyjskiemi, trudniły się rozbojem morskim. Kilkakrotne przeciwko nim wyprawy nie zapobiegły złemu, dopiero gdy Francya zdobyła w roku 1830 Algier, główne gniazdo korsarstwa, koniec temu łotrostwu położyła.

nas dwudziestu ośmiu; na pokładzie statku korsarskiego przeszło siedm razy tyle; a ośmnaście armat wychylało swe paszcze z boków.

Około południa rozbójnik zbliżył się na odległość strzału działowego, wywiesił czarną flagę i dał ognia ślepym nabojem, wzywając nas do poddania się. Kapitan kazał zwinąć część żagli i zatrzymał się nieco. Gdy zaś rozbójnik, tem uspokojony, zbliżył się ku nam, powitaliśmy go nagle wystrzałem ze wszystkich dział. Kule dobrze wymierzone strzaskały mu tylny maszt, a siekańce zawaliły pokład rannymi i trupami. Pozdrowiony tak niespodzianie, począł spiesznie uchodzić. Byliśmy pewni, że zrażony dzielnem przyjęciem, nie odważy się ponowić napadu; ale rozjuszony korsarz nie popuścił tak łatwo zdobyczy. Około trzeciej po południu dopędził nas na nowo i tym razem trzymając się w odległości, w jakiej go nasze kule dosięgnąć nie mogły, począł z wielkiego działa raz po raz dawać ognia. Kilkanaście celnych strzałów ubezwładniło nasz okręt, a wtedy z wielką szybkością przypadł i mimo ognia z dział, zahaczył nasz okręt.

Sześćdziesięciu Maurów z gwałtownością burzy wpadło na pokład; daliśmy do nich ognia z karabinów, a na zmieszanych tą salwą wpadliśmy z rozpaczą i wyrzucili z pokładu. Lecz rozbójnicy z podwójną siłą uderzyli powtórnie. Po krótkiej, zaciętej walce, pomimo wysileń męstwa zostaliśmy

pobici. Kapitan, sternik i ośmiu z osady padło trupem, reszta otrzymała rany i musiała się poddać. Maurowie w obu spotkaniach przeszło trzy razy tyle ludzi stracili.



Korsarz, złupiwszy okręt, podpalił go, a nas zaprowadził do Sale, miasta portowego na zachodniem wybrzeżu marokań-

skiem. Wyszedłem z tej bitwy bez szkody, pomimo, że walczyłem równo z drugimi. Towarzyszy moich powieziono w głąb kraju i tam zaprzedano w niewolę. Mnie upodobał sobie właściciel rozbójniczego okrętu i zatrzymał jako niewolnika.

Utrata wolności, nagłe przejście z kupca na niewolnika, zgnębiło mię niezmiernie. W czasie obu podróży i pobytu w Londynie, nie pomyślałem wcale o przebłaganiu rodziców. Teraz na nowo zabrzmiały mi w uszach pamiętne słowa ojca:

»Kto nie słucha rodziców, temu nigdy Bóg błogosławić nie będzie i marnie zginie«.

Przepowiednia ta ziściła się na mej osobie zupełnie. Chwila kary nadeszła: byłem najnieszczęśliwszym z ludzi. Oddalony o kilkaset mil od ojczystej ziemi, niewolnik nawpół dzikich Mahometanów, bez pociechy i pozbawiony wszelkiej nadziei, oddawałem się strasznej rozpaczy. A jednakże był to dopiero początek moich cierpień. Inne daleko większe nieszczęścia czekały mnie w przyszłości, jak się o tem mili czytelnicy w dalszem opowiadaniu przekonają.

VI.

Niewola — mój pan robi mię ogrodniczkiem — moje pomieszkanie i pożywienie — rybołówstwo — Ksury i Mulej.

Nowy mój pan nie był wcale rozbójnikiem z profesyi, ale bogatym magnatem

maurytańskim. Wysyłał on okręty na zdobycz, bo mu to korzyść przynosiło, a korsarstwo u Maurów nie było wcale hańbiącą sprawą, ale uchodziło za czyn bohaterski, rycerski. Więc sami nawet członkwie rodziny sułtańskiej wysyłali statki na chwytanie i łupienie chrześcian, a pan mój wielki majątek na tych wyprawach zrobił.

Za przybyciem do Sale, dozórca niewolników Akib obejrzał mnie dobrze i przeznaczył na ogrodniczka. Nie mogę narzekać, żeby mię bito lub dręczono, ale jako chrześcijanin, byłem pogardzony od Maurów i traktowany na równi z murzynami, z którymi wspólnie mieszkać i jeść musiałem. Mieszkaliśmy w ciasnej, prawie podziemnej izbie, zanieczyszczonej brudem i mnóstwem obrzydłego robactwa. Placek z prosy, kawał jęczmiennego, grubego chleba i nieco gotowanego ryżu, stanowiło nasze pożywienie. Noc była dla mnie najokropniejszą: leżąc pośród kilkunastu murzynów, których ciała nieznośny zaduch wydają, dręczony od owadów, nieraz na garści zgniłej słomy, rzewnemi zalewałem się łzami.

Wówczas przypominały mi się żywo szczęśliwe chwile, przepędzane w domu rodziców... Jakże mi tam dobrze było w schludnym pokoiku, na czyściutkiem posłaniu, otoczonemu troskliwością ukochanej matki!... A dziś!... jakiż los mój okropny!

I wzburzony temi myślami, zrywałem się z posłania, wydając głośne jęki, a murzyni, zbudzeni mem narzekaniem, złorzeczyli mi, grożąc biciem, jeśli im przerywać będę spoczynek.

A jednak, mimo tak strasznego położenia, myśl o Bogu nie powstała w mej duszy. Złorzeczyłem tylko, albo rozpaczałem, lecz nie szukałem pociechy w modlitwie, a kiedy wzruszenie moje uspokoiło się nieco, naówczas rozmyślałem o sposobie ucieczki z niewoli.

Kopiąc, lub plewiąc po całych dniach w ogrodzie, miałem dosyć czasu do rozmyślania. Z początku pocieszała mię nadzieja, że pan mój, wyprawiając się na morze, weźmie mię z sobą; że przyjdzie szczęśliwa chwila, iż dogoni nas wojenny okręt chrześcijański i pokonawszy rozbójnika, wyrwie mię z niewoli. Lecz wkrótce przekonałem się, że to wszystko czcze marzenia. Ile razy Maur przedsiębrał wyprawę, zawsze zostawiał mię w domu pod nadzorem Akiba.

Tak zeszły dwa ciężkie lata w niewoli. Pomimo trudów wyrosłem i zmężniałem. Położenie moje było wciąż przykre, lecz zyskałem bardzo wiele pod innym względem. Dostawszy się do niewoli, byłem wierutnym próżniakiem, ale teraz bojaźń przed plagami zmuszała mnie do roboty. Widziałem nieraz, jak bat dozórcy krwawe znaczył brózdy

na plecach leniwego murzyna, i wcale nie miałem ochoty spróbować, jak to smakuje.

Tak więc ze strachu nauczyłem się pracować, robota nie tylko nie sprawiała mi przykrości, lecz przeciwnie, w każdy piątek, który jest u muzułmanów naszą niedzielą — gdy uwalniano nas od pracy, nudziłem się niezmiernie. I tak sam nie wiem kiedy, stałem się wytrwałym i pracowitym, co mi się w późniejszem życiu bardzo przydało.

Pracowitość moja i uległość nie uszły oku Akiba, i doniósł o tem panu. Właśnie wówczas okręt nasz po krwawej bitwie został przez Holendrów zniszczony. Pan mój więc porzucił korsarstwo, ale nawykły do morza, nie chciał się z niem rozstawać. Z rozkazu jego zbudowano ładną szalupę, w której używał częstej przejażdżki, wypływając na połów ryb. Wskutek pochwał Akiba obrócił mię do służby na tym statku, co było wielką dla mnie ulgą. Ja i Ksury, czternastoletni Maur, chłopiec cichy i dobry, stanowiliśmy osadę szalupy. Że byłem zręczny i szczęśliwy w łowieniu ryb, więc czasami wysyłał mię z Ksurym pod nadzorem dozórcy domu, Muleja.

Jednego dnia, podczas pięknej pogody, wypłynęliśmy bardzo rano z Mulejem i Ksurym na ryby. Nagle zawiał zimny wiatr z północy, a powietrze, przesiąknięte parą, w mgnieniu oka zamieniło się w gęstą, nieprzejrzaną mgłę. O kilka kroków nic

widać nie było. Nie mając kompasu, ani żadnego narzędzia żeglarskiego, musieliśmy płynąć na ślepy traf. Przez cały dzień i następną noc błąkaliśmy się pośród mglistych oparów, w największej niespokojności. Nakoniec drugiego dnia około dziewiątej rano, kiedy już słońce rozpędziło mgłę, znaleźliśmy się oddaleni o siedem mil morskich od Sale. Zgłodniali i utrudzeni, wieczorem dopiero powróciliśmy do domu.

Pan nasz, lękając się, aby może i jego samego coś podobnego nie spotkało, kazał zbudować kajutę wśród szalupy i dorobić pokład. Kajutę zaopatrzono w kompas i dodano skrzynkę z napojami i żywnością, tak, aby na kilka dni starczyło.

Jednego dnia kazał mnie pan przywołać do siebie.

— Słuchaj! — rzekł do mnie. — Jutro przyjeżdżają moi krewni z Marokku. Chcę ich zabawić rybołówstwem. Przygotuj więc statek i zaopatrz go w świeże owoce. Niechaj Mulej zaniesie do kajuty cztery muszkiety i dostateczną ilość prochu i ołowiu, bo może zapolujemy także na ptaki morskie. Pamiętaj, żeby wszystko było w porządku i równo ze dniem gotowe do rozwinięcia żagla. Nie zapomnij też o napojach i o wodzie — a teraz precz!

Wypełniłem starannie polecenie pana i o brzasku czekałem na jego przybycie. Tymczasem zamiast niego przyszedł Mulej

i oświadczył mi, że goście przybędą dopiero po południu, a pan rozkazał nam trzem popłynąć na ryby, ażeby ich na wieczerzę dostarczyć.

W tej chwili błysła mi w duszy myśl upragnionej ucieczki; pan zajęty krewnymi łatwo mógł o nas zapomnieć. Szalupa zaopatrzona była w żywność na kilka dni; należało tylko powiększyć jej zapasy; broni zaś i prochu oraz kul było dosyć. Rzekłem więc do Muleja:



— Mamy płynąć na ryby, ale nie wiem, jak to będzie z żywnością?

— Alboż jej niema w kajucie pod dostatkiem? — zapytał Mulej zdziwiony.

— Jakto! i ty śmiałbyś dotknąć chleba naszego pana? Ja zanicbym tego nie uczy-

nił, boby mi nie przeszedł przez gardło; i Ksury niezawodnie myśli tak samo.

— Tak! tak! — poświadczył mi chłopiec'

— Masz słuszność — zawołał przekonany Mulej. — Idę więc po chleb dla nas.

— A weź go sporo – rzekłem, — bo wszyscy trzej mamy niezgorszy apetyt i nie zapomnij o wodzie. Nużby nas wiatr przeciwny zaskoczył, tobyśmy poumierali z pragnienia.

Mulej odwrócił się i poszedł ku domowi.

— Ale, ale, — zawołałem za nim — a przynieśno trochę prochu, bo może co przy tej sposobności upolujemy.

Dobrze — odrzekł Maur i poszedł.

Wysłałem Ksurego do domu, aby narwał w ogrodzie nieco owoców, a sam, korzystając z nieobecności obydwóch, wybiegłem boczną ścieżką. Zabrawszy z budy ogrodniczej dwie siekiery, młot, piłę, świder i worek kaszy, przeznaczonej dla murzynów, zniosłem to do łodzi i ukryłem w kajucie pod łóżkiem.

Wkrótce nadbiegł Ksury, niosąc kilkanaście pomarańcz i dwa melony, a za nim niedługo przywlókł się Mulej, dźwigając kosz sucharów, worek prochu i śrutu. Nadto dwaj murzyni przynieśli po ogromnym dzbanie wody.

Podnieśliśmy kotwicę i wypłynęliśmy na pełne morze. Straż zamkowa, znając łódź mego pana, bez trudności ją przepuściła.

Kilkakrotnie Mulej radził zatrzymać szalupę i zarzucić sieci, ale ja zawsze sprzeciwiałem się, twierdząc, iż tu ryb niema. Nakoniec, kiedyśmy już byli oddaleni przeszło o milę morską od brzegu, kazałem Mulejowi zwinąć żagiel i zacząłem połów. Lecz chociaż czułem rybę w sieci, upuszczałem ją niżej, pozwalając ujść zdobyczy. Tak zeszło około godziny czasu.

— No i cóż — zagadnął Mulej — czy nic dotąd nie złowiłeś?

— Nie wiem, co to jest — odpowiedziałem, — czy czary, czy urok jaki; męczę się nadaremnie i nic schwytać nie mogę.

— Cóż więc zrobimy? — zagadnął Maur niespokojnie; — bez ryb wracać nie podobna, Sidi Mustafa gniewałby się okropnie.

— Wiem ja jedno miejsce bardzo obfite w ryby, ale ono znajdnje się o całą milę na południe. Tam niechybnie możnaby mieć piękny połów.

— A więc płyńmy — rzekł Mulej, rozwijając żagiel.

Skierowaliśmy się ku południowi. Wiatr wiał w tamtę stronę, co się sprzeciwiało moim zamysłom, gdyż do ucieczki ku brzegom europejskim należało mieć wiatr ku północy. Mimo to nie zrzekłem się mego planu, postanowiwszy zmykać w jakimbądź kierunku, byle tylko raz wydobyć się z tej nienawistnej niewoli.

VII.

Ucieczka z Sale — przysięga Ksurego — spotkanie z lwem — murzyni — lampart.

Słońce już chyliło się ku zachodowi, a jeszcze ani jednej rybki nie było w skrzynce. Mulej, nie przeczuwając zdrady, nie zważał na to, że płynęliśmy wiele dalej jak zwykle. Miasto Sale, chociaż położone na górze, zniknęło nam już całkiem z oczu, widać tylko było o milę morską pusty brzeg. Naówczas zawołałem na Maura, ażeby ściągnął żagiel i właśnie, gdy to uczynił i sznur wiązał do boku szalupy, pochwyciłem pochylonego i wyrzuciłem w morze. Mulej zanurzył się zupełnie, ale wnet wypłynął na wierzch, zmierzając do łodzi i zaklinając mnie, abym mu życia nie odbierał. Natychmiast pochwyciwszy muszkiet, wymierzyłem do niego, wołając:

Precz! nie zbliżaj się, bo ci kulą łeb roztrzaskam. Nie myślę ci nic złego uczynić i nic ci nie zrobię, tylko opuść mnie dobrowolnie. Wiem, że pływasz jak ryba, a więc dostaniesz się łatwo do lądu. Ja postanowiłem uciekać i chociażbym cię miał zabić, nie odstąpię od tego zamiaru.

Usłyszawszy to Maur, odwrócił się ku lądowi, a ponieważ był wybornym pływakiem, pewny jestem, że się tam dostał szczęśliwie.

Ksury, zbladły i przerażony, przypatrywał się w osłupieniu tej scenie. Kiedy Mulej

był już daleko, odwróciłem się do chłopca i rzekłem mu.

— Ksury! mógłbym cię także wrzucić do morza i bądź pewny, że to zrobię, jeżeli mi nie przysięgniesz wierności.

Przestraszony chłopak upadł na twarz i wyjąkał żądaną przysięgę, zaklinając się, że nigdy mnie nie zdradzi.

Natychmiast rozwinąłem żagiel i zwróciłem szalupę ku północy, ażeby płynący Mulej sądził, iż zmierzamy ku cieśninie Gibraltarskiej, i tym sposobem zmylił pogoń, wysłaną za nami. Lecz gdy noc zapadła, zmieniliśmy natychmiast kierunek, płynąc ku południowi. Nikt nie przypuściłby, abym się odważył uciekać w tę stronę, gdzie nas mogła spotkać śmierć niezawodna, jeżeli nie z rąk murzynów, to od pazurów dzikich zwierząt.

Pomyślny wiatr i spokojne morze pozwoliły nam szybko żeglować. To też na drugi dzień po południu nie tylko wyminęliśmy wybrzeże marokańskie, ale nawet ujście rzeki Draa, uchodzącej do morza naprost Lanceroty. Było to wiele, ale należało płynąć bez wytchnienia, chcąc się zabezpieczyć od pogoni. Dlatego też przez trzy dni i trzy noce nie zatrzymaliśmy się ani na chwilę, dopiero czwartego dnia, ku wieczorowi, widząc, że się kończą zapasy wody, skierowałem ku ujściu niewielkiej rzeczki, zamierzając poszukać źródła.

Ale zanim wpłynęliśmy na nią, już słońce zaszło i grube zapadły ciemności. Natychmiast przeraźliwe ryki dzikich zwierząt rozległy się dokoła.

— Panie — zawołał Ksury, drżąc od strachu — zaklinam cię na imię proroka, nie wysiadajmy na ląd, dopóki słońce nie wejdzie.

Dobrze, mój chłopcze, — odpowiedziałem — ale lękam się, ażeby za dnia gorsi od drapieżnych zwierząt, nie napadli na nas dzicy murzyni.

— Wszak mamy strzelby, — zawołał Ksury; — na widok ich czarni pouciekają, a tymczasem lampart, albo lew, nie zna się na kulach, a ma wściekłą odwagę. Uznałem słuszność tej uwagi i zapuściwszy kotwicę, postanowiłem dnia oczekiwać. Noc zeszła dosyć spokojnie, chociaż często ryk dzikich zwierząt sen nasz przerywał.

Dopiero około trzeciej po północy, jakieś ogromne zwierzę, zaryczawszy tuż nad brzegiem, nabawiło nas wielkiej trwogi. Pochwyciliśmy strzelby, a wtem potwór ów, rzuciwszy się w wodę, począł prosto ku nam płynąć. Z potężnego sapania poznać można było, że jest silny i straszny. Ksury nalegał po cichu, żeby podnieść kotwicę i uchodzić na pełne morze; skinąłem, ażeby się zachował spokojnie i w tej prawie chwili spostrzegłem zwierzę zaledwie na odległość wiosła od statku. Nie czekając dłużej, wypaliłem

do niego; potwór z rykiem zwrócił się ku lądowi i zniknął w ciemnościach.

Nie podobna opisać wrzawy, jaka nastąpiła po wystrzale; najrozmaitsze ryki i wrzaski napełniły powietrze, ale zwolna wszysto ucichło i do rana nic już nie zakłóciło naszej spokojności.

Nakoniec słońce weszło. Po obydwóch stronach rzeczki rozciągały się wzgórki krzewami okryte, dalej zaś nieco czerniały ogromne bory. Cisza zupełna panowała w okolicy, jednak nie odważyliśmy się wysiąść, aż dzień całkiem zajaśniał.

— Ja pójdę po wodę — rzekł Ksury, — a wy pozostańcie w łodzi.

— Dlaczego nie chcesz, żebym szedł z tobą? — zapytałem Maura.

— Panie, — zawołał poczciwy chłopiec, — w tych krzakach może kryją się jakie drapieżne zwierzęta, albo murzyni. Jeżeli mnie napadną, to przynajmniej sam zginę, a ty będziesz mógł ratować się ucieczką.

— A więc pójdziemy oba, a napastników położymy trupem — rzekłem, chwytając strzelbę i podając drugą Ksuremu. Poczem skierowałem szalupę ku brzegowi i pierwszy wyskoczyłem na ziemię. Ksury zaraz spostrzegł potok płynący doliną. Pobiegł więc ku niemu, ażeby napełnić dzbany, ale w mgnieniu oka powrócił zbladły od strachu.

— Dlaczego tak drżysz? — zapytałem z niespokojnością.

— Tam... tam... — bełkotał zcicha, — na dole ogromny zwierz, Pan z dużą głową (Tak Maurowie nazywają lwa. Przyj.)

Odciągnąwszy kurek i kazawszy Ksuremu iść za sobą, począłem ostróżnie skradać się ku krzewinie, wskazanej przez chłopca. Podchodzimy tuż pod nią, Ksury wskazuje mi na migi, żebym zwrócił się na prawo. Była tam stroma skała, na cztery sążnie wysoka i całkiem odosobniona. Wdzieramy się na nią, przechylam się przez krawędź i spostrzegam ogromnego lwa, leżącego w gąszczu tuż pod skalistą ścianą.

Daję znak Ksuremu, mierzymy obydwa w głowę i wypalamy równocześnie.

Lew ani nie drgnął.

— Co to ma znaczyć? — odezwał się Ksury z największem zdziwieniem.

— A cóż — odrzekłem — zapewne ugodziliśmy go doskonale i zdechł od razu.

— O nie! — mówił chłopiec, przypatrując się pilnie straszliwemu zwierzęciu — lew nigdy od razu nie ginie, to twardy zwierz.

To mówiąc zbiegł ze skały. Skoczyłem za nim. Zbliżywszy się do lwa, spostrzegamy ogromną kałużę krwi i szeroką ranę pod lewą łopatką, z której sączyło się jeszcze nieco czarnej posoki.

— Widocznie zginął od kuli i to nie od

naszych strzałów. Lecz kto go mógł ubić? czyżby Maurowie?...

— Wiem już — zawołał Ksury wesoło — to ten sam lew, co nas w nocy nastraszył, a ta kula z waszego muszkietu... Raniony śmiertelnie dowlókł się tutaj i skonał.

Trafne to spostrzeżenie uspokoiło mię zupełnie.

Chciałem zaraz wrócić do łodzi, ale Ksury namówił mię, aby ściągnąć skórę z lwa, a otrzymawszy pozwolenie, wziął się do tego z nieporównaną zręcznością. Poczem wyciął kawał mięsa z grzbietu, rozpalił ogień i upiekł go. Nie mając od kilku dni nic gotowanego w ustach, zjedliśmy z wielkim apetytem lwią pieczeń, chociaż była piekielnie twarda i łykowata.

Po skończonej uczcie i napełnieniu dzbanów wodą, podnieśliśmy kotwicę i wypłynęli na morze. Ksury rozpostarł zdobytą skórę na daszku kajuty, aby wyschła.

Wprawdzie żegluga szła wciąż pomyślnie, ale już szósty dzień upływał od naszej ucieczki, a dotąd nie spostrzegliśmy ani jednego okrętu...

Miałżebym wyzwolić się z niewoli na to, ażeby zginąć w falach oceanu, albo stać się łupem dzikiego zwierza? Przyszło mi jednak na myśl, że okręty europejskie zwykły trzymać się na pełnem morzu, zdala od wybrzeży, ażeby uniknąć napaści maurytańskich korsarzy. Nie mogąc puszczać się na ocean

dla wątłości małego statku i braku zapasów, postanowiłem żeglować dalej jeszcze na południe, aby dosięgnąć osad europejskich na brzegach Senegambii.

Czwartego dnia po opuszczeniu brzegów, na których zabiłem lwa, dziewiątego po ucieczce z Sale, nasze żywności były na schyłku, pożeglowałem więc ku brzegom. Kraj tu zmienił się do niepoznania; zamiast skalistych i jałowych wybrzeży, ujrzeliśmy przestrzeń zieloną, zarosłą kępami palm.

— To daktyle — mówił Ksury; — przybijmy do lądu, a wedrę się na drzewo i nazrywam tych smacznych owoców.

Ale nie tylko daktyle znajdowały się na wybrzeżu. Zbliżywszy się ku niemu, ujrzeliśmy liczną gromadę murzynów. Wszyscy byli bezbronni, jeden tylko, stojący na przedzie, długi kij trzymał w ręku.

— Nie przybijaj do lądu! odpłyń natychmiast! – wołał Ksury.

— Dlaczego!?

— Ten murzyn, co stoi na przedzie, trzyma w ręku dziryt; umieją oni rzucać nim bardzo zręcznie na sześćdziesiąt kroków, więc mógłby nas zranić.

— Cóż więc uczynimy? Wiesz, że nam całkiem zabrakło żywności, trzeba jej koniecznie dostać. Weź strzelbę Ksury, i miej go na celu, ja wysiądę. Gdyby chciał rzucić dzirytem, to połóż go czemprędzej trupem.

Wysiadłem z łodzi, trzymając także

strzelbę gotową do wystrzału; ale zaledwie dotknąłem nogą ziemi, gdy nagle między murzynami powstał niezmierny popłoch.

Człowiek tylko uzbrojony dzirytem nie ruszył się z miejsca, reszta pierzchła w nieładzie. Mniemałem, że to moja osoba napędziła im takiego respektu, lecz wtem wybiegł ogromny lampart z poza blizkich krzaków ku murzynom. W mgnieniu oka wziąłem go na cel i wypaliłem; lampart podskoczył, zawył przeraźliwie i rozciągnął się jak długi.

Dzicy przerazili się hukiem wystrzału i niepojętą dla nich śmiercią lamparta. Murzyn, trzymający dziryt, rzucił go daleko od siebie i padł na twarz. Inni uczynili to samo i cała gromada zaczęła pełzać ku mnie na czworakach z największem uszanowaniem, co mnie do śmiechu pobudziło. Znać wzięli mnie za boga, miotającego piorunami.

Postanowiłem z tego skorzystać i zacząłem na usta pokazywać, ruszając szczękami. Czarni zrozumieli mię doskonale; kilku podniosło się z ziemi i popędzili co sił ku wiosce, na odległem wzgórzu zbudowanej, podczas gdy inni leżeli nieporuszeni na ziemi. Wkrótce wysłańcy powrócili, niosąc dwa kawały suszonego mięsa, zapasy daktyli i prosa. Złożywszy to na brzegu, popadali na ziemię i tyłem pełzając złączyli się z całą gromadą. Tymczasem Ksury obciągnął skórę lamparta. Znieśliśmy żywność do łodzi, od-

bili od brzegu, a ja na pożegnanie dałem ognia w powietrze, co jeszcze bardziej przeraziło murzynów.

I upłynęliśmy już daleko od brzegu, a oni jeszcze nie śmieli powstać; nareszcie popodnosili głowy, a widząc, że straszny władca piorunów już jest o kilkaset sążni oddalony, pobiegli nad brzeg i rzucili się na mięso ubitego lamparta.

Wkrótce zniknęli nam z oczu zupełnie.

VIII.

Ksury spostrzega okręt — kto na nim był — żegluga ku wybrzeżom Brazylii — rozstanie się z Ksurym — przybycie do San Salvador.

Dwa dni płynęliśmy jeszcze ku południowi, zmieniając się podczas nocy w kierowaniu statkiem. Właśnie nad ranem trzeciego dnia, Ksury, sterując z kolei, obudził mię z wielkim strachem i nic nie mówiąc, wskazał ku północy.

— Co to takiego? — zapytałem — czego chcesz?

— Tam! patrzcie... okręt z Sale!... gonią nas. Nasz pan, Akib, Mulej i wszyscy. Ach, zginęliśmy bez ratunku.

Zerwałem się na nogi, wytężyłem wzrok i w istocie w odległości mili ujrzałem okręt trzechmasztowy. Lubo flagi rozpoznać nie było można, poznałem jednak z budowy, że to statek portugalski. Zmierzał on z pół-

nocy ku zachodowi. Skierowałem szalupę tak, aby mu przeciąć drogę. Po trzech kwadransach zmiejszyła się znacznie odległość pomiędzy nami. Będąc przekonanym, że nas usłyszy, nabiłem wszystkie muszkiety i naraz z Ksurym daliśmy cztery wystrzały. To skutkowało. Na okręcie poczęto zwijać żagle, bieg jego znacznie zwolniał, a po chwili czółno, osadzone kilku majtkami, odbiło od trójmasztowca i z szybkością zaczęło przerzynać fale. Dla zmniejszenia im trudu podwoiliśmy nasze siły, robiąc wiosłami. Wkrótce spotkały się obydwie łodzie.

Młody człowiek, dowodzący czółnem, zaczął nam zadawać pytania w języku portugalskim i hiszpańskim. Dałem mu do poznania, że go nie rozumiem. Złożyłem tylko ręce jak do modlitwy, wskazując na okręt. Pojął mą prośbę. Dwóch majtków przesiadło na szalupę i pomogło nam płynąć ku okrętowi. Przyjęli nas na pokład, a że kapitan także nie umiał po angielsku, przeto nie mogliśmy się z sobą porozumieć. Zaczął do mnie przemawiać po francusku, po włosku, nakoniec po łacinie, lecz i tych języków nie umiałem. Naówczas dopiero gorzko mi się dało uczuć moje lenistwo. Nieraz ojciec zachęcał mnie do uczenia się obcych języków, ale będąc wierutnym leniuchem i próżniakiem, nie brałem się wtedy do nauki.

Właśnie rozmyślałem nad tem, jakby kapitanowi chociaż na migi dać poznać moje

przygody, gdy wtem przyprowadzono majtka Anglika, umiejącego po portugalsku. Ten wybawił mię z kłopotu, służąc za tłómacza Za jego pośrednictwem opowiedziałem wszystko, co mię od czasu opuszczenia Anglii spotkało.

Kapitan, wysłuchawszy tłómacza, kazał mi powiedzieć, iż płynie do Brazylii i chętnie nas z sobą zabierze. W zbytku radości ucałowałem mu ręce, prosząc, by wziął wszystko co posiadam w zamian za udzielony nam ratunek.

— Młody człowieku! — odrzekł zacny marynarz — i cóżbyś począł, gdybym twej nierozsądnej prośbie zadość uczynił. Ogołocony ze wszystkigo, bez grosza, bez przyjaciół, przybywszy do Brazylii, musiałbyś się zaprzedać osadnikom w niewolę, cięższą może od maurytańskiej. Niech mnie Bóg uchowa, abym korzystając z twego położenia, miał cię obedrzeć. O nie, mój panie Angliku, to co uczynię, czynie z miłości Jezusa Chrystusa, a jeżeli czynię dobrze, Bóg mi to na sądzie ostatecznym policzy.

Natychmiast kazał sporządzić dokładny spis moich rzeczy, nie zapominając nawet o dzbanach od wody. Poczem zapytał mię, czylibym nie sprzedał mu szalupy i ile za nią żądam. »Statek to pięknie i dobrze zbudowany — dodał — i może mi być bardzo przydatnym«. Kiedy zaś wahałem się ustanowić cenę, szlachetny Portugalczyk rzekł:

— Gdybym kazał umyślnie budować szalupę, musiałbym dać za nią przynajmniej dwieście dukatów. Będę bardzo kontent, jeżeli mi ją odstąpisz za połowę tej sumy; za muszkiety, kompas i resztę sprzętów ofiaruję ci osobno dwadzieścia dukatów. Mów, czy na to przystajesz?

Z wdzięcznością przyjąłem tę korzystną propozycyę.

— Cóż zamyślasz z tym młodym Maurem uczynić? Jest on twoją własnością, ale pożytku nie przyniesie ci wcale, a wyżywienie dużo kosztować będzie. Wiesz co, sprzedaj mi go, dam ci za niego pięćdziesiąt dukatów, czy zgoda?

Wzdrygnąłem się na tę myśl, ażebym bliźniego, a jeszcze towarzysza niedoli, miał jak bezrozumne bydlę sprzedawać. Oświadczyłem to kapitanowi, który uznawszy zacność powodów moich, podał mi rękę i rzekł:

— A więc zapytaj go, czyby nie chciał dobrowolnie wstąpić w mą służbę? Ofiaruję mu zapłatę jako wolnemu człowiekowi, jednakże pod warunkiem, że zostanie katolikiem.

Powiedziałem Ksuremu po arabsku to samo, co mi tłómacz mówił po angielsku. Poczciwy chłopiec przystał na propozycyę kapitana, ale rozpłakał się na myśl rozstania się ze mną. Uznał jednakże, że inaczej być nie może i oświadczył, że przyjmie wyznanie chrześcijańskie.

Żal mi go było szczerze, pokochałem Ksurego jak brata i rozstanie nasze było nadzwyczaj przykrem.

W cztery tygodnie po spotkaniu się z Portugalczykiem przy bardzo pomyślnym wietrze dostaliśmy się do wybrzeży Brazylii. Kapitan zawinął do przystani San Salvador, (San Salvador albo Bahia, miasto portowe w północnej Brazylii.) miasta znacznego i handlowego; tu wysadził mię na ląd, wypłaciwszy rzetelnie ofiarowaną sumę. Natychmiast zapoznał mię z bogatym osadnikiem, który nabył ode mnie skóry obu drapieżnych zwierząt za czterdzieści dukatów i obiecał swoją opiekę. Tak ładunek łodzi mej przyniósł mi sto sześćdziesiąt dukatów, co na owe czasy było bardzo znaczną sumą i z czem przecież mogłem, powróciwszy do Anglii, coś rozpocząć, zwłaszcza, że i tam miałem pieniądze u wdowy złożone.

Ponieważ kapitan portugalski, po zostawieniu części ładunku płynął do Indyi Wschodnich, a żaden okręt w tej chwili nie odpływał do Europy, musiałem więc czas jakiś pozostać w Brazylii.

IX.

Dostaję się do osadnika — zakupuję grunt i zakładam plantacyę — handel murzynami — nowa podróż — burza — rozbicie.

Osadnik, z którym zapoznał mię kapitan, miał w blizkości San Salvador piękną plantacyę trzciny cukrowej, a oprócz tego wa-

rzelnię cukru. Pojechałem z nim do fabryki i bawiąc tam przez kilka dni, miałem sposobność przekonania się, jak ogromne zyski ciągną plantatorowie i warzelnicy. Przyzwyczajonemu do pracy, zaczął się nudzić brak zatrudnienia, ofiarowałem się więc osadnikowi doglądać jego zakładów. Przyjął to bardzo mile, a po paru miesięcach pobytu zaczął mię namawiać, abym na swoją rękę założył plantacyę. Grunta można było nabyć za bezcen i robotnik zbyt wiele nie kosztował. Dałem się namówić. Osadnik wyrobił mi pozwolenie pozostania w tym kraju i dopomógł zaręczeniem do rozpoczęcia zawodu plantatorskiego,

Ciężki to był kawałek chleba, żyć jako plantator. Nie posiadając niewolników, musiałem sam pracować z najemnikami. Część pól zasadziłem trzciną, drugą zaś tytoniem. Były z tego wprawdzie zyski, ale nie tak świetne, o jakich marzyłem; brakowało mi pieniędzy. Wprawdzie przez kapitana portugalskiego, który mię wyratował, napisałem list do wdowy, ażeby odesłała mi mój kapitalik, ale drugi rok już upływał, a nie miałem wcale od niej wiadomości. Zaczęło mi się w tej ciężkiej pracy niezmiernie przykrzyć. Wszystko co zarabiałem, musiałem oddawać wierzycielowi, który mi sprzedał plantacyę; przytem zawsze coś pociągało mię do żeglugi i z zazdrością patrzałem na każdego odpływającego na morze człowieka.

Jednego dnia z rana, właśnie gdy z dwoma najemnikami zajęty byłem pakowaniem tytoniu w wory, wszedł niespodziewanie mój przyjaciel, kapitan portugalski.

— No jak się miewasz, kochany Robinzonie — zawołał, rzucając się w moje objęcia. — Przywożę ci resztki twego majątku z Londynu. Zacna wdowa, u której miałeś pieniądze, pozdrawia cię serdecznie. Nie uwierzysz, jak się ucieszyła, dowiedziawszy się, żeś ocalał, a ile się napłakała, słuchając opowiadania twych przygód! Może się będziesz gniewał, ale zamiast gotówki, przywożę ci rozmaite towary angielskie, któreśmy wspólnie zakupili, chcąc, abyś w ten sposób swój kapitalik powiększył.

Podziękowałem za to szczerze kapitanowi. Udaliśmy się potem do portu, gdzie na moje towary znalazłem zaraz kupców. Sprzedałem je tak dobrze, że zamiast 150, wziąłem czterysta funtów. To polepszyło niezmiernie mój stan, zwłaszcza, że sprzedałem i tytoń, za który mi także paręset dukatów zapłacono. Tak więc zamożność moja wzrosła, nie byłem już nikomu nic winien, a posiadałem kapitalik i własną plantacyę.

I gdybym teraz był się wziął całą duszą do mego zawodu, mógłbym był w ciągu kilka lat przyjść do znacznych bogactw. Umiałem już dobrze po portugalsku, rzetelność moja była wszystkim znaną, sąsiedzi mnie poważali, zbiory trzciny i tytoniu wy-

padły jak najpomyślniej. Należało tylko pracować szczerze, a uspokoiwszy rodziców doniesieniem o mojem teraźniejszem położeniu, prosić ich o błogosławieństwo, a zresztą zdać się na Boga.

Ale żądza włóczenia się po świecie wciąż mi nie dawała pokoju. Najmilszym przedmiotem moich rozmów z sąsiednimi plantatorami, były wypadki, których doświadczyłem. Nieraz opowiadałem im o zyskownym handlu na wybrzeżach Gwinei, o łatwości, z jaką za korale, szklane paciórki, zwierciadełka, noże i siekiery, można nabywać piasek złoty, kość słoniową, a nawet niewolników, których brak niezmiernie nam się uczuć dawał.

Opowiadania te zajmowały ich niezmiernie. Handel niewolnikami nie był jeszcze wówczas rozpowszechnionym. Trudniący się nim zdzierali bez litości osadników, każąc sobie dwadzieścia, a nawet trzydzieści razy tyle płacić za murzyna, ile kosztował na miejscu (Haniebny ten handel, za staraniem państw europejskich został ostatecznie zupełnie zniesionym. Przyj.)

Jednego dna odwiedziło mnie trzech zamożnych osadników. Po ich minach poznałem, że przyszli z jakimś ważnym interesem. Prosiłem, aby usiedli. Jeden z nich zabrał głos w imieniu towarzyszy w te słowa:

— Panie Robinzonie! wiesz dobrze, że z przyczyny braku niewolników nie możemy

rozszerzyć naszych plantacyi i ciągnąć z nich większej korzyści. Trzeba temu koniecznie zaradzić. Od półtrzecia roku, jak mieszkasz pośród nas, poznaliśmy w tobie rzetelnego i zacnego człowieka. Otóż postanowiliśmy wysłać okręt po murzynów do Gwinei, a ponieważ znasz dobrze tamte strony, przeto prosimy cię, abyś się zajął sprowadzeniem stamtąd niewolników.

Damy ci potrzebne do tego fundusze, a kapitan wszystkie twe polecenia wypełniać i od ciebie zupełnie zależnym będzie.

W czasie twej nieobecności ofiarujemy się naszym kosztem uprawiać twoją plantacyę, a w nagrodę za trudy, każdy dziesiąty murzyn będzie dla ciebie. Tak nic nie ryzykując, możesz przyjść do niewolników, a przy ich pracy w kilku latach stać się bogatym panem.

Projekt ten spodobał mi się niezmiernie, więc nie namyślając się wcale, przyjąłem go od razu, a to tem chętniej, iż dogadzał mej żądzy podróżowania. Nie mogłem usiedzieć na miejscu i jakieś złe przeznaczenie pchało mię ciągle w przepaść zguby. Kto inny na mojem miejscu, mając już plantacyę wartą parę tysięcy funtów, byłby siedział i dorabiał się grosza; ale mój charakter niestały i niespokojny pędził mnie do nowych przygód.

Spisaliśmy akt urzędowy, mocą którego na przypadek śmierci polecałem kapitanowi

portugalskiemu, aby plantacyę sprzedał, połowę wziętej za nią sumy wręczył moim rodzicom, czwartą część oddał wdowie po kapitanie angielskim, resztę zaś dla siebie zatrzymał. Jednem słowem zabezpieczyłem zupełnie moją własność i gdybym tylko połowę tego rozsądku był poświęcił na rozważenie mego szalonego zamiaru, nie był, bym się puścił na nowe awantury.

Gwałtowna żądza podróżowania zagłuszyła jednak zupełnie głos rozsądku. Przed kilku laty nie słuchałem przestróg rodzicielskich, a dzisiaj zatykałem uszy na przestrogi rozumu.

Wyekwipowanie okrętu poszło bardzo prędko. W dniu 1 września 1664 roku rozwinęliśmy żagle. Okoliczność ta zasępiła nieco moje szczęście. Smutne jakieś przeczucia ogarnęły mnie, gdyż w tym samym dniu i miesiącu przed pięciu laty opuściłem brzegi mojej ojczyzny. Okręt nasz był o dwóch masztach, miał na pokładzie sześć dział i dwudziestu trzech ludzi. Ładunek, składający się z drobnostek przeznaczonych do handlu z czarnymi, nie ciężył wiele, mogliśmy więc szybko żeglować.

Chcąc dostać się na linię wiatrów stale ku brzegom Afryki wiejących, należało dosięgnąć dwunastego stopnia szerokości północnej, to jest powyżej wyspy Trinidad, należącej do małych Antylów i stamtąd dopiero skierować ku Gwinei. Puściliśmy się więc

wzdłuż brzegów Ameryki południowej. Oprócz silnych upałów, żegluga szła bardzo pomyślnie; lecz minąwszy przylądek świętego Rocha, zostaliśmy niespodzianie zaskoczeni przez gwałtowny uragan wirujący, zwany przez tutejszych marynarzy Tornado. Wicher ten, kręcąc statkiem, jak orzechową



łupiną, porwał go w stronę połnocno wschodnią. Wszelkie usiłowania marynarzy, aby się utrzymać w oznaczonym kierunku, na nic się nie przydały.

Musieliśmy się zdać na wolę Opatrzności. Wiatr co chwila się zmieniał: raz wył z północy, to znów z zachodu, to z południowego wschodu. Statek jak fryga latał w najrozmaitszych kierunkach. Dwunastego dnia dopiero nieco się uciszyło. Kapitan przeko-

nał się, że statek znajduje się na morzu Karaibskiem, po za Małemi Antylami. Co najprzykrzejsza, że straciliśmy dwóch ludzi, bałwanami z pokładu zmieconych i okręt skołatany w wielu miejscach przepuszczał wodę. Po krótkiej naradzie z kapitanem, postanowiliśmy żeglować do wyspy św. Łucyi, w porcie tej wyspy naprawić statek i przyjąć innych majtków w miejsce straconych.

Ale zaraz na drugi dzień żeglugi zerwała się burza powtórnie, pędząc nas z szaloną gwałtownością ku południowi. Wicher zdruzgotał nam reje, poszarpał w szmaty wszystkie żagle, a nakoniec strzaskał przedni maszt. Pół dnia i noc cała przeszły w najstraszliwszem oczekiwaniu rozbicia lub zatonięcia. Gdyby nawet powiodło się dostać na jakikolwiek ląd w tych stronach, tedy niezawodnie zamordowaliby nas i pożarli dzicy Karaibowie. Zguba więc była nieuchronną.

Wśród tak strasznego niebezpieczeństwa nie miałem czasu do rozmyślania nad mojem położeniem. O świcie majtek będący na straży, zawołał: Ziemia! Zaledwie wybiegliśmy z kajuty, ażeby się jej przypatrzyć, gdy nagle okręt z taką gwałtownością rzucony został na ławicę piaskową, iż wszyscy padli na pokład. W tejże chwili bałwany z niepojętą wściekłością rzuciły się na nieruchomy okręt, bijąc weń gwałtownie i zmia-

tając wszystko co się na pokładzie znajdowało. Przerażeni marynarze schronili się pod pomost, lecz i tu nie było bezpieczeństwa, gdyż woda przez liczne szczeliny wdzierała się do wnętrza okrętu, grożąc zalaniem nieszczęśliwej osadzie. Wicher dął tak potężnie, że już sama jego siła wystarczała do zgruchotania statku. O spuszczeniu na wodę szalupy przy takiem wzburzeniu morza pomyśleć nie było można; czołno zaś zerwał uragan i Bóg wie gdzie poniósł.



Na chwilę, jak gdyby przez czary jakieś, wszystko ucichło. Kapitan, korzystając z tego, kazał spuścić szalupę; wszyscy dostaliśmy się do niej szczęśliwie. Odbito od statku i zaczęto usilnie robić wiosłami, ażeby jak

najprędzej dosięgnąć lądu; ale nagle stała się ciemność jak w nocy. Uragan zawył z nową wściekłością, zakręcił statkiem a olbrzymia góra wodna przykryła nas wspólnym grobowcem.

Co się dalej stało, nic nie wiem. Pogrążony w odmętach, straciłem zupełnie przytomność. Woda dech mi zaparła, dopiero silne i bolesne uderzenie przywróciło mi zmysły. Ujrzałem się blisko brzegu w miejscu, gdzie woda ledwie sięgała do kolan, ale potężny bałwan pędził od morza i mógł mię znowu porwać na głębię. Mimo bólu zerwałem się, biegnąc co sił ku lądowi, lecz morze ryczące i rozżarte doścignęło mię wkrótce i znowu na trzydzieści stóp najmniej ogromną przykryło falą. Szczęściem przed zanurzeniem uchwyciłem się jakiejś sterczącej skały. Jak tylko bałwan ustąpił, począłem pędzić co tchu naprzód i dostawszy się na bliski wzgórek, kędy już nie sięgał zalew, padłem jak martwy.

Długo leżałem, oddychając po strasznej walce z okropnym żywiołem. Bezsilny, nieczujący władzy w skostniałych członkach, nie mogłem ruszyć się z miejsca. Tymczasem burza coraz bardziej wolniała, znać ostatnie jej wysiłki roztrzaskały szalupę. Niebo zaczęło się wypogadzać.

Zachodzące słońce oświeciło spienione fale krwawym blaskiem. Napróżno starałem się dojrzeć cośkolwiek, chociażby najmniej-

szy szczątek okrętu, choćby tylko jednego towarzysza niedoli. — Pusto, jak w krainie śmierci. — Sam tylko, sam jeden na nieznanem wybrzeżu. Opuszczony przez wszystkich — przedemną rozhukanych wód przestwory — nademną... Bóg!...

X.

Nieznana ziemia — pierwszy nocleg — głód i pragnienie — pierwszy posiłek — przypadkowe odkrycie.

Smutek i niewypowiedziana tęsknota ogarnęły całe moje serce. Z początku ucieszyłem się niezmiernie, żem ocalał, ale gdym się ujrzał sam w nieznanej okolicy świata, wpadłem w dziką rozpacz. Rzuciłem się na ziemię i jak szaleniec wyrywałem sobie włosy garściami z głowy. Gdybym wtedy posiadał trochę uczucia religijnego, byłbym niezawodnie znalazł pociechę w modlitwie. Ale od pięciu lat, żyjąc to pomiędzy murzynami, obojętnymi dla religii, to wśród Maurów a nareszcie wśród osadników, zajętych tylko zarabianiem pieniędzy, zapomniałem prawie o Bogu a imienia Jego wzywałem

Ochłonąwszy z pierwszego żalu, pomyślałem o moich biednych towarzyszach.... a może który z nich został ocalony, podobnie jak ja, może nawet i kilku.... Zbiegłem więc z pagórka i udałem się wzdłuż wybrzeża, upatrując nieszczęśliwych rozbitków. Począłem wołać i krzyczeć na nich po imieniu, ale

głos mój powtarzało tylko głuche echo lasów. Nagle zamilkłem; przyszło mi na myśl, że zamiast towarzyszy, mogę przywabić do siebie drapieżne zwierzęta, albo ludożerczych Karaibów. Krew ścięła się w mych żyłach — stanąłem jak wryty, oglądając się wokoło... cisza zupełna uspokoiła mię nieco. Zacząłem się przyglądać z uwagą okolicy.

Miejsce, na które morze mię wyrzuciło,. stanowiło rozległą łąkę, zarosłą bujną trawą, Dookoła niej w półokrąg rozciągał się las, z ogromnych drzew złożony. Tysiące pnących się roślin, zwieszonych z gałęzi, poplątanych, poprzerzucanych z drzewa na drzewo, stanowiły nieprzebytą zaporę, zagradzając jak gdyby żywym płotem wstęp do lasu. Oprócz tego niezliczone kaktusy kolczastymi liśćmi utrudniały przejście na każdym kroku.

Chciałem zapuścić się w las, dla wyszukania którego z uratowanych, ale ani myśleć o przedarciu się w głąb jego. Widząc niepodobieństwo wyjścia, odłożyłem to do jutra, a tymczasem zacząłem myśleć o sobie.

Położenie moje było w istocie okropnem. Przemokły do nitki, drżałem od zimna, a nie miałem się gdzie osuszyć. Całe ubranie moje składało się z drylichowego kaftana, koszuli, spodni, wełnianego pasa i pary pończoch. Kapelusz zdarły mi fale, trzewiki nawet straciłem w walce z rozhukanemi bałwanami.

Usiadłszy pod drzewem, zacząłem rewidować kieszenie, czy choć kawałka chleba

nie znajdę, bo mi głód srodze dokuczać zaczął. W jednej kieszeni znalazłem mały woreczek z jęczmieniem, którego używałem na okręcie do żywienia ulubionych gołębi. W roztargnieniu rzuciłem workiem i rozsypałem ziarno, jako na nic nie przydatne, lecz w tej chwili gorzko pożałowałem tej nieuwagi, bo przecież jęczmień ten mógł mię posilić. Schyliłem się, szukając ziarn... ale już ani jednego nie znalazłem — przepadły w trawie.

Sięgnąłem powtórnie do kieszeni i wyciągnąłem inny woreczek, napełniony złotem. Widok tego metalu wywołał gorzki uśmiech na moje usta. I cóż mi po tobie? zawołałem z gniewem; przez zbyteczne zamiłowanie do ciebie, nędzne złoto, jestem dziś nieszczęśliwym. I już miałem je rzucić od siebie... lecz przyszło mi na myśl nieoględne postąpienie ze zbożem. Ha... któż wie, może przecie na tej wyspie nie umrę, a to złoto pogardzone na cóś się przyda — i schowałem je napowrót.

Lecz w tejże prawie chwili doznałem niewypowiedzianej radości, gdy znalazłem w kieszieni duży nóż składany. Nie mógł on mi wprawdzie zastąpić broni, ale w mem położeniu był nieocenionym. Och, czemuż nie posiadam strzelby, albo przynajmniej pałasza! Gdybym miał jakąkolwiek broń, mogbym bez obawy zapuścić się w las i wyszukać moich kolegów.

Tymczasem tarcza słoneczna zapadła w morze, należało sobie wyszukać jaki nocleg, nim się zupełnie ściemni. Olbrzymie, rozło-



żyste drzewo rosło o kilkadziesiąt kroków; postanowiłem na niem noc przepędzić. Zapomocą wystających sęków i zwieszonych

lianów (Liany, są to rośliny pnące się tak jak powój i należą do rodziny Bignonia albo Paulina. Właściwa liana zowie się długo owocową, rośnie dziko na wyspach Antylskich, a przerzucając się z drzewa na drzewo, tamuje przejście w lasach. Przyj.) wdrapałem się na wysokość kilku sążni, a usiadłszy między dwiema dużemi gałęziami, przywiązałem się do nich moim wełnianym pasem i wkrótce zasnąłem.

Niewygodny to był nocleg — twarde gałęzie upychały mnie tak nielitościwie, że co chwila musiałem się poprawiać. Nadto najmniejszy szmer budził mnie i przejmował drżeniem. Mimo niezmiernego zmęczenia spałem bardzo czujno i niespokojnie; a gdy słońce wzeszło, zerwałem się nadzwyczaj uradowany, że się przecie noc nieznośna skończyła.

Liczne ptaszęta wesołym śpiewem powitały rodzący się dzionek, gwar nie do opisania cały las napełnił, ale to wszystko nie zrobiło na mnie wrażenia. Cóż mi przyjdzie z pogody i śpiewu ptasząt, kiedy głód piekielnie dokucza. Wolałbym kawał chleba, aniżeli śpiew wszystkich słowików całego świata.

I cóż mi po tem że się drzecie jak opętane, obrzydłe ptaki! Wam dobrze, boście się najadły do syta, wołałem z gniewem, a ja głodny nieszczęśliwy, wrzasku waszego znieść nie mogę! O Boże, cóżem Ci zrobił,

że mię tak okropnie karzesz. Czyż jestem złodziejem, podpalaczem, zbójcą, że znoszę takie męki, że mnie prześladujesz bez litości! Stokroć lepiej, żebym był od razu zginął w bałwanach morskich; za cóż męczysz biednego robaka, i depcesz go w nieszczęściu!

Nieraz później żałowałem tych słów bluźnierczych, wyrzeczonych w rozpaczy, lecz w tej chwili, nie pamiętając o moich błędach, zapomniawszy, iż z własnej winy znajduję się w złem położeniu, wszystkie nieszczęścia zwalałem na dobrotliwego Stwórcę.

Ale głód nie pozwolił mi długo wyrzekać. Trzeba było coś zaradzić. Na łące nic nie znalazłem zdatnego na pokarm, a więc odważyłem się poszukać w lesie. Może też tam znajdę orzechy, jadody, głóg, a choćby i żołędzie, lub wreszcie posilne korzonki.. cokolwiekbądź, byle tylko zaspokoić żołądek.

I zacząłem przedzierać się przez gąszcz, torując sobie drogę najczęściej nożem, przeskakując cierniste krzewy; ale uszedłem już paręset kroków, a nic się nie znalazło. Kory i liści z drzew jeść niepodobna, a tembardziej przepysznych kwiatów, których sam widok, ma się rozumieć prz pełnym żołądku, mógł najobojętniejszą duszę wprawić w zachwycenie. Tysiące papug, to żółto z niebieskim, to czerwono z szafirem, to biało upierzonych jakby wyśmiewało się z mojej biedy. Ciskałem na nie kamieniami, ale niewprawna ręka chybiała celu. O! z jakąż

rozkoszą jadłbym nawet ich mięso surowe i wyssał krew tych nieznośnych krzykaczy.

Otóż masz owe prześliczne lasy podzwrotnikowe, dla widzenia których porzuciłeś szczęśliwe życie w rodzicielskim domu. Patrz, jakie piękne różnobarwne papugi, złotopióre kolibry, przecudowne kwiaty i wspaniała roślinność. Nasyćże nimi pusty żołądek, niedowarzony głupcze!

Właśnie kończyłem tę gorzką przemowę do siebie samego, gdy nagle w przejściu przez leśną łączkę, zawadziwszy się o grubą łodygę, upadłem jak długi. Rozjątrzony głodem i upadkiem, porwałem roślinę, chcąc na niej złość swą wywrzeć, poszarpać ją w kawałki za to, że ośmiela się wyrosnąć na mej drodze; lecz podnosząc ją, uczułem znaczny ciężar. Jakieś duże, spowite szerokim liściem kłosy rosły na niej. Rozwijam liść i znajduję kolbę, pokrytą ziarnami bladożółtawemi, wielkości grochu.

Zapach był dość przyjemny: kosztuję, smak przepyszny, słodkawo mączasty... Była to, jak się później dowiedziałem, kukurydza.

W mgnieniu oku ogryzłem kilka kolb, prawie wcale nie żując, tak mi się jeść chciało. Posiliwszy się spoglądam z trwogą, czy przypadkiem to nie jedyna w całym lesie roślina. Dzięki Bogu, rośnie ich mnóstwo, a więc nadzieja, że nie umrę z głodu. Ruszyłem naprzód w stokroć lepszym humorze, a gdy jeszcze z blizkiego źródełka za-

spokoiłem pragnienie, znikła uraza do papug. Były to też coprawda śliczne i bardzo zabawne ptaszęta.

Poza łączką widać było wysoką górę. Trzeba się na nię wdrapać; któż wie, czy nie nie ujrzę jakiego okrętu, a może i osady europejskiej? — tego mi tylko brakowało.

I szedłem bez wytchnienia, drapiąc się po stromej spadzistości, ażeby jaknajprędzej dostać się na wierzchołek. Dosięgam go nareszcie i doznaję nowego zawodu.

Góra, na której się znajdowałem, była najwyższą na całej wyspie, gdyż niestety była to wyspa, na którą mnie wyrzuciło morze. Rozciągała się ona na kilka mil geograficznych w obwodzie. Kilka zatok wrzynało się w głąb lądu, a cały środek górzysty pokrywały ciemne lasy. W oddaleniu dziesięciu mil morskich widać było jakiś ląd, lecz nie mogłem rozpoznać, czy to był stały ląd. Na całej przestrzeni wód nie ukazywał się najmniejszy szczątek naszego okrętu. Zapewne pochłonął go ocean.

Jestem więc na wyspie... sam jeden! bez mieszkania! bez pożywienia! bez broni! Z daleka od ludzi, skazany na śmierć, albo może nędzniejsze od śmierci życie!

Wymówiwszy te słowa, gnany rozpaczą zacząłem szybko schodzić z góry. Biegłem prosto przed siebie, nie bacząc gdzie idę, nie uważając na otaczające przedmioty.

Znowu ogarnęła mnie gorzka boleść i zniknęła wszelka nadzieja ratunku.

Naraz silny cień zwrócił moją uwagę. Podnoszę oczy i spostrzegam wysoką na kilkanaście łokci skalistą ścianę, jbkby prostopadle z ziemi wyrosłą. Zamykała ona jakby murem część ładnej doliny. Po prawej stronie był las, z którego przed chwilą wyszedłem, w lewo zaś otwarty widok na morze.

Strudzony chciałem się położyć w cieniu skały, lecz jej osobliwy kształt zwrócił moją uwagę. Jedna część wyskakiwała, tworząc rodzaj muru. Obszedłem go dookoła i znalazłem zagłębienie, niby grotę głęboką na trzy sążnie, nieco szerszą i wyższą. Słowem był to gatunek kamiennego pokoju, wzniesionego o ćwierć łokcia nad ziemię. Wyskakująca część skały u góry wybornie mogła zabezpieczyć od deszczu. Miałem więc doskonałe schronienie.

XI.

Obranie siedziby w grocie — zabezpieczenie jej od napadu nieproszonych gości — terminuję na murarza — urządzenie zamku.

Rozpatrzywszy się w okolicy, uznałem, że nie można znaleść dogodniejszego mieszkania. Dolina, piękną trawą zarosła, nie była wcale bagnistą. O kilkadziesiąt kroków,

z podnóża skały biło czyste jak kryształ źródło. Tuż obok w lesie rosła obficie kukurydza. Najdalej zaś o ćwierć mili od groty przelewało się morze. Widok na nie był pyszny; najmniejszy statek nie mógł ujść mego wzroku, nie potrzebowałem nawet wspinać się na skałę dla śledzenia przepływających okrętów. Nadewszystko zaś sama jaskinia podobała mi się bardzo. A zatem postanowiłem tu obrać sobie siedzibę, dopóki jakie szczęśliwe zdarzenie nie wyswobodzi mnie z tego więzienia.

Odkrycie groty tak mnie ucieszyło, iż zapomniałem na chwilę o wszystkich innych kłopotach. Mam przecież jakie takie mieszkanie, pożywienie i napój. Tylko obawa przed drapieżnemi zwierzętami niepokoiła mnie mocno. Jaskinię zasłaniała wprawdzie z prawej strony wystająca skała, ale przód i lewa strona żadnej nie miała ochrony i dostępną była dla nieproszonych gości. Zastanowiłem się jednak, iż gdziekolwiek się obrócę, wszędzie mi grozi jednakowe niebezpieczeństwo. Po cóż więc szukać innego schronienia, trzeba raczej korzystać z tego jakie jest, a lepiej przecie zamieszkać w grocie i położyć się wygodnie, aniżeli jak kot drapać się po drzewach i wśród gałęzi szukać sobie noclegu. Od czegoż wreszcie rozum?... zamiast trapić się obawą przed niebezpieczeństwem, lepiej obmyśleć coś, coby złemu zaradzić mogło.

A więc zostaję tu! — zawołałem głośno — trzeba się zaraz przeprowadzić do nowego mieszkania.

Dla człowieka, nie posiadającego nic, przeprowadziny nie były trudne. Nie potrzebowałem ani tragarzy, ani wozów, ani koni, mając wszystko na sobie.

Przyjrzałem się uważnie nowej mej rezydencyi. Gdyby mi się powiodło od ściany załomku przeprowadzić mur do przeciwnego krańca jaskini, miałbym rodzaj twierdzy, tak przeciwko napadowi wrogów, jakoteż od wichrów zabezpieczonej. Ale jak się tu brać do budowania muru bez cegieł, wapna, kielni i i innych potrzebnych przyrządów? Piasku nad morzem było do zbytku, ale przysłowie uczy, że z piasku bicza nie ukręci.

Murarze to magnaci, wygodnisie — mruczałem nieukontentowany; — bez narzędzi nic zrobić nie potrafią i każą sobie za to jeszcze dobrze płacić. Bodajto być murarzem! a ja nieborak nie mam ani odrobiny wapna, a i tak murować trzeba. Jak sobie tu poradzić?... Wprawdzie wszystkiego brakuje, ale przynajmniej czasu do namysłu jest dosyć; a nim myśl szczęśliwa zaświeci, trzeba naprzód przygotować materyał.

Przy wschodniej ścianie skały znajdowało się mnóstwo większych i mniejszych kamieni. Znać kiedyś musiał się zwalić

wierzchołek i roztrzaskać w kawały. Zacząłem wybierać płaskie głazy, jako do układania muru najprzydatniejsze. Praca ta zajęła mi czas do samego wieczora, a gdym się przypatrzył poznoszonym kamieniom, przekonałem się, iż najmniej tydzień upłynie, zanim dostateczną ilość zgromadzę. Noc przepędzać trzeba było jeszcze na drzewie aż do ukończenia budowy.

Na drugi dzień wziąłem się znowu do znoszenia głazów: układałem je na kupkach o sążeń jedna od drugiej, abym w czasie budowy nie potrzebował daleko po kamienie odchodzić. Niektóre z nich były tak wielkie, iż za pomocą uciętego drąga odważałem je i przytaczałem z wielkiem wysileniem. Pracowałem bez wytchnienia, wyjąwszy południa, w czasie którego odpoczywając, zajadałem kukurydzę. Najwieksza spieka słoneczna trwała blisko trzy godziny i właśnie też czas ten przeznaczałem na spożycie obiadu i wypoczynek.

Tak przeszło kilka dni na przysposobieniu materyału. Podczas znoszenia głazów uważałem, że niektóre z nich były obrosłe mchem i przy jego pomocy trzymały się silnie skały. Umyśliłem więc nazbierać mchu i na nim, pomieszanym z ziemią, osadzić kamienie. Przez następne dni zbierałem mech a oprócz tego wycinałem nożem darnie: było to moje wapno.

Ukończywszy te roboty przygotowawcze,

zabrałem się do murowania. Pierwszy sążeń bieżący muru kosztował mnie nadzwyczaj wiele trudu, drugi poszedł już łatwiej. Z każdym dniem wprawiałem się w robotę lepiej, ale dopiero ósmego dnia nad wieczorem mur został ukończony. Czterołokciowa wysokość zdawała mi się dostateczną; nadto sam szczyt uwieńczyłem ostrymi i spiczastymi głazami, co go robiło nieprzebytym. W jednym końcu tej ściany zostawiłem na samym spodzie ogromny płaski głaz. Pod tym głazem był w murze wązki otwór, przez który mogłem wychodzić i wchodzić do mej jaskini; wewnątrz zaś ogrodzenia zostawiłem drugi duży kamień, dla zamykania na noc bram mego pałacu. Samo przytoczenie pierwszego głazu z odległości 10 kroków kosztowało mnie pół dnia pracy, proszę więc wystawić sobie, jak był ciężki.

Ukończywszy tę pracę, usiadłem naprzeciw wystawionego muru, przypatrując się z dumą i radością mojemu dziełu. Szesnaście dni zeszło mi nad tą pracą, a nieraz tak mi trudności dawały się we znaki, iż niewiele brakowało, a byłbym zaprzestał dalszej roboty.

Ale odpoczynek mój był krótki. Przypomniałem sobie, iż jeszcze przed zachodem słońca trzeba było urządzić sypialnię. Dużo mchu pozostało mi od budowania. Z niego więc usłałem sobie w kącie groty wygodne posłanie, mech bowiem był nadzwyczaj miękki i sprężysty.

Przed udaniem się na spoczynek orzeźwiłem się kąpielą w morzu, a wróciwszy do domu i ułożywszy się, zawołałem:

Otóż mam pałac królewski i cesarskie posłanie. Prawda, że za to ubiór dziadowski, a żywność więcej aniżeli skromną, ale cóż robić, z czasem i to się może poprawi. Dobranoc ci, mój wspaniały zamku, daj Boże, żebym nie potrzebował długo ci się naprzykrzać...

Wkrótce sen skleił strudzone me powieki.

XII.

Usiłowanie rozniecenia ognia — deszcz i mimowolna kąpiel — banany — próbuję ciesiołki — kalendarz — kompas.

Słońce wzbiło się już wysoko, kiedy otworzyłem oczy. Nic dziwnego, po takiej pracy śpi się wybornie, a zresztą nie miałem nic pilnego do roboty; nikt mnie do niej nie budził. Pierwszy ten spokojny nocleg, pokrzepił me siły przecudownie, uczułem się jakby odrodzonym i poszedłem użyć przechadzki.

Wiedziony tęsknotą, udałem się na skałę, wznoszącą się nad mojem mieszkaniem, ażeby śledzić statki na morzu. Napróżno wytężałem wzrok na wszystkie strony; wszędzie było pusto i głucho. Wtem przyszło mi na myśl, jakim sposobem, chociażbym nawet spostrzegł okręt, mógłbym dać znać o so-

bie jego osadzie. Uderzony tą myślą, zacząłem znosić suche gałęzie, obdzierać korę z drzew i z tego materyału układać stós na skale, ażeby w razie ujrzenia okrętu ogniem i dymem zawiadomić na nim będących ludzi o moim pobycie na wyspie. Już naznosiłem dużo drzewa, gdy uderzył mnie mój nierozsądek.

Mój Robinzonku, jakież z ciebie cielę — pomyślałem sobie. — Ułożyłeś stós, no to bardzo pięknie, ale czemże go podpalisz, gdzież krzemień, krzesiwo i hubka? Trzeba nie mieć odrobiny oleju w głowie, żeby się tak spisać. Powróciłem więc z gniewem do domu i zacząłem rozmyślać, jakimby sposobem ogień rozniecić. Byłaby to dla mnie ogromna korzyść.

Naprzód chciałem spróbować, czyby mi się nie udało skrzesać go tylcem mojego noża, ale wszystkie kamienie były za miękkie do wydobycia iskry, a krzemienia nigdzie znaleźć nie mogłem. Porzuciłem więc ten zamiar, a wiedząc, iż murzyni rozniecają ogień przez to, że trą dwa kawały drzewa o siebie, uciąłem stósowne kawałki drzewa i tarłem je bez przestanku przeszło godzinę. Drzewo rozgrzewało się wprawdzie, lecz właśnie wtenczas zaczynało mi sił brakować, a nim je odzyskałem, wszystko ostygło i trzeba było tarcie na nowo rozpoczynać. Po kilku daremnych próbach, nameczywszy się porządnie i widząc, że nic nie dokażę, rzuciłem je z gniewem daleko od siebie, jakby

to z winy drzewa pochodziło i poszedłem do lasu, ażeby nazbierać większy zapas kukurydzy, gdyż zanosiło się na deszcz, a nie życzyłem sobie wcale chodzić podczas słoty do lasu.

W nocy obudził mnie naraz jakiś szelest. Wprawdzie od czterech blisko tygodni jak przybyłem na wyspę, nie pokazywało się żadne zwierzę, pomimo to dreszcz przeszedł mnie od stóp do głów. Słyszałem wyraźny i nieustanny szelest, który ani się zbliżał, ani oddalał. Wybiegłem ku otworowi jaskini, a gęste krople deszczu objaśniły mnie, skąd ów szmer pochodzi. Powróciłem na posłanie i uspokojony usnąłem; lecz wkrótce inna okoliczność i to daleko nieprzyjemniejsza sen mój przerwała. Skutkiem parogodzinnnej ulewy woda nagromadziła się w jaskini i podeszła pod samo posłanie. Zbudzony niemiłym chłodem, porwałem się na nogi, szukając poomacku suchszego miejsca, lecz dno jaskini było prawie równe i dlatego wszędzie jednakowa wilgoć. Szczęściem trafiłem na kawałek wystającej ściany, tu więc umieściwszy się w najwygodniejszem położeniu, siedząc skulony, czekałem z niecierpliwością rana.

Zaledwie się rozwidniło i deszcz nieco ustał, zacząłem szukać przyczyn tej nocnej kąpieli. Sądziłem bowiem, że skaliste sklepienie nie powinno wody deszczowej przepuścić, a niepodobna, aby ulewa zewnątrz zalatywała. Tymczasem z wielkiem zmar-

twieniem ujrzałem w powale groty szeroką szczelinę, którą woda bardzo wygodnie dostawała się do wielkiej sali mojego zamku.

Trzeba było temu zaradzić, ale jak? Naprzód przy pomocy miotły, zrobionej z gałązek drzewnych, usunąłem wodę z mieszkania. Potem wyszedłem na wierzch skały, aby bliżej zbadać otwór. Wzdłuż opoki biegła rysa, szeroka na ćwierć łokcia, a na parę sążni długa. Tędy to woda przesiąkała do środka, należało ją więc naprawić a raczej zaopatrzyć daszkiem.

— Mój Robinzonku — rzekłem do siebie — zdawałeś w przeszłym tygodniu egzamin na majstra murarskiego, spróbujno teraz ciesiołki. Muszę cię pochwalić, żeś bez młotka i kielni nie źle się spisał, obaczymy, czy też i bez siekiery i piły dasz sobie radę.

Naprzód trzeba było postarać się o rodzaj gontów albo dachówek. Widziałem ja w lesie roślinę na trzy sążnie wysoką z szerokimi liśćmi; umyśliłem użyć ich do zrobienia dachu. Skoro więc deszcz ustał zupełnie, puściłem się do boru. Jakoż wkrótce znalazła się owa roślina; miała ona łodygę grubą, wysoką na cztery lub pięć sążni, a od opadniętych liści, jakby sęczkami od dołu pokrytą. Za ich pomocą wspiąłem się aż do liściastej korony, rozchodzącej się na wszystkie strony w kształcie palmowego wachlarza. Chcąc naciąć liści, objąłem nogami łodygę, a ręką począłem je naginać, lecz odchyliwszy

liście, z podziwem ujrzałem żółtawe owoce, długie na stopę, a kształtem podobne do ogórków. Ścinając liście, nie zapomniałem i o nich i kilka na ziemię zrzuciłem.

Zszedłszy na dół spróbowałem owoców: i któż opisze moją radość, gdym poczuł w ustach smak słodkawy, przyjemny, orzeźwiający. Ucieszyłem się tem więcej, bo mi się już kukurydza zupełnie przejadła. Owoc ten, jak się później dowiedziałem, nazywa się bananem, a znajdował się obficie na licznych drzewach i mogłem go do zbytku używać.

Posiliwszy się, natychmiast rozpocząłem naprawę szczeliny w sklepieniu groty. Nie szło mi to jednak tak łatwo, jak z początku myślałem, bo szpara była u góry dosyć szeroka i nie dała się samemi liśćmi przykryć. Należało koniecznie wprzód ułożyć jakieś podpórki, ażeby się na nich mogły oprzeć. Narobiłem więc z gałązek drzewnych kilkadziesiąt podpórek, ale nie mając gwoździ, nie mogłem ich w szczelinie umocować.

Wtem przyszły mi na myśl liany, znajdujące się obficie w lesie; naciąłem ich sporo. Następnie urznąwszy dwie długie proste gałęzie, poprzywiązywałem do nich lianami owe drobne podpórki tak, iż się z tego utworzyła dosyć długa i mocna drabina. Drabinkę tę położyłem wzdłuż na szczelinie, a na tem rusztowaniu umieściwszy kilka warstw liści bananowych, poprzykrywałem je kamieniami, ażeby mi wiatr zbyt lekkiego dachu nie po-

rwał. Boki zaś drabiny przytwierdziłem do ziemi kulkami z gałęzi.

Robota ta, na pozór tak lekka, zajęła mi cały dzień i zmęczyła porządnie, tak iż ukończywszy ją późno wieczorem, jak nieżywy ległem na posłaniu.

Nazajutrz pierwsza moja myśl była o bananach, pobiegłem po nie i sprawiłem sobie pyszne śniadanie. Wczoraj jadłem je z pewną bojaźnią, lękając się, czy nie mają własności trujących, ale noc ubiegła bez złych skutków, a więc mogłem bezpiecznie je pożywać.

Odkrycie to naprowadziło mię na zamiar zwiedzenia całej wyspy. Któż wie, ile jeszcze pożytecznych przedmiotów znaleść się mogło. Wszak tak dawno już na niej jestem, a dotąd zasklepiony w ciasnej dolinie, żyję jak ślimak w skorupie. Postanowiłem więc zabrać się do wycieczki po wyspie, lecz przedewszystkiem należało pomyśleć o zapisaniu czasu mego pobytu, gdyż dnie zaczęły mi się w pamięci plątać i dziś np. zaledwie przypomniałem sobie, że była sobota.

Wreszcie znalazłem sposób zrobienia kalendarza; wybrałem na ten cel dwa drzewa z gładką korą i na jednem wyciąłem nożem datę rozbicia: »wtorek dnia 23 września 16○4 roku«. Pod tym napisem wycinałem kreski, znaczące dnie, niedziele zaś oznaczałem dłuższemi. Dziś była sobota 18 październnika. Był to dwudziesty szósty dzień po-

bytu mego na wyspie. Miałem zatem kalendarz i nie obawiałem się na przyszłość stracenia rachuby czasu.

XIII.

Przygotowanie do podróży po wyspie — sporządzenie przedmiotów do niej potrzebnych Powroźnictwo i szewstwo — kapelusz i dzida.

Życie, chociaż samotne, nie wydawało mi się tak nudnem jak z początku. Powoli zacząłem się przyzwyczajać do mego położenia, a przytem pocieszała mnie nadzieja, że lada dzień pojawi się może jaki okręt, który mię wyswobodzi z tego więzienia. Jedna tylko rzecz była mi bardzo przykrą, to jest jednostajność pokarmu. Kukurydza była niezła i posilna, to prawda, banany nawet przewyborne, ale i najlepszy przysmak uprzykrzy się, gdy się go ciągle zajada. Wspomnienie chleba lub mięsa robiło mi taką przykrość, że na myśl o nich wpadałem w nieznośny humor.

— Cóż paniczu — mówiłem nieraz do siebie — zjadłbyś tak np. kawał smacznej pieczeni albo zraz i do tego kromkę białego chleba ze świeżuchnem masłem, co? A nie było ci to słuchać ojca i siedzieć w domu, opływałbyś we wszystko jak pączek w maśle... ach pączki, jakaż to rzecz przewyborna, a jeszcze prosto z pieca, gorące z cukrem i konfiturami, jakie zwykle matka na zapusty smażyła... Biedna matka! biedny stary

ojciec!... tyle zmartwienia zrobiłeś im niegodziwcze!... jakże śmiesz teraz narzekać na swe położenie. Dobrze ci tak, bardzo dobrze, nie wart jesteś nawet tej kukurydzy i bananów, na które tak wyrzekasz. Kiedy ci się zachciało włóczyć po świecie, nie narzekaj na to, ale bądź zadowolony, że masz ziarnka kukurydzowe i do tego banany!

Kiedy sobie wyciąłem taką naganę, było mi lżej na sercu i godziłem się z moją żywnością; ale w parę dni potem znowu budziła się tęsknota za lepszem pożywieniem. Postanowiłem więc nieodwołalnie puścić się na wędrówkę, bo lasy, przyległe memu zamkowi, nie wydawały żadnych innych pożywnych płodów.

Ale do podróży brakowało mi mnóstwo potrzebnych rzeczy: boć w cholewach od pończoch nie podobno przedzierać się przez lasy, a z gołą głową puszczać się na wędrówkę pod tak palącem słońcem, byłoby prawdziwą niedorzecznością. Nadto, nie wiedziałem, czy znajdę w drodze gdzie pożywienie; trzeba więc było nabrać bananów i kukurydzy, ale do tego potrzebna była torba, a i tej nie miałem. Nakoniec gdyby też tak jaki jegomość zębaty i pazurzysty, np. jaguar albo pantera, zastąpił mi drogę, czemżebym się bronił? To dało mi dużo do myślenia, i już o mało nie porzuciłem zamiaru podróży, lecz zastanowiwszy się dobrze, rzekłem sobie:

— Robinzonku, nie bądźno leniuchem! Pieczone gołąbki nie przyjdą same do gąbki. Kto nie ryzykuje, nic nie ma; jeżeli ci potrzeba kapelusza, obuwia, torby i broni, to je sobie sam zrób. Wszak pierwotni ludzie bez wszelkiej pomocy musieli robić różne wynalazki, a ty przecie przypatrywałeś się wszelkim rzemiosłom i tem prędzej sobie poradzić potrafisz. Dalej do roboty, nie trać czasu napróżno!

I zacząłem rozważać: na zrobienie torby trzeba było płótna, ale widywałem ja w Anglii torby rybackie, bardzo misternie ze szpagatu plecione. Płótna nie było, ale sznurki możeby się i dały zrobić.

Przypomniałem sobie, iż zaprawiając szczelinę nad grotą, niemało użyłem trudów z przełamywaniem liści bananowych. Miały one w środku nadzwyczaj mocny nerw, tak, że chcąc go przerwać, pokaleczyłem sobie palce i dopiero dokazałem tego nożem.

Uzbierałem więc znaczny zapas liści, poobcinałem blaszki, a nerwy układałem na kupę; lecz gdy przyszło kręcić z nich sznurki, pokazało się, że były za sztywne i za grube.

Przypomniałem sobie, że włościanki w okolicach Hull moczą łodygi konopniane w wodzie dla zmiękczenia, a następnie międlą je i czeszą. Zamoczyłem więc cały pęk nerwów bananowych w strumyku, poprzyciskawszy je kamieniami, a tymczasem wziąłem się do robienia kapelusza.

Jeżeli nerwy owych liści były za twarde na sznurki, to za to dały się daleko lepiej splatać, aniżeli gałązki wierzbowe. Trwalsze od słomy, delikatniejsze od wikliny, pozwalały się wybornie użyć do roboty koszykarskiej. Postanowiłem upleść z nich kapelusz i byłem pewny, że mi to pójdzie jak z płatka, nieraz bowiem przypatrywałem się pracy koszykarza, który obok nas mieszkał. Ale męczyłem się i pociłem, odrzucając i biorąc znowu robotę. Nie umiałem nawet zacząć, psułem wszystko i któż uwierzy, że dopiero po trzech dniach zrobiłem coś co potrosze przypominało kapelusz. Nie był on ani foremny ani bardzo wygodny, lecz mimo to cieszyłem się bardzo z tego wyrobu.

Ukończywszy jako tako termin kapeluszniczy, należało wziąść się do szewstwa. I tu napotkałem niesłychane trudności; napsułem mnóstwo kory, chcac sporządzić sobie sandały, ale kora łupała się w podłuż, albo odpryskiwała z brzegów. Dwadzieścia podeszew wykroiłem, a wszystkie się potrzaskały. Zaniechałem robienia dziur w korze i przywiązywałem podeszwy do nóg lianami, ale w pół godziny liany popękały, kora się porozłaziła i znowu paradowałem boso.

Nareszcie przypomniałem sobie opowiadanie kapitana szwedzkiego w Londynie, że włościanie z okolicy Rygi plotą sobie łapcie z łyka lipowego. Nazbierałem więc łyka z jakiegoś nieznanego mi drzewa, uplotłem z

niego czworoboczne płaty i zamoczyłem je na dzień jeden w wodzie, ażeby zmiękły i łatwiej dały się koło nogi obwinąć.

— Jest kapelusz! są buty! — zawołałem z radością — teraz trzeba pomyśleć o broni. Podczas mojej ciesielskiej pracy, zauważyłem jakieś drzewo nadzwyczajnie twarde. Wybrałem więc gałęź prostą, długą na cztery łokcie, i uciąwszy ją z niezmiernym mozołem, zastrugałem śpiczasto koniec. Miałem więc dzidę tak twardą, że uderzając ostrzem w pnie drzew, robiłem w nich dosyć głębokie dziury, nie uszkodziwszy końca. Była to broń nieszczególna wprawdzie, ale w braku lepszej i ta mnie bardzo cieszyła.

Na tych robotach zszedł mi blizko tydzień; ukończywszy je wydobyłem włókna bananowe, a widząc, że dobrze zmiękły, wysuszyłem je na słońcu. Gdy wyschły, zbijałem je na kamieniu tak mocno grubą gałęzią, aż paździerze pooblatywały i pozostało samo włókno. Teraz dały się wybornie kręcić; narobiwszy znaczny zapas sznurów, począłem z nich wiązać siatkową torbę. Szło to dosyć mozolnie, ale przecież się udało. Dorobiłem do niej szelkę dla przewieszenia przez plecy, a tak było w co zabrać na parę dni żywności. Teraz nic mi już nie przeszkadzało puścić się w drogę.

XIV.

Pierwsza wędrówka po wyspie — bataty — palmy kokosowe — ból głowy — kąpiel morska — parasol — ostrygi — ananas — żółwie jaja — aguti — powrót do zamku.

Następnego dnia o świcie, ubrany w kapelusz i łapcie, na plecach z torbą, naładowaną kukurydzą i bananami, i z dzidą w ręku, puściłem się na odkrycia po wyspie.

Obrałem kierunek na wschód, trzymając się brzegów morskich, tak dla uniknięcia zbłąkania, jakoteż aby mieć wciąż morze na oczach i śledzić okręty.

Z początku droga szła bardzo ciężko, miejscami las był nadzwyczajnie gęsty, a liany i inne powojowate rośliny tak tamowały drogę, że trzeba było je nożem przecinać. Lecz zwolna począł się las rozrzedzać i wydobyłem się na obszerną równinę, pokrytą trawą i gęstemi krzewami, w kępach porosłemi. Jakieś osobliwe ziele zaścielało prawie całą dolinę. Łodygi pełzające, węzłowate, splątane, rozpościerając się, tamowały mi przejście, tak, iż kilka razy zawadziwszy o nie, o mało nie upadłem. Mnóstwo kwiatów szkarłatnych pokrywało łodygę. Chcąc się jej lepiej przypatrzyć, szarpnąłem w górę i wyrwałem razem z nią kilka wielkich bulw, wielkości głowy dziecięcia.

Na co by się one przydać mogły, czyby przypadkiem jeść ich nie można? Tak po-

myślałem sobie i skosztowałem... br... smak słodkawo-nudny, odrażający, zapewne trucizna. Byłbym się zaraz uczęstował i na samym wstępie podróży osiadł na piasku; dobrze przynajmniej, że odrażający smak ostrzegł mnie o ich szkodliwości.

A jednak, jak się później przekonałem, byłem bardzo nędznym naturalistą, gdyż owe bulwy były to pataty, których wprawdzie surowych jeść nie można, ale za to pieczone lub gotowane mają smak bardzo podobny do pieczonych kasztanów.

Rzuciwszy bulwy, powędrowałem dalej. Na końcu doliny spostrzegłem kilka pięknych palm. Serce zabiło mi gwałtownie, gdyż to były kokosy, których od czasu niewoli maurytańskiej wcale nie widziałem. Wprawdzie rosły wysoko, ale dla nawykłego do wspinania się na maszty okrętowe, nie było to nieprzełamaną zaporą. Wdarłem się na palmę i zrzuciłem kilkanaście pięknych orzechów.

Zdobycz nieoceniona, ale jak się dostać do jądra, do mleka, w twardej zamkniętego skorupie? W Sale otwierałem je siekierą, lecz tu łamałem sobie napróżno głowę nad rozłupaniem łupiny. Noża nie śmiałem użyć do tego, bo się łatwo mógł złamać. Nareszcie umieściwszy kokos na kamieniu, uderzyłem weń drugim ciężkim głazem. Skorupa pękła, ale maleńkie jądro zgruchotało się od uderzenia, a cały płyn wypłynął na zie-

mię. Spożyłem jąderko, ale nie mogłem odżałować rozlanego soku. Chcąc sobie to wynagrodzić, wziąłem się natychmiast do otworzenia drugiego. Zieloną zewnętrzną powłokę zdjąć było łatwo, lecz gdy przyszło do otwarcia łupiny, zacząłem obracać orzech na wszystkie strony, czy nie znajdę gdzie sposobniejszego miejsca. Jakoż u góry zauważyłem, że zieleń nie zupełnie odeszła; odskrobałem ją nożem i zacząłem wiercić. W samej rzeczy w tem miejscu skorupa była miększa, zrobiłem otwór i uraczyłem się przewybornym napojem.

Już samo odkrycie kokosu wynagradzało mi podjętą podróż. Palm rosło kilkadziesiąt w tem miejscu, niezbyt odległem od mego zamku. Wystarczało mi zatem kokosów na cały rok, ale i ten przysmak smutne budził we mnie myśli. Byłby on przewybornym po smacznym obiedzie, złożonym z mięsa. Ach gdyby raz chociaż kawałeczek go dostać! Oglądałem się, czy nie zobaczę gdzie jelenia lub sarny, ale nadaremno. Na gałęziach widziałem wprawdzie papugi i inne ptaki, rzucałem na nie kamieniami, ale i dziś żadnego trafić nie mogłem, a zresztą cóż mi było po mięsie bez ognia.

Szedłem wciąż dalej pomimo nieznośnego upału, promienie słońca tak mię przepaliły, że dostałem silnego bólu głowy. Skierowałem więc kroki ku brzegowi morskiemu, ażeby się orzeźwić kąpielą i nieco w cieniu krzaków wypocząć. Zabierając się do ką-

pieli, widziałem mnóstwo ryb: można je było łowić, ale czem?... Za powrotem postanowiłem zrobić sieć z włókien bananów i pocieszała mnie ta myśl, że może pokosztuję chociaż rybiego mięsa, wysuszywszy je w skwarze słonecznym, jak to murzyni zwykli czynić.

Kąpiel, a nawet kilkakrotne zanurzenie się z głową w wodzie nie przyniosło mi ulgi wcale. Ułożywszy się w cieniu krzaków, cierpiałem bardzo mocno i zaledwie byłem w stanie od czasu do czasu popełznąć na brzeg morski, dla zmoczenia rozpalonej głowy. Nakoniec sen mię zmorzył tak silnie, że nie obudziłem się aż na drugi dzień rano, ale byłem wtedy już zdrów zupełnie.

Nikt nie uwierzy, jakie dziwne uczucie mnie ogarnęło, gdy za przebudzeniem się ujrzałem wschodzące słońce. Nie mogłem przypuścić, żebym pół dnia i całą noc przespał bez przerwy. Przeraziła mnie myśl, iż zasnąwszy nieoględnie wśród krzaków, mogłem się stać łupem dzikich zwierząt. Jednak wkrótce ustąpiła trwoga, zwierząt drapieżnych widocznie na wyspie nie było, gdyż od miesiąca jak ją zamieszkiwałem, ani razu nie doszedł mych uszu ich ryk lub wycie. Zresztą do tego czasu byłyby mnie niezawodnie wytropiły.

Nauczony wczorajszem cierpieniem, nie miałem wcale chęci i dziś narażać się na to samo. Trzeba było sobie sporządzić coś

nakształt parasola. W tej myśli wdarłem się na palmę kokosową i nazrzynałem dostatnią ilość liści lśniących i twardych. Potem uciąłem kij, przywiązałem do jego końca cztery długie gałązki, w środku na krzyż przewiązane, połączyłem końce sznurkiem i tak miałem rusztowanie o ośmiu prętach, na którem liście kokosowe zastąpiły tkaninę, używaną do parasoli.

Z przyczyny tej roboty podróż nieco się opóźniła, ale zaraz na wstępie doświadczyłem, jak wybornym nabytkiem był mój parasol. Słońce teraz wcale mi nie dokuczało, a wietrzyk mile chłodził. Cóż za różnica od dnia wczorajszego!

Okolice przedstawiały najrozmaitsze zmiany. Raz nieprzebyte lasy, to znowu rozleglejsze równiny i łąki kwiatami okryte, to strome masy występujących skał, to pagórki okrągławe. Gdzieniegdzie płynęły potoki, czasem tak głębokie, że trzeba było po pas brodzić w wodzie. Wnętrze zaś wyspy składało się z wyżyny pokrytej lasem, ponad który wystrzelało kilka szczytów. Z każdego wzgórza z tęsknotą patrzałem ku morzu, czy nie ujrzę zbawczego żagla... ale napróżno... morze puste jak spojrzeć okiem, rozciągało się w nieprzejrzanej przestrzeni.

Używszy kąpieli, a wypocząwszy, puściłem się w dalszą drogę. Wszedłszy w las, z parasolem miałem wiele biedy, gdyż co chwila zawadzał się o drzewa. Nagle nad-

zwyczaj przyjemna woń napełniła powietrze. Niby jabłka, niby gruszki, niby truskawki. Oglądam się w koło, nic nie widać, wprawdzie wszędzie mnóstwo kwiatów wyrastało, lecz napróżno przykładałem nos: żaden nie wydaje tego rozkosznego zapachu. Naraz z pomiędzy liści miga mi jakiś złotawy przedmiot. Przedzieram się przez krzaki i spostrzegam roślinę kolczastą, niby kaktus, a na niej wielki złoto-żółty owoc. Od niego to ta woń przecudna. Zbliżam się, zrzynam, kosztuję... Ach cóż za smak przepyszny, jak żyję nie jadłem nic tak dobrego. Był to, jak się później dowiedziałem, ananas. Zjadłszy jeden, zerwałem jeszcze kilka, a choć mi ciężko było dźwigać, zabrałem je z sobą.

Nadchodzący wieczór skłonił mnie do szukania noclegu. Wybrałem sobie na dzisiejszy spoczynek duże drzewo nad morzem, bo tu było bezpieczniej jak w lesie.

Niedaleko od tego drzewa na piaszczystem wybrzeżu widać było niewielki kopczyk, bardzo regularnie, jak gdyby ręką ludzką usypany. Ciekawy będąc dowiedzieć się co w nim jest, wbiłem dzidę w środek, a wydobywszy, dostrzegłem na jej ostrzu żółtą ciecz, pomieszaną z piaskiem. Rozgrzebałem kopiec i znalazłem w nim ze trzydzieści dużych jaj. Zamiast skorupy, miały one jakby pergaminową skórkę; były to jaja szyldkretów czyli żółwi morskich, o czem jednak wtedy jeszcze nie wiedziałem. Cho-

ciaż głód mi nie dokuczał, widok nowego przysmaku obudził apetyt i wypiłem parę jaj.

Trzeciego dnia wędrówki nie wiodło mi się tak jak w dwóch pierwszych: naprzód nie odkryłem nic nowego, powtóre przeszedłem na brzeg głębokiej zatoki morskiej, zachodzącej daleko w ląd, w tem miejscu bardzo skalisty i trudny do przebycia. Chcąc dostać się na drugą stronę, trzeba było albo przepłynąć wpław zatokę, albo zapuścić się w głąb lasu i piąć się po skałach. Zmęczony dwudniową wędrówką, zrzekłem się tego zamiaru i postanowiłem wrócić do domu.

Zamiast iść brzegiem morza jak dotąd, obrałem drogę wprost przez las ku mej jaskini. Wierzchołek owej wysokiej góry służył mi za drogoskaz. Szedłem raz górzystym wąwozem, środkiem którego płynął strumień, to gęstym lasem, to znowu zielonemi dolinkami. Moja wyspa była prześliczną, brakowało jej tylko miast, wiosek i mieszkańców.

Około południa ujrzałem przebiegające zwierzę, z wyjątkiem uszu i najeżonej sierci na grzbiecie, do zająca podobne. Nazywa się ono »aguti«, żywi się roślinami i chrząszczami, jest łagodne i lękliwe. Mięso ma białe. Ruciłem za niem dzirytem, lecz chybiłem i aguti ku wielkiemu mojemu zmartwieniu zniknął wśród krzaków.

— Trzeba koniecznie zrobić łuk i strzały — zawołałem w głos. — I nie było to rzeczą tak trudną; widziałem w Sale dużo

łuków murzyńskich nader nędznej roboty, a przecież doskonałych w użyciu.

Obiad popsuł mi jeszcze bardziej humor, wszystkie ostrygi zupełnie potęchły, kukurydza zeschła także, a banany zwiędły. Szczęściem, że przynajmniej żółwie jaja przechowały się wybornie.

Już dobrze z południa wkroczyłem w gęsty las i uszedłem przeszło milę, zanim dostałem się na drugą stronę. Widać stąd było wierzchołek przewodniej góry; po dwugodzinnym pochodzie i przedzieraniu się przez krzaki, ujrzałem nareszcie mój zamek.

Sporządzenie łuku i strzał oraz sieci na ryby — pierwsze polowanie — pieczeń — piwnica.

W wycieczce, z której wróciłem, udało mi się poznać wschodnią część wyspy, ale zachód i południe były mi całkiem obce. Zamierzałem jednak po wypoczęciu puścić się w tamte strony, aby całe państwo zbadać dokładnie.

Pierwszą pracą, do której wziąłem się po powrocie, było sporządzenie łuku i strzał. Dla przysposobienia sznurków, namoczyłem znaczną ilość włókien bananowych, a następnie upatrywałem stosownego drzewa na łuk. Natrafiwszy wreszcie gałąź mocną i sprężystą, na cztery stopy długą, naciąłem ją nieco i na obydwóch końcach zarznąwszy rówki, przymocowałem cięciwę, zrobioną z sznurków konopnych. Służyły mi one dotąd

za podwiązki, więc pończochy przymocowałem łykiem. Następnie naciąłem mnóstwo trzcin nad strumieniem rosnących, dorobiwszy do nich ostrza z twardego drzewa, zwanego żelaznem. Na tej robocie nóż stępił mi się zupełnie, ale zato groty strzał moich były wyborne. Przymocowałem je do trzcin łykiem, a brakowało tylko piór.

Przechodząc wczoraj z rana brzegiem morskim, widziałem w blizkości wody mnóstwo piór, pogubionych przez mewy i inne wodne ptaki, ale nie pozbierałem ich wcale... Jakże teraz tego żałowałem!

— Wędrujże teraz znów o dwie mile dla kilku piórek, panie Robinzonie, a na drugi raz wbij to sobie dobrze w głowę, że najmniejsza bagatelka kosztuje dużo kłopotu, a więc wszystko co zobaczysz, zbieraj skrzętnie, bo nie wiesz na co ci się przydać może.

Późno wieczorem wróciłem do domu z zapasem piór, a że zaraz zrobiło się ciemno, nie mogłem dokończyć roboty strzał, co mnie bardzo gniewało.

Na drugi dzień rano skończyłem pracę i wziąłem się do prób w strzelaniu. Pierwsza strzała wypuszczona w górę poszła nadspodziewanie wysoko, a spadając wbiła się w ziemię. Wycelowałem do dzewa odległego na trzydziści kroków, ale strzała przeszyła krzak o dwa sażnie obok stojący, druga poszła także nie lepiej.

— Jakto, a więc to nie tak łatwo strzelać z łuku — zawołałem zdziwiony, — któżby się spodziewał, że i tego uczyć się trzeba!

Ha trudno, musiałem się wziąć do nauki. Odtąd po całych dniach odbywało się strzelanie, a strzelałem bez odetchnienia, chcąc pokonać niezręczność moją. Po trzech dniach już mi się udawało trafić w pnie drzewne, a po paru tygodniach nabrałem takiej wprawy, że o pięćdziesiąt kroków trafiłem w cel nie większy od dłoni.

Pierwszą ofiarą mej zręczności była papuga, której przestrzeliłem skrzydło. Żyła jeszcze kiedym ją podniósł. Chciałem ją dobić, ale wyjąwszy strzałę z rany, ujrzałem, że ma tylko skrzydło strzaskane. Przytem spoglądała na mnie tak żałośnie, że nie mogłem się odważyć na odebranie jej życia. Związałem więc zranione skrzydełko, obłożyłem je mchem, zwilżonym w wodzie, a biedna ptaszyna po kilku dniach przyszła do siebie. Przez czas choroby oswoiła się zupełnie i nie opuszczała mej jaskini. Przyjemnie mi było mieć chociaż takiego towarzysza samotności.

Zrobienie sieci poszło nierówno trudniej. Nie miałem wyobrażenia jak ją zacząć, nie widziałem bowiem nigdy, jak ją robią rybacy. Nareszcie wpadł mi pomysł, ażeby do dwóch długich i prostych gałęzi poprzywiązywać końce sznurków, drugie zostawiając wolne, a potem wiązać je między sobą. Chcąc jednak to zrobić, trzeba było naprzód

przygotować sznurki. Zabrałem się do tej czynności, lecz jeżeli kilka dni strawiłem na ukręcenie sznurków do zrobienia torby, to tu trzeba najmniej miesiąc poświęcić, a na to nie było czasu.

Rzeczywiście brakło mi czasu. Oto zima nadchodziła i trzeba było sobie przygotować zapasów, bo jak zaczną lać deszcze po całych dniach, to skąd wziąść żywności.

Umyśliłem więc odłożyć zrobienie sieci do wiosny, a tymczasem korzystając z pogody wybrałem się na polowanie. Uzbrojony w łuk i strzały, z parasolem, dzidą i torbą napełnioną bananami, poszedłem w górzysty las, spodziewając się ubić zająca, ha a może i sarnę, jeżeli tylko te stworzenia znajdują się na wyspie. Zaledwie uszedłem paręset kroków, gdy z za krzaków wysuwa się jakiś ptak, wielkości jędora. Z szybkością błyskawicy odrzuciwszy parasol, wypuszczam strzałę, lecz zamiast ptaka, ugodziłem pień drzewa, za którym ptak zniknął.

Zniecierpliwiony tym zawodem, zostawiłem w krzakach parasol, a trzymając napięty łuk, posuwałem się zwolna i cicho od drzewa do drzewa, w nadziei podejścia uszłej zdobyczy. Wtem spostrzegam w odległości kilkudziesięciu kroków poruszające się liście. Sprawcą tego był zajączek, siedzący na tylnych łapkach i objadający najspokojniej listki jakiejś rośliny. Z bijącem sercem wypuszczam strzałę, pocisk wypada, a zając rozciąga się jak długi.

Nie jestem w stanie opisać mojej radości na widok ubitej zwierzyny. Podniósłszy ją, zawracam ku grocie i zrywam po drodze parę ananasów.

Przybywszy do domu, wziąłem się do obciągnięcia skóry z zajączka. Miał on niejakie podobieństwo do świnki morskiej, nie wątpiłem jednak, że mięso przyda się na pokarm. Zając obciągnięty i oprawiony leżał przedemną, brakowało tylko rożna i ognia, ażeby sporządzić pieczeń.

Zachęcony widokiem mięsa, którego tak dawno nie miałem w ustach, umyśliłem raz jeszcze spróbować rozniecenia ognia przez tarcie drzewa, ale tym razem podobnie jak za pierwszym razem nie powiodło mi się tego dokazać.

Widziałem, jak murzyn, towarzysz mojej niedoli, zabiwszy raz psa, a nie mogąc go ugotować w kuchni, użył osobliwszego środka przyprawy; postanowiłem więc go naśladować.

Położywszy zająca na płaskim kamieniu, biłem go twardym kołkiem przez dobrą godzinę, tak iż nie tylko zupełnie skruszał, ale zmienił się w rodzaj krwistej masy. Rozciągnąłem ją na głazie rozpalonym od słońca i trzymałem z półtorej godziny na upale. Nie wiem, czy to łaknienie mięsa, czy też zmordowanie przyprawiło tę osobliwszą pieczeń, dość na tem, że mi smakowała wybornie. Gdybyż jeszcze mieć do tego trochę chleba i soli!

Tymczasem deszcze coraz częściej padały; niekiedy przez parę dni lało jak z cebra, tak, że nie mogłem wychylić się po żywność. Naprzemian znowu duszący upał wycieńczał moje siły, a powietrze przesycone parą niemal dusiło. Skutkiem ulewy wzbierały okoliczne strumienia i zagradzały drogi tak dalece, że nie mogąc ich przebyć musiałem zrzec się polowania.

Żyć samemi bananami i kukurydzą wcale nie miałem ochoty, a mięso i ostrygi psuły mi się tak szybko, że na drugi dzień jeść ich nie było można. Wypadało więc koniecznie obmyśleć jakieś chłodniejsze schowanie.

W jednym kącie mojej groty zauważyłem pod wystającym głazem ziemię miękką. Wbiłem w nią dzidę i przekonałem się, że da się kopać... ale czem?

Naraz przypomniałem sobie, że na brzegu morskim znajduje się mnóstwo dużych i twardych muszli. Pobiegłem po nie i wróciłem z sporym zapasem. W jednej płaskiej powiodło mi się wywiercić okrągły otwór; wprawiłem w niego kij i tym sposobem miałem rodzaj motyki; inne miały służyć do wygrzebywania poruszonej ziemi.

Zabrałem się natychmiast do pracy. Wbijając dzidę w ziemię, podważałem bryły, które rozkruszywszy motyką, wybierałem muszlami i wynosiłem na dwór. Ta ciężka i mozolna robota zabrała mi dużo czasu, ale w końcu miałem piwnicę na sążeń głęboką, a mającą przeszło łokieć średnicy.

Ażeby utrudnić przystęp ogrzanemu powietrzu, przykrywałem ją rusztowaniem z gałęzi, na których znowu gruba na łokieć warstwa mchu zatykała ją doskonale. Odtąd mogłem mięso przez dwa dni bez zepsucia zachować. Banany i ananasy także utrzymywały się świeżo, równie jak i żółwie jaja, ale z ostrygami nie mogłem trafić do końca; na drugi dzień bowiem już nie były przydatne do jedzenia.



Nadeszła wreszcie zima, to jest nieprzerwane słoty, połączone raz z wilgotnym chłodem, to znów, gdy słońce zaświeciło, z dokuczającym skwarem. Trudno wypowiedzieć, ile w tym czasie wycierpiałem. Nieraz głód mnie trapił bez litości, bo ciężko było upatrzeć chwilki pogodnej dla postarania się o żywność. Teraz brakło mi już cierpliwości,

zima dokuczała mi już do żywego, bo chociaż mrozów nie było, ale przejęty wilgocią, szczękałem zębami jak w febrze, drżąc od nieprzyjemnego chłodu. Zły humor, tęsknota i dawna rozpacz zaczęły mnie na dobre ogarniać.

— Ach jakiż z ciebie niedołęga panie Kruzoe! — zawołałem raz, spojrzawszy przypadkiem na kilkanaście skórek zajęczych, leżących w kącie jaskini, — mając taki zapas skór, żeby też nie pomyśleć o sporządzeniu sobie ubrania. Zamiast dąsać się i wyrzekać na los, weźno się lepiej do krawiectwa.

Zaiste wielki był czas zatrudnić się odzieżą. Kaftan drelichowy, chociaż porządnie zasmolony, trzymał się jeszcze cało; ale koszula skutkiem długiego noszenia, pomimo nader ostróżnego prania, wyglądała jak rzeszoto. Reszta ubrania nie była lepsza, a z pończoch pozostały ledwie cholewki.

XVI.

Moskity — krawiectwo i garbarstwo — igły samorodne — zwątpienie — rozmyślanie nad smutnem położeniem — grenlandzkie nici — zwalczona trudność — nowy ubiór.

Do sporządzenia jak najprędszego nowych sukien przynaglała mnie jeszcze inna okoliczność. Zaraz z początkiem pory deszczowej pojawiły się roje moskitów (Są to

różne gatunki much w krajach gorących, których ukłucie podobnie jak naszych komarów bolesne sprawia swędzenie. Przyj.). Pierwej wcale ich nie widziałem, wyjąwszy raz w lesie, gdy mnie w okolicy bagnistej opadły i mocno pocięły; ale teraz znać z tego powodu, że łączka przyległa mojemu mieszkaniu zamieniła się w błocisko, nieznośne owady zakwaterowały się tu na dobre, obierając sobie za najlepszy przysmak biedne moje ciało.

W dzień jak w dzień, oganiałem się skutecznie, lecz gdy nadszedł wieczór, ani sobie dać rady; kłuły mię tak okropnie po całem ciele, do ust nawet wlatywały i nieraz musiałem się okładać świeżą ziemią, aby choć trochę ulgi doznać w palącym bólu. Gdyby przynajmniej można ogień rozniecić i dymem odpędzić te krwiożercze stworzenia! Kładąc się spać, właziłem pod warstwy liścia kokosowego, ale umiały one i przez to przykrycie dostać się do mej skóry.

Niema rady, bierzmy się do krawiectwa! Nieraz w domu rozdarłszy suknie, sporządzałem je pokryjomu, żeby matka nie zobaczyła szkody, więc może też potrafię i nowe uszyć.

Nie była to jednak bardzo łatwa robota.

Naprzód skórki były nadzwyczaj twarde. Zabiwszy zająca i obciągnąwszy go ze skóry, zwykle rzucałem ją na bok, nie myśląc, aby mi się na co przydała. Zsychały się więc na słońcu jak kości, a gdy wziąłem się do

ich rozprostowania, to znów jako bardzo delikatne pękały. Należało je zmiękczyć.

Wiedziałem, że garbarze moczą skóry w korze dębowej, ale dębów na mojej wyspie wcale nie było. A gdyby zmoczyć w wodzie morskiej? Myśl była nie zła, lecz mógłby się włos uszkodzić. Nakoniec korzystając z dzisiejszej pogody, pobiegłem na wybrzeże, porozkładałem skórki włosem do ziemi i z kolei polewałem wodą. Jak tylko skóra odmiękła, tarłem ją w ręku jak praczka chusty. Po kilkugodzinnej pracy udało mi się tym sposobem wyprawić je jako tako. Z każdej za pomocą noża obskrobywałem szczątki żyłek i mięsa; potem nasypawszy piasku i trąc je, nadawałem jej pewną miękkość. Nad wieczorem było czternaście skórek gotowych do użycia, bo też tyle ich tylko posiadałem.

Mając materyał, należało go przykroić; dawna odzież posłużyła za formę, ale mój biedny nóż przez dwumiesięczne użycie, a zwłaszcza też od drzewa żelaznego, zupełnie stępiał. Wynalazłszy stosowny kamyk, począłem pociągać ostróżnie, aby nie popsuć ostrza, a gdym je poprawił, zabrałem się do przykrawania. Ktoby mię widział, ilem się przytej pracy napocił, użaliłby się nade mną. Gdybyż to ciąć z jednej sztuki materyi, to co innego, ale tu trzeba z kiku skórek przykładać, przymierzać, stósować.

To mi niezmiernie bałamuciło w głowie, wszystkie kawałki mieszały się. Nakoniec

tym sposobem trafiłem do ładu, że stan, rękawy i nogawice porozkładałem osobno i każda część odzieży na innem leżała miejscu.

Na nieszczęście skórek było za mało, ledwie na krótką koszulę, a raczej kaftan i spodnie kolan sięgające starczyło; o kamaszkach ani myśleć.

Już więc wszystko przyrządzone, tylko siadać i szyć, ba, a gdzież igły i nici? włókien bananowych wcale do tego nie było można użyć, bo grube i nie bardzo podatne; na całej wyspie ani len ani konopie nie rosły... a igła?

Przedsięwziąłem ją początkowo zrobić z przetyczki do fajki, znajdującej się przy scyzoryku. Była to rzecz wyborna, ale jak zrobić uszko, nie mając ognia ani kolca stalowego do przebicia dziurki? Porzuciłem więc ten pomysł, a postanowiłem zamiast igły użyć kolców kaktusowych, silnych i twardych, a przytem bardzo ostrych, o czem świadczyły moje biedne, przez nie podarte suknie.

Pobiegłem natychmiast w zarośle, gdzie był huk takich igieł. Tylko je brać; narwałem ich kilkadziesiąt. Teraz szło o nici. Zdało mi się najpraktyczniejszem popruć pończochę i nie namyślając się długo, sprułem całą cholewkę, nawijając nici na kamyk. Żaden król pewnie nie pysznił się tak, patrząc na najkosztowniejszy dyament swego skarbca, jak ja, przyglądając się kłębowi

nici. Uwielbiałem mój pomysł nie przewidując, jak się grubo na nim zawiodę.

Zaostrzywszy przetyczkę na gładziku, użyłem jej do przebijania dziurek w skórze. Następnie uwiązawszy nitkę do grubszego końca kaktusowej igły, przewlekałem ją przez dziurki. Ale za trzecim ściegiem, gdym chciał przyciągnąć, nitka pękła. Zawiązałem ją; po kilku sztychach znowu pękła. Znać pończocha przez długie noszenie zetlała i nici zesłabły. Jakżeż żal mi było bezużytecznej popsutej cholewki.

Cała robota na nic, bez nici szyć nie podobna; zasmucony rzucam wszystko na bok i siadam, rozmyślając nad mojem opłakanem położeniem. Ileż zawodów doznałem już na tej niegodziwej wyspie; co dzień jakieś zmartwienie, a żadnej pociechy, ani nadziei, żeby się to kiedyś skończyło. Znać okręty europejskie nie mają się poco zapuszczać w te niegościnne strony i chyba zagnane burzą dostają się w okolice mej wyspy, ażeby rozbić się o jej brzegi. Jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwym, niema nieszczęśliwszego na całej kuli ziemskiej. Czy niema? Ha może i jest.

Rozważyłem sobie dobrze, co mnie tu złego i dobrego spotkało, a to mnie nieco pocieszyło i dodało ducha. Jestem nieszczęśliwy, to prawda, ale mogłem być daleko nieszczęśliwszym. Nie porzucaj nadziei, ale staraj się tymczasem uprzyjemnić twój pobyt na wygnaniu. Co do nici, wszak

nieraz większe daleko pokonywało się trudności, więc może i tę pokonać potrafisz.

Jakóż przypomniałem sobie, że podczas pierwszej mojej podróży do Gwinei znajdował się majtek, służący niegdyś na statku, używanym do połowu wielorybów przy brzegach Grenlandyi. Opowiadał on między innemi, że mieszkańcy tamtejsi używają do szycia zamiast nici strun, skręconych z kiszek psa morskiego. Umyśliłem ich naśladować i wyprawiłem się z łukiem i strzałami do lasu dla upolowania paru zajęcy.

Zające jak na złość gdzieś się pokryły, trzeba było poprzestać na papugach; żal mi było tych wesołych pajaców leśnych, ale pierwsza miłość własna, więc ubiłem kilka. Po powrocie do domu zachowawszy piękne piórka, wypaproszyłem ptaki. Rozprute, zamoczone i wymyte kilkakrotnie kiszki, dały się dobrze skręcać. Na drugi dzień leżał przedemną spory pęczek cienkich strun. Dla nadania im giętkości wysmarowałem je tłuszczem zajęczym. Teraz rozpoczęło się krawiectwo na dobre. Po pięciu dniach nowy ubiór był gotowy; natychmiast weń się ustroiłem.

Wykąpany i wyelegantowany miałem podobieństwo do londyńskiego kominiarczyka, gdy się w niedzielę do kościoła wystroi. Poskoczyłem do strumyka, ażeby się przejrzeć w tem naturalnem zwierciedle.

Ubiór mój nie pozostawiał nic do życzenia, oprócz kamaszy. Kaftan ze skórek za-

jęczych, obróconych włosem na zewnątrz, pysznie się prezentował, spodnie mogłyby zawstydzić murzyńskiego modnisia, na głowie kapelusz z pręcików bananowych, wyglądał jak straszydło na wróble; jedna noga w podartej cholewce, druga obwinięta płótnem, utarganem z podartej koszuli. Twarz zarosła, włosy rozczochrane, bo nie było ich czem oprócz palców uczesać. Dodajmy do tego łuk i strzały przy boku, torbę przez plecy, w jednej ręce dzidę, w drugiej parasol, a będziemy mieli wyobrażenie potężnego władcy bezludnej wyspy.

Gdybym się w takim ubiorze, jaki sobie zrobiłem, pokazał na ulicach Londynu, niezawodnie tłumy uliczników biegałyby za mną jak za rarogiem. Niejeden zaś spekulant niemiecki mógłby zrobić świetny interes, obwożąc mię po miasteczkach i jarmarkach jako dzikiego człowieka, z nieznanej części świata, jakiego Azteka, żywiącego się surowemi rybami i mięsem ludzkiem.

Jednakże ja byłem bardzo zadowolony z mojego ubioru i długo przeglądałem się w przezroczystych wodach strumienia mojej pociesznej figurze.

XVII.

Boże Narodzenie — wspomnienie rodzicielskiego domu — Nowy Rok — cud — trzęsienie ziemi — uragan i ulewa.

Nazajutrz po ukończeniu sukien, policzywszy dni na moim kalendarzu, zasmuciłem się bardzo. Dzień dzisiejszy był bowiem dniem wigilii Bożego Narodzenia.

Obraz domu rodzicielskiego stanął mi znów żywo przed oczyma. W dniu tym zwykle od południa skład się zamykał; ojciec przychodził, a później kazał się przenosić do jadalnego pokoju. Tymczasem matka krzątała się około ogromnego plumpudyngu (Rodzaj budyniu z rodzynkami i migdałami, ulubiona potrawa Anglików. Przyj.) i nadziewała własnoręcznie indyka. Bez tych dwóch potraw nie obeszło się nigdzie w Anglii. Zwyczaj to był dawny, sięgający niepamiętnych czasów. Nasz domek obchodził go też uroczyście. Wieczorem zasiadaliśmy do wspólnego stołu wraz z domownikami i służącymi, a po wieczerzy ojciec, wziąwszy Pismo Święte, czytał z ewangelii św. Łukasza rozdział o Narodzeniu Pańskiem, zaczynający się od słów:

»I stało się w dni one, że wyszedł dekret od cesarza Augusta, aby popisano wszystek świat«.

Wysłuchawszy pobożnie i w milczeniu słów świętych, śpiewaliśmy pieśni pobożne, potem zaś rodzice prowadzili nas do osobne-

go pokoju, gdzie stał wielki stół, okryty białym obrusem, a na nim leżały rozmaite podarki dla dzieci, domowników i służących, przykryte piękną serwetą. Poczem ojciec zdjąwszy ją, z kolei wszystkim je rozdawał. Ileż to było radości, oglądania i uciechy!

Pamiętam dobrze te czasy, kiedy jeszcze wszyscy trzej byliśmy w domu. Starsi bracia odbierali w podarunku różne części ubrania, ja zaś jako najmłodszy, zapas rozmaitych zabawek. Rozkosz to była niewypowiedziana, dlatego też zwykle nie mogliśmy się doczekać uroczystości wigilii Bożego Narodzenia i zawsze już na parę tygodni wprzód rachowaliśmy, ile jeszcze dni do niej mamy.

Kiedy mi to wszystko tak żywo się przypomniało, serce ścisnęło się gwałtownie i wybuchnąłem głośnym płaczem. Długo tak, bardzo długo płakałem, nie mogąc się uspokoić. Nareszcie łzy ukoiły tęsnotę, ale nie byłem zdolny do żadnej pracy. Przez cały dzień siedziałem na wzgórku, przyległym mojej jaskini, patrząc w stronę gdzie podług mego przypuszczenia Anglia znajdować się powinna. Owa piękna kraina podzwrotnikowa, do której tak tęskniłem w domu, zdawała mi się teraz w dniu wigilii obrzydłą ze swą zielenią. Z jakąż radością wolałbym widzieć białycałun ojczystego śniegu, rozkoszować się mrozem i skrzepłemi lodem rzekami!

Boże Narodzenie jeszcze smutniej mi przeszło. Deszcz lał jak z cebra, skazany

więc byłem na siedzenie w jaskini. Dręczony tęsknotą, dopiero drugiego dnia nad wieczorem wyszedłem z domu, gdyż się nieco wypogodziło.

Nowy rok 1665, nadszedł za dni kilka. Powinszowałem sam sobie jak najprędszego wyswobodzenia z bezludnej wyspy, bo mi nie miał kto inny winszować. Po południu poszedłem na polowanie. Upał nieznośny zmusił mię do wytchnienia w cieniu drzew. Gdy słońce zaczęło mniej dopiekać, przebiegłem kilka ładnych dolin w głębi wyspy, nieznanych mi dotąd. Nagle wyszedłszy z lasu, spostrzegłem stado kóz: zadziwiła mię nadzwyczajnie obecność tych zwierząt. Dotąd jeszcze nigdy ich nie widziałem.

Serce zabiło mi gwałtownie. Któż wie, może w głębi wyspy znajduje się jaka osada Europejczyków, hodujących kozy. Natychmiast pobiegłem ku zwierzętom, wabiąc je bekiem, jak to u nas w zwyczaju, ale kozy w mgnieniu oka pierzchły w zarośle. Puściłem się za niemi w nadziei, że mnie doprowadzą do jakiej ludzkiej zagrody, lecz nachodziwszy się niemało, zabłąkałem się wreszcie, co nietylko zmusiło mnie noc przepędzić w lesie, lecz dopiero drugiego dnia nad wieczorem po długiem krążeniu znalazłem mój zamek a raczej jaskinię.

W miesiąc po tej wycieczce, przechadzając się w pobliżu miejsca, gdzie mnie morze wyrzuciło, z największem zadziwieniem spo-

strzegłem zielone kłosy, zupełnie dodobne do jęczmienia. Im lepiej im się przyglądałem, tem bardziej byłem przekonany, że mnie wzrok nie myli.

Trudno wypowiedzieć pomieszanie jakie mnie na ten widok ogarnęło. — Zboże europejskie tu? w tem miejscu? Czy to być może?!... skąd się tu wzięło?

Jeśliś pilnie zważał, czytelniku, to zapewne nie uszło twej uwadze, że aż dotąd zupełnie zapomniałem o Bogu. Wzywałem Stwórcy kilkakrotnie, to prawda, lecz tylko w największej trwodze podczas burzy morskiej, ale skoro tylko niebezpieczeństwo minęło, to zapominałem o tym najdobrotliwszym Ojcu naszym. Na widok kłosów, niewiadomo jak wyrosłych, uczułem niepojętą radość i w pierwszej chwili byłem pewny, że jak Bóg niegdyś cudownie żywił Eliasza proroka na pustyni, tak i mnie dzisiaj okazuje szczodrobliwe dowody Swej opatrzności.

Myśl ta wzruszyła mnie niezmiernie. I czemże, ja nędzny grzesznik, zasłużyłem sobie, aby Bóg cuda dla mnie czynił i padłem już na kolana, aby podziękować za tę łaskę Wszechmocnemu, kiedy nagle spostrzegam pod drzewem mały woreczek od zboża, rzucony w dniu przybycia mego na wyspę. Zrywam się z kolan, zawstydzony moją łatwowiernością, jak gdybym nie doświadczył tylu łask i nie miał za co innego Bogu dziękować.

Tak to wiecznie płochość i lekkomyślność kierowały moimi postępkami. Miałem zasady religijne wpojone przez matkę, a puściwszy się na burzliwe życie żeglarskie, zapomniałem o wszystkiem. Kiedy mi się dobrze wiodło, nie myślałem o Bogu, a gdy bieda dokuczała, to niestety zamiast modłów, skargi i złorzeczenia z ust wylatywały. Nie pomyślałem nawet o tem, że zrządzeniem Bożem te kilkadziesiąt ziarn upadło właśnie w miejscu, zasłoniętem od skwaru słonecznego, na ziemię bujną, a nie na twardą opokę i wzrosły tutaj jedynie dla mojego pożytku. Gdyby wpadły w przeciwną stronę na piasek, czy mógłżebym z nich korzystać?

Co się stało z temi ziarnami, opowiem później.

W połowie miesiąca maja o mało cały zamek mój nie runął, a ja sam nie utraciłem życia. Siedziałem właśnie przy wyjściu w murze, strugając nożem widelec z drzewa, kiedy nagle jakiś dziwny, jakby podziemny grzmot daje się słyszeć. Zrywam się przerażony, podnosząc wzrok w górę, aby zobaczyć, skąd nawałnica nadciąga. W tem z przerażeniem widzę, jak cały szczyt skały panującej nad jaskinią drży, wstrząsa się gwałtownie. Nakoniec z straszliwym hukiem zwala się w dolinę, zasypując gruzami strumień. W największej trwodze przesadzam mur i uciekam ku brzegowi morskiemu, ażeby mnie gruzy nie przywaliły.

— To trzęsienie ziemi! — zawołałem, szczękając zębami ze strachu. I obejrzałem się błędnem okiem wokoło, oczekując, rychło-li mnie ziemia pochłonie.

Za chwilę powtórzyło się wstrząśnienie, słabsze wprawdzie od pierwszego, ale słyszałem huk jakiś wewnątrz mej jaskini, a w odległości wyraźnie można było widzieć, jak zachwiały się szczyty wzgórz, a jeden nad morzem z łoskotem piorunu spadł w fale oceanu i wyrzucił na sto stóp wysoki słup wody.

Jak żyję, nie doświadczyłem jeszcze trzęsienia ziemi. Przy pierwszem uderzeniu zaczęło mi się mieszać w głowie; za drugiem, padłem u stóp ogromnego drzewa, wołając bezmyślnie w najokropniejszym strachu: Boże mój! Boże! zmiłuj się nade mną!

Na chwilę się uciszyło, nabrałem nieco ducha, ale nie śmiałem do mieszkania powrócić. Siedząc pod drzewem, załamywałem ręce z rozpaczy. Tymczasem powietrze stawało się coraz cięższe, całe niebo czarne zaciągnęły chmury. Zerwał się wicher, który w pół godziny później przeszedł w najgwałtowniejszą nawałnicę. Morze wrzało jak ukrop, a jego powierzchnia zbielona pianą, tworzyła coraz ogromniejsze bałwany; fale rzuciły się wściekle na brzegi, wyrywając drzewa z korzeniami. Po trzech godzinach szalonego wichru, rozwarły się niebieskie upusty. Nie był to deszcz, ale prawdziwe wody z chmur leciały na ziemię.

Zlany, przemokły do ciała, siedziałem na błotnistej ziemi. Wstrząśnienia nie powtarzały się więcej, a więc postanowiłem wrócić do jaskini, bo na takiej ulewie niepodobna było wysiedzieć. Brnąc w wodzie blizko po pas, przeszedłem łączkę zalaną wodą. Strumień zawalony skałami, nie mogąc wolno odpływać, był tej powodzi przyczyną. Nakoniec z niezmierną trudnością po ciemku dostałem się do wnętrza jaskini, drżąc z bojaźni, aby nie ponowiło się trzęsienie i nie pogrzebało mnie pod gruzami, ale z drugiej strony niepodobieństwem było zostawać dłużej pod gołem niebem. Wyszukawszy suche miejsce w jaskini, usiadłem i całą noc przepędziłem drzemiąc.

Deszcz lał do rana; kiedy nareszcie rozjaśniło się na polu, rzuciłem okiem dokoła. Któż opisze mój przestrach, gdy ujrzałem większą część jaskini zasypaną ziemią i odłamkami skał. Gdyby trzęsienie nastąpiło w nocy, jużbym nie żył. Cud mnie jedynie ocalił, gdyż miejsce gdzie spałem oraz piwnica, były zupełnie przywalone.

Około południa wyjasniło się nakoniec; wody ustąpiły i spłynęły ku morzu. Trzeba się było zabrać do wyprzątnięcia jaskini. Przeraziła mnie ta robota; nie było ani taczek, ani wózka do wywożenia kamieni i ziemi; jedynem mem narzędziem była licha motyka z muszli. Jednakże nie dałem się odstraszyć, pracowałem ciężko przez cały dzień i nareszcie do wieczora uprzątnąwszy

ziemię z ponad piwniczki, mogłem dostać się do mych zapasów.

Pomimo usilnej pracy przez cały dzień nic nie jadłem; zatrudniony robotą, nie pomyślałem nawet o posiłku, dopiero odgrzebawszy piwnicę, zabrałem się do jedzenia. Ale nic mi nie smakowało: piłem przez cały dzień a ciągłe miałem pragnienie. Kilkakrotnie przebiegł mnie dreszcz, czasami znów krew uderzyła do głowy.

Czując się słabym, położyłem się jeszcze za dnia na posłaniu z suchego mchu, przykrywając się kołdrą z zajęczych skórek, którą właśnie skończyłem przed kilku dniami. Przy posłaniu przygotowałem dwie duże muszle napełnione wodą, nie chciałem bowiem narażać się w nocy na wychodzenie do źródła.

XVIII.

Choroba — cierpienia — brak pomocy — rozpacz — gorączka — marzenie straszliwe — dwa dziwne sny.

Zaledwie sen skleił moje powieki, kiedy nagle przebudziło mnie nadzwyczajne zimno. Sądziłem, że znów woda podpłynęła pod moje posłanie, lecz niebo wypogodzone, pięknie i jasno świecący księżyc przekonały mnie o mylności tego mniemania. Czułem w całem ciele tak silne dreszcze, iż zęby szczękały od nich i drżałem jakby wśród najtęższego mrozu. Nadaremnie otuliłem się

kołdrą, nic to nie pomagało, zdawało mi się, że zmarznę.

Tak męczyłem się blizko do rana; wówczas zimno mnie zaczęło opuszczać, a w miejsce jego powstała tak silna gorączka, że pozrzucawszy z siebie kołdrę i odzież, jeszcze nie mogłem wytrzymać; czułem wewnątrz palący ogień, pragnienia nie mogłem ugasić, a głowa mało nie pękła z bólu. Nakoniec zmęczony cierpieniem, mocno usnąłem. Kiedym się przebudził, słońce zbliżało się już ku południowi; zimno, gorąco i ból głowy opuściły mnie zupełnie, lecz czułem się bardzo osłabionym, że niepodobna wstać było. Wytężywszy siły zwlokłem się nareszcie z posłania, ale nogi drżały pode mną i nie mogłem kroku postąpić. O wyprzątataniu dalszem ziemi z jaskini ani myśleć. Niezawodnie przemoczenie się podczas burzy zaszkodziło mi. Myśl o chorobie dręczyła mnie straszliwie; jeżeli nie ustąpi, któż mnie będzie pielęgnować, kto mi poda wody, kto jaki pokarm przyrządzi!

Ku wieczorowi było mi nieco lepiej, a nawet uczułem chęć do jedzenia; a więc to tylko słabość przemijająca, chwała Bogu! — zawołałem z radością — wszystko skończyło się na strachu.

Radość ta jednak nie długo trwała. Wprawdzie na drugi dzień miałem się jeszcze lepiej i nawet mogłem cokolwiek pracować, ale w nocy powtórzyły się wszystkie poprzednie objawy choroby. Powtórnie wstrząsło

mnie zimno i znowu po niem nastąpiła gorączka. Tym razem było daleko gorzej, nie przysposobiłem wody, a zdawało się, że mnie spali pragnienie. Próbowałem wstać i dopełznąć do zdroju. Sił mi brakło; rozpacz mnie ogarnęła, a okropny ból głowy mieszał mi zmysły.

W tem niewymownem cierpieniu, znów mi stanął w oczach obraz rodzicielskiego domu. Przypomniałem sobie, jak troskliwie kochana matka pielęgnowała mnie w najlżejszej słabości, z jaką trwogą nad mojem łożem czuwała i najdrobniejsze życzenia wypełniała z pośpiechem. Jak ojciec zwykle surowy, okazywał się podczas mojej choroby pełnym troskliwości, a gdym wyrzekł, że mi lepiej, radość rozjaśniła jego twarz szanowną. A teraz niema przy mnie nikogo, któż wie, czy to nie koniec mojego życia... może nigdy... nigdy ich nie zobaczę!

Starałem się wszelkiemi siłami odepchnąć myśl o śmierci, lecz cisnęła się jeszcze tem natrętniej. Stan mój był okropnym; krew wrzała w żyłach, a oddech stawał się coraz szybszym i krótszym.

W tem niebezpiecznem położeniu pierwszy raz szczerze pomyślałem o Bogu; zacząłem sobie przypominać słowa pacierza, którego od pięciu lat nie mówiłem wcale; lecz rozpacz nie dawała mi się modlić. Strach śmierci tak mię opanował, że sobie rady dać nie mogłem, a trwoga ta o wiele jeszcze zwiększyła moje cierpienia: zdaje mi się, że

umarłbym już z samej bojaźni, gdyby ciało zmęczone tak długiem wysilaniem, nie uległo potędze snu.

Nazajutrz znowu mi było lepiej, ale czułem większe jeszcze osłabienie niż przedwczoraj. Od trzech dni nic prawie nie jadłem. Gdyby skąd dostać można talerz rosołu, choćby kleiku; ale jak przykre położenie biednego wygnańca, zmuszonego żyć surowiznami, nie mającego czem pokrzepić zwątlonych sił.

Żułem owoce bananowe, wysysając tylko sok, a odrzucając miazgę. Przeświadczenie, że dostałem febry, dopełniło kresu mego zmartwienia: wiedziałem, że ta choroba zabija Europejczyków na wybrzeżach Gwinei. Rzadko który unika śmierci, a ja jeżeli nie umarłem podczas pierwszej podróży, winienem to tylko kapitanowi, który mnie przewiózł do Anglii. Jedynie zmiana klimatu mnie uleczyła.

Gdzież teraz ucieknę przed zabójczą chorobą, pozbawiony wszelkiej pomocy lekarskiej, niezawodnie skończę życie w najokropniejszych cierpieniach, a nikt nie będzie wiedział, co się ze mną stało.

W nocy dostałem znowu zwykłego napadu febry. Pragnienie jeszcze silniej mnie dręczyło, niż podczas poprzednich napadów febry, do tego przyłączył się silny ból w lewym boku, myślałem, że skończę życie tej nocy. Na szczęście przygotowałem sobie znaczny zapas wody i tylko to przynosiło

mi słabą ulgę. Nad ranem gorączka znacznie się zwiększyła, okropne marzenia przerywały sen co chwila: raz zdawało mi się, że walczę z rozhukanem morzem, krzyczałem z przestrachu i zrywałem się jak szalony; za chwilę znów widziałem mnóstwo potworów: lwów, tygrysów, lampartów rzucających się na mnie z rykiem. I uciekałem przed niemi, a nogi plątały się pode mną, potykałem się co chwila, upadałem; zgłodniała czereda rozjuszonych bestyi już, już dosięgała mnie swymi kłami... To znów wrzawa i wystrzały bitwy napełniały powietrze. Korsarze maurytańscy wywijali nade mną szablami, jakiś olbrzymi murzyn pochwycił mnie w objęcia i dusił, dusił tak silnie, że już tchu w piersiach mi zabrakło... Zmęczony, spocony, zziajany obudziłem się na chwilę, nie wiedząc, czy to były okropne marzenia, czy straszna rzeczywistość...

Po chwili zapadłem znowu w sen głęboki... zdawało mi się, że siedzę pod tem samem drzewem, gdzie podczas trzęsienia ziemi szukałem schronienia. Gęste kłęby chmur poczęły opuszczać się z nieba i zakryły przed mojem okiem całą wyspę; nic nie widziałem, tylko czarne, nieprzejrzane tumany. Nagle straszna błyskawica rozdarła chmury, z wnętrza ich wystąpił olbrzym, niewypowiedzianą jasnością okryty. Gdy wyszedł z łona szkarłatnych obłoków i nogą dotknął ziemi, wstrzęsła się cała wyspa, a gromy zahuczały tak gwałtownie, jak gdyby

świat miał runąć. Zbliżywszy się do mnie, wzniósł w górę oszczep i zawołał głosem, na który krew ścięła się w mych żyłach:

»Nędzny! tyle dobrodziejstw doznanych od Opatrzności nie wzruszyło twego zakamieniałego serca! trwasz w twych złościach, a więc giń jak żyłeś marnie«!

I wzniósł oszczep, aby mnie przebić; co się dalej stało, nic nie wiem.

Kiedy zdawało mi się, żem przyszedł do przytomności, wszystko zniknęło. Znajdowałem się niby na jakiejś nieprzejrzanej równinie tak pięknej zieloności, jakiej nie oglądałem w życiu: błękit nieba roztaczał nade mną swój przecudny namiot; nie było tam ani słońca, ani księżyca, ani gwiazd, tylko jakaś dziwnie miła jasność, a powietrze tchnęło niby wonią czy świeżością, czego opisać nie umiem.

Jasność ta rozlewała się z sklepień niebieskich, rosła, potężniała tak, iż oczy spuścić musiałem; a gdy je znowu wzniosłem na chwilę w górę, ujrzałem krzyż promienisty.

Padłem na twarz, nie śmiejąc prawie oddychać, gdy w wtem głos słodszy aniżeli ziemskie melodye zabrzmiał z góry:

»Wzywaj mnie w dzień utrapienia, a wyrwę cię i czcić mnie będziesz«.

Obudziłem się, wszystko zniknęło.

Nie wiem... nie umiem powiedzieć, co się działo w mej duszy... Radość, nadzieja, żal, skrucha, bojaźń, ufność w Bogu, wszystko to razem przeniknęło moją istotę.

— O Boże! mój Boże! moj Boże! — zawołałem, dźwigając się na kolana. — O Ojcze mój, jakże Ty dobry jesteś! Grzesznikowi zanurzonemu w kale nieprawości i grzechów podajesz dobrotliwą dłoń Twoją, zamiast przygnieść go do ziemi całą potęgą Twej sprawiedliwości! Ach ja nędzny! tyle lat zapomniałem o Tobie, Stwórco mój najlepszy, nie dziękowałem za Twe dobrodziejstwa, a Ty jeszcze mi pozwalasz poznać moje winy i żałować za nie!...

O Panie mój! jeżeli to jest ostatnia choroba moja, jeżeli mam umrzeć, pozwólże mi choć tak długo żyć, abym mógł szczerze żałować za grzechy moje i Twój przebłagać majestat. O Boże, wzywam Cię w dniu utrapienia mojego... wyrwij mnie...

Nie mogłem dokończyć modlitwy, potok łez zalał wyrazy, wzniosłem ręce ku niebu i płakałem jak dziecko, zanosząc się i łkając.

. . . .

Modlitwa wyczerpała resztę sił moich... czarne płatki wzrok mi zaćmiły, zaszumiało w uszach, padłem jak nieżywy.

XIX.

Podwójne przebudzenie się — niespodziewani goście — skutek snów — rozważenie dotychczasowego życia — żal i poprawa — przybytek Pański.

Kiedy odzyskałem zmysły, a raczej przebudziłem się z głębokiego snu, sam nie wiem

Czy spałem noc, czy więcej, nie mogłem zgadnąć. Zdaje mi się, że musiałem bardzo długo być pogrążony w letargu czy śnie, bo sił mi tyle przybyło, że łatwo podniosłem się z posłania.

Za długością snu przemawiało wycieńczenie i wychudzenie członków i całego ciała. Co mnie najbardziej zadziwiło, to obecność trzech kóz w mojej zagrodzie. Skąd one się tu wzięły? Biedne te stworzenia wcale się nie lękały. Jedna nawet przybliżyła się ku mnie, przypatrując się ciekawie.

Później dopiero rozwiązałem tę zagadkę. Kozy znać wdarły się na skałę ponad jaskinią, zeszły na mur, a skoczywszy z niego do środka zagrody, nie mogły znaleść wyjścia. Mur był zupełnie pionowy a zatem wdrapać się nań nie mogły. Brak paszy a wskutek tego głód, tak je osłabił, że straciły wrodzoną dzikość.

W tej chwili jednak co innego mnie zajmowało.

Głód potężnie dokuczał. Wyczołgałem się z jaskini i założywszy z wielkiem wysileniem wnijście kamieniami, ażeby kozy nie uciekły, poszedłem bardzo wolnym krokiem ku zaroślom. Banany tam się znajdowały, ale nie miałem siły wdrapać się po nie. Porzuciłem ten zamiar i powlokłem się nad brzeg morski dla poszukania ostryg. Na szczęście dość daleko jeszcze od morza natrafiłem na gniazdo żółwi morskich a parę jaj tychże pokrzepiło mnie bardzo.

Posiliwszy się, usiadłem na wzgórku i począłem rozważać wszystko, co mnie od początku choroby spotkało. Wiedziałem, że podwójne moje widzenie było tylko marzeniem, ale jakże cudownem marzeniem. Wyraźnie rozpoznać można w niem było łaskę Stwórcy, pociągającego mnie ku sobie... jakieżto moje dotychczasowe życie?

Kiedym po raz pierwszy objawił ojcu chęć puszczenia się na morze, powiedział mi owe pamiętne słowa:

»Kto nie słucha rodziców, temu nigdy Bóg błogosławić nie będzie, ten marnie zginie«.

Czyż te święte wyrazy jego nie spełniły się prawie zupełnie? Wzgardziłem twą przestrogą, drogi mój ojcze — zawołałem ze łzami; — sprawiedliwość Boża dosięgnęła mnie. Mogłem przy was, najmilsi rodzice, być tak szczęśliwym i spokojnym, być wam pomocą i opieką w podeszłym wieku: a zamiast tego wtrąciłem was w przepaść smutku i zatrułem ostatki dni waszych. O jeszcze Bóg dobry obszedł się ze mną zanadto łaskawie, stokroć na większe zasłużyłem kary.

— Czyż aby raz wniosłem myśli moje do Ciebie stwórco mój? — mówiłem ze łzami — czyż podziękowałem Ci aby za jedno dobrodziejstwo? czyż pamiętałem o dniu czci Twojej poświęconym? A przecież Ty stworzyłeś ten cały świat i utrzymujesz w takim porządku. Tyś stworzył tę ziemię, na której

znalazłem ocalenie, źródła które mnie napoiły, owoce, które mnie ocaliły od śmierci z głodu. Twojem dziwnem zrządzeniem wpadły do mojej zagrody te kozy, mogące mi tyle przynieść pożytku. Tyś mnie ocalił z rozbitego okrętu w Yarmouth, wstrzymał miecze korsarzy nad moją głową, wybawił z niewoli maurytańskiej i na drogę mą sprowadził okręt, który mnie z Ksurym wybawił z oceanowych przepaści. Tyś mnie ochronił z pośród dwudziestu dwóch mych towarzyszy i samemu tylko życie zachować dozwolił; a ja ślepy tego wszystkiego nie widziałem i nieraz zamiast dziękować, bluźniłem Ci, Panie mój, słowami rozpaczy!...

Ach czemże, czem potrafię Cię teraz za te wszystkie winy moje przebłagać?!...

O Panie mój! — mówił dalej ze łzami Robinzon — nędzny jestem człowiek i nic Ci dać nie mogę, bo wszystko co posiadam, jest Twą własnością, ale racz przyjąć ode mnie skruszone serce, przejęte miłością dla Ciebie, szczery żal i chęć poprawy, którą racz swoją łaską wesprzeć.

A jako pozwoliłeś mi przebudzić się i powstać z ciężkiej choroby, tak niech przebudzi się i powstanie dusza moja z upadku, z choroby grzechu. Niechaj to moje przebudzenie będzie podwójnem!

Pokrzepiony tą modlitwą i postanowieniem zwróciłem się ku domowi. Przyszedłszy pod zagrodę, usłyszałem beczenie kóz, znać

bardzo zgłodniałych. O ile mi sił starczyło, naścinałem trawy i zaniosłem biednym stworzeniom. Brały ją z rąk moich i jadły z apetytem, a gdym odszedł, szły za mną becząc żałośnie, jak gdyby dopominały się strawy. Napoiłem je z muszli, a robota ta tak mi wyczerpała siły, że ległem jak nieżywy na posłaniu.

Przespawszy parę godzin, doznałem uczucia głodu.

— Mój Boże — zawołałem głosno — i czemże się nędzny posilę? ani kukurydzy, ani bananów jeść nie mogę... mięsa nie mam, a choćbym je nawet miał, nie wiem, czyby mi przeszło przez gardło.

Wtem przypadkiem rzuciłem wzrok na kozy, których wydęte wymiona świadczyły, że mleko w nich być musi. Mleko? ach sama myśl dostania go napełniła mnie niewypowiedzianą radością. Udałem się znowu za ogrodzenie i nazbierałem trawy. Wróciwszy ułożyłem pęk na kamieniu na łokieć wysokim, a gdy koza zaczęła w najlepsze jeść trawę, wziąłem się do dojenia. Poczciwe stworzenie nie broniło się wcale. Otrzymałem z półtorej kwaterki mleka do podstawionej muszli.

Nikt nie jest w stanie wypowiedzieć mojej rozkoszy, kiedym się posilił letniem mlekiem. Od sześciu miesięcy nie miałem go w ustach, nie kosztowałem żadnego innego napoju oprócz zimnej wody i kokosowego mleka, nie mogącego przecież wcale iść w porównanie z koziem.

Wypiwszy je, padłem na kolana i pierwszy raz dziękowałem Stwórcy za Jego dary. Mleko wydojone z drugiej kozy zostawiłem na noc.

Późno już było, gdym się udawał na spoczynek i znowu od przybycia na wyspę pierwszy raz zakończyłem dzień modlitwą.

Zrana wstając czułem się daleko lepiej, a co najważniejsza, że chociaż w tym dniu według mojej rachuby febra przypadała, wcale jej — oprócz nic nie znaczących dreszczów — nie miałem.

Osłabienie nie pozwoliło mi się wziąść do pracy; nazbierałem tylko trawy dla kóz i wydoiłem obydwie. Młody koziołek, ich towarzysz, posilony paszą, nabrał dobrego humoru i ubawił mnie wesołymi skokami.

Po śniadaniu, składającem się z koziego mleka, poszedłem zajrzeć do kalendarza i powyrzynać kreski, czego w czasie choroby zaniedbałem. Słabość napadła mnie dnia 9 kwietnia, we wtorek. Według mojego wyrachowania, był dzisiaj poniedziałek 15 kwietnia, chorowałem tedy blizko tydzień.

Od czasu mego ozdrowienia, wstając i kładąc się spać, modliłem się na kolanach i postanowiłem uroczyście obchodzić niedzielę i nie wykonywać żadnej roboty, oprócz dojenia kóz, co koniecznie nawet dla zdrowia moich karmicielek uczynić należało. Wieczorem zwykle rozważałem, czym nie zawinił co przed Panem.

Postępowanie te napełniło moją duszę nieznaną dotąd błogością. Dawna tęsknota ustąpiła zupełnej ufności w miłosierdzie Boże. Postanowiłem zupełnie i we wszystkiem zdać się na jego wolę, pomyślność i zawody pobożnem sercem i poddaniem się przyjmować i nigdy nie szemrać przeciwko wyrokom Opatrzności.

Odtąd życie moje zupełnie się zmieniło, a pobyt na wyspie stał się, jeżeli nie przyjemnym, to przynajmniej znośnym.

— Masz pomieszkanie i jakie takie wygody — zawołałem raz do siebie — a dla twego dobroczyńcy dotąd nie wybrałeś przybytku, gdziebyś mógł mu w dnie święte i uroczyste składać dziękczynienia. Bóg wprawdzie nie potrzebuje świątyni, bo cały świat jest jego kościołem. Czemże atoli stworzenie okaże wdzięczność swoją dla Stwórcy; wybierzmy jakie miejsce i nadajmy mu nazwę kościoła; niechaj i na tej bezludnej wyspie wzniesie się przybytek Boży.

Łatwiej to jednak wypowiedzieć jak wykonać. O zbudowaniu świątyni myśleć nie mogłem; lecz za to w miejscu, gdziem szukał schronienia podczas trzęsienia ziemi, w tem miejscu, gdzie w marzeniach moich gorączkowych widziałem ducha mściciela, postanowiłem pomiędzy dwiema palmami postawić krzyż i u stóp jego co święto składać modlitwy.

Z dwóch gładkich gałęzi, ściętych z wielkim mozołem, po dwóch tygodniach pracy

wyrobiłem godło zbawienia. Krzyż ten wkopałem na pagórku pomiędzy palmami. Na przeciwległem wzgórzu umieściłem ławeczkę kamienną, abym mógł swobodnie w dzień świąteczny po południu przesiadywać i rozmyślać w ciszy naprzeciwko krzyża. Miejsce to, wyniesione nad morze, prześlicznie położone, było bardzo urocze.



Odtąd ile razy mnie tęsknota napadła, albo smutek opanował duszę, przychodziłem do tego ustronia i nigdy nie opuściłem go bez pociechy.

Na pamiątkę zaś cudownego snu, który taką przemianę w sercu mem sprawił, wyciąłem na pniu drzewa, w blizkości krzyża napis:

»Wzywaj mnie w dzień utrapienia, a wyrwę cię i czcić mię będziesz«.

XX.

Zagroda dla kóz — bambus — przypadek na polowaniu — nowy parasól — ogień — pieczeń — dwa głosy.

Bardzo powoli powracały mi siły, tak iż dopiero po dwóch tygodniach mogłem się wziąść do dalszego wyprzątania groty, a że to była robota męcząca, więc tylko po godzinie rano i wieczorem pracowałem.

Skutkiem wstrząśnienia oderwała się część sklepienia i bocznej ściany; jaskinia zyskała na obszerności, a co większa, owa szczelina, przez którą woda dostawała się do środka, całkiem zniknęła. Dach nawet, sporządzony przeze mnie, pochłonęła ziemia tak, iż śladu z niego nie pozostało.

Z tem wszystkiem mieszkanie w jaskini zdało mi się bardzo niebezpiecznem; gdybym się był w niem znajdował podczas trzęsienia ziemi, byłbym niezawodnie zginął. Postanowiłem więc zbudować szałas, potrzeba tylko było się namyśleć, gdzie sobie obrać nową siedzibę. Lecz gdy rozważyłem dobrze, że moje dotychczasowe mieszkanie jest nadzwyczaj dogodnem, chroni mnie doskonale od deszczu; gdym pomyślał, ile mnie trudów będzie kosztowało zbudowanie nowego domu, do czego nie posiadałem żadnych narzędzi, postanowiłem pozostać w grocie. Zresztą gdyby mi projekt ten był przyszedł przed dziwnym snem i cudownem nawróceniem mojem, byłbym się wziął do jego wy-

konania, ale teraz miałem ufność w Bogu, a wiedząc, że bez Jego wiedzy i woli nikomu włos z głowy nie spadnie, pozostałem w mojej grocie, nie doznając najmniejszej bojaźni.

Natomiast nie posiadając się z radości przyswojenia kóz, umyśliłem dla nich zbudować stajenkę, gdyż razem ze mną w jaskini przebywać nie mogły.

O świcie udawszy się do lasu, szukałem dogodnych gałęzi do wystawienia stajni, której plan w głowie mej był gotowy. Mając z sobą, jak zawsze, łuk i strzały, zapuściłem się za jakimś ptakiem leśnym w nieznaną mi dolinę. W pośrodku jej rosły wysokie na kilka sążni drzewka równe i proste, a gdym się zbliżył, aby je obejrzeć z blizka, przekonałem, się że to trzcina bambusowa.

Odkrycie to ucieszyło mnie bardzo, bo zyskałem materyał lekki, do budowy nadzwyczaj zdatny, a nie trudny do ścięcia. Porzuciłem więc myśl polowania, a wziąłem się do ścinania bambusów, wybierając drzewka półtora a najwięcej dwa cale średnicy mające. Cały dzień zabrała mi ta praca, a jednak nie szło to tak bardzo łatwo, gdyż wieczorem zaledwie było ich trzydzieści sztuk.

Niepodobna było wszystkich zabrać na raz; potrójną więc odbyłem wędrówkę do groty, przeszło pół mili odległej, i dopiero trzeciego dnia przystąpiłem do budowania.

Niedaleko od mej groty rosły dwie palmy, w odległości trzech sążni jedna od drugiej: do nich w wysokości czterech łokci nad ziemią przywiązałem żerdź bambusową. O tę żerdź opierałem pochyło żerdki bambusowe z obu stron, tak, że przez to powstała chatka w kształcie dachu, opartego o ziemię. Pokryłem ją z wierzchu podwójnym pokładem liści kokosowych, u góry bambusy przytwierdziłem bananowemi włóknami.

Chata ta była z dwóch stron otwarta, zagrodziłem ją ściankami, wtykając w ziemię odpowiedniej długości żerdki bambusowe i przeplatając je dla mocy gałązkami chrustu, podobnie jak u nas robią płoty. Z jednej strony zrobiłem drzwiczki do wpuszczania i wypuszczania kóz.

Tak więc towarzyszki mego wygnania miały bardzo wygodne mieszkanie, chroniące je zarówno od upału jak i od deszczu.

Wkrótce przyzwyczaiły się do stajenki i przed wieczorem same podchodziły do drzwiczek, naprzykrzając się bekiem, aby je wpuścić do środka. W dzień jednak miałem z niemi dużo kłopotu. Puszczać wolno na paszę było nieroztropnem, bo mogły uciec do lasu i więcej nie wrócić, a gdy wyszedłszy na polowanie uwiązałem je do drzewa, to znowu biedne zwierzęta nie mogły się najeść do woli i udój był bardzo skąpy.

Jednego dnia, wracając z polowania obciążony ubitym zającem, stąpiłem na coś ostrego i przebiłem sobie nogę. Krew lała

się ciurkiem i zaledwie zdołałem ją zatamować.

Cierń kaktusowy nie mógł przebić tak głęboko nogi. Zacząłem więc szukać sprawcy mej rany i znalazłem... ostry kamień. Jeżeli ból dokuczał mi bardzo, to chętnie jeszcze raz dałbym się skaleczyć za tak kosztowny nabytek. W pierwszej chwili zapomniałem o bólu, a dobywszy nieodstępnego noża, począłem krzesać ogień. Widok dyamentów nie zachwyciłby mnie tak, jak te prześliczne, od tylu miesięcy niewidziane iskry.

Spieszyłem do domu jak mogłem pomimo dokuczającego cierpienia, lecz zaledwie wieczorem ukazała się luba zagroda. Mimo najgorętszego pragnienia nie można było myśleć o rozniecéniu ognia, bo do tego potrzeba próchna lub hubki, suchych liści i gałązek, a tego wszystkiego nie było.

Szukać po nocy niepodobna, tembardziej ze zranioną nogą; trzeba wszystko odłożyć do jutra.

Kładąc się spać, gdy jak zwykle ukląkłem do pacierza, zacząłem rozważać, jak wyraźnie Stwórca mną się opiekuje. Oto od czasu powstania z choroby, już drugiego wielkiego doznałem dobrodziejstwa. Naprzód niewiadomym sposobem przybłąkały się do mnie kozy, których mleko było mi dobroczynnym balsamem w cierpieniu. Teraz znowu ogień, do którego tak długo nadaremnie tęskniłem, niespodziewanie się zjawia.

Ze łzami dziękowałem Stwórcy i przepełniony radością usnąłem.

Któż nie domyśli się, że na drugi dzień rano pierwszą moją myślą było rozniecenie ognia. Co chwila budziłem się w nocy, bo mi szczęście spać nie dawało, a gdym zasnął, wciąż mi się śniło, że siedzę przed wielkim płomieniem. Od czasu zamieszkania na wyspie nie doświadczyłem takiej radości.

Ale snadź podobało się Panu Bogu wystawić mnie na ciężką próbę. Już w nocy uczułem mocny ból w nodze, a kiedy ją z rana obejrzałem, cała podeszew była spuchnięta. Pomimo moczenia w wodzie, przez cztery dni stąpać nie mogłem; gdyby nie zapas żywności, głód byłby mi się dał dobrze we znaki.

Przez ten czas zatrudniałem się sporządzaniem nowego parasola. Stary, zrobiony z kokosowych liści, wcale był dobrą ochroną od promieni słonecznych, lecz podczas deszczu na nic się nie zdał. Doświadczyłem tego w czasie pory zimowej i dawno już trzeba było coś innego wymyślić, lecz dzień za dniem schodził na innych robotach, później zaś trzęsienie ziemi, wyprzątanie jaskini i choroba, przeszkodziły mi do tego. Nareszcie brak skórek, z których miał być nowy parasol zrobiony, stał na zawadzie.

Sporządziłem go z cienkich gałązek bambusowych, zajęcze skórki dostarczyły pokrycia; lecz największą trudność stanowiło otwieranie i zamykanie. Udało mi się ją po-

konać, ale z jakimże mozołem: ani sprężyn, ani drutów, ani zgoła najmniejszego nie posiadając narzędzia, wymyśliłem przecież rodzaj baldachimu, nie wyglądającego paradnie i psującego się często, ale i z tego byłem bardzo zadowolony.

Po zagojeniu się rany poszedłem do lasu, aby poszukać hubki. Zamiast niej znalazłem pień wypróchniały. Zebrawszy czyr, wysuszyłem go na słońcu. Porywam stal i krzemień, krzeszę ogień, padają iskry, jedna chwyta czyru; dmucham, serce bije mi gwałtownie, płomienia wzniecić nie mogę... O Boże! mój Boże! miałożby wszystko spełznąć na niczem... Nakoniec wybucha płomień, zapalają się suche listki... gałązki...

Na ten widok jakieś dziwne osłabienie owładnęło mną... zdawało się, że zemdleję... Ten ogień wydawał mi się czemś tak kosztownem, że nie zdołam tego wypowiedzieć. Biegałem jak szalony, znosząc gałązki, drzewo, krzewy. Zdaje mi się, że spaliłbym las cały... Olbrzymi płomień bije na trzy sążnie w górę... dym wznosi się ponad szczyty skały... tańczę... biegam, skaczę z radości około ognia, nareszcie łzami zalany padam na kolana, dziękując Stwórcy za to dobrodziejstwo.

Wy lube dziatki, używając wszelkich wygód w domu rodzicielskim, nie zdołacie pojąć szczęścia biednego wygnańca, który po po ośmiu miesiącach życia pełnego niewygód, ujrzał nakoniec płonący ogień i cie-

szył się, że wreszcie ciepłą strawą będzie mógł skrzepić znużone ciało.

Chciałem napić się gorącego mleka, wydoiłem więc kozę i przystawiłem je w muszli do ognia. Po chwili muszla pękła z trzaskiem, a popiół uraczył się moim przysmakiem. To mnie bardzo zasmuciło, lecz nie tracąc czasu, porywam kawał drzewa, zaostrzam go, pakuję wczoraj zabitego zajączka i piekę. Przyjemna woń pieczonego mięsa napełniła powietrze, zaledwie miałem cierpliwość doczekać się, aż będzie gotowe.

Zajadając zajączka, wystawiałam sobie, że jestem na uczcie królewskiej; cóż to za smak wyborny! Teraz nie zdołam wyobrazić sobie, jak mogłem jeść surowe mięso jak wilk jaki?... Ach! czyż może być większe dobrodziejstwo od ognia!

Wyznam ze wstydęm, że rozłakomiony smakiem mięsa, już zamyślałam poświęcić mego koziołka na pieczeń. Lecz oburzyła mnie ta niewdzięczność. — Jakto? biedne stworzenie przyszło szukać u ciebie schronienia, a ty w dowód prawdziwej gościnności chcesz je wsadzić na rożen? To byłoby bardzo brzydko, panie Robinzonie. Ot nie leń się, weź łuk i strzały i idź na polowanie. Są kozy w lesie, więc będziesz miał pieczeń, a nie okażesz się okrutnikiem.

— Tak, ale mi tymczasem ogień wygaśnie.

— Naznoś więc grubszych gałęzi drzewa, ostatna burza nie mało ich natrzaskała,

a zresztą choćby ogień wygasł, masz krzesiwo i krzemień, to znowu go rozniecisz.

— A jak się nie uda?

— Udało się raz, to uda się i drugi. To są tylko wymówki i nic więcej. Marsz do lasu, będziesz miał kozią pieczeń, a może i rosół.

— Ciekawy jestem, w czem go ugotuję?

— Widziałem ja pod skałą glinę, z gliny garnki robią garncarze, masz teraz i ogień, możesz wypalić. Próbowałeś murarki i ciesiółki, szewstwa, krawiectwa, byłeś zręcznym parasolnikiem, więc może i garncarstwu podołasz.

— Nie tak to łatwo, a gdzież kółko garncarkie?

— Nie wymawiaj się kochaneczku, nie święci garnki lepią, a bez pracy nie ma kołaczy, ani też pieczone gołąbki nie przyjdą same do gąbki. Trzeba koniecznie troszkę czoła zapocić.

W ten sposób prowadziłem sam z sobą rozmowę. Ktoby był słuchał z boku, mógłby się naśmiać potężnie. Często w mej duszy odzywały się dwa różne głosy: jeden przedstawiający moje lenistwo, zwątpienie i wszystkie złe nałogi; drugi surowy, karcący każdą złą myśl, nie przepuszczający najmniejszego przewinienia. Ile razy zachodziła między nimi sprzeczka, ten drugi miał zupełną słuszność i z łatwością obalał wszystkie wymówki lenistwa. Poznałem, że był to

kie wymówki lenistwa. Poznałem, że był to głos sumienia, głos prawdy i zawsze wkońcu szedłem za jego radą.

I teraz zabrawszy łuk i strzały, nie ociągając się dłużej poszedłem do lasu z głową nabitą garncarstwem.

Ma się rozumieć, że przed odejściem naznosiłem na ogień dużo drzewa, a kozy zamknąłem w stajence.

XXI.

Zastrzelenie kozy — sól — pieczeń — próby garncarstwa — różne trudności — piec garncarski — nieudana robota — odkrycie polewy — rosół.

Chcąc zastrzelić kozę, należało zapuścić się w stronę, gdziem je pierwszy raz widział. Przebiegłszy część lasu, wydostałem się na równinę, poza którą ciągnęły się skaliste wzgórza. Tam skierowałem moje kroki, ale parę godzin przeszło na błąkaniu się między urwiskami, a ani jedna koza nie pokazała się. Gdybym miał psa, poszłoby wszystko pomyślniej; ale tak, samemu, trzeba było być gończym.

Znudzony próżnem szukaniem, usiadłem w cieniu skały, aby wypocząć. Po niejakiej chwilce spostrzegam parę kóz na szczycie przeciwległego urwiska. Nie śmiejąc wyjść z mojej kryjówki, aby mnie nie dojrzały, zacząłem wabić je ku sobie bekiem. Wkrótce kozy posłyszały ten głos zdradziecki, zaczęły

oglądać się wkoło, nareszcie zbiegły ze skały. Ukryty wśród krzaków, czekałem, od czasu do czasu, aż przyjdą bliżej, becząc. Jakoż nie zawiodła mnie nadzieja: kozy odpowiadając mi, biegły ku miejscu, gdzie stałem, a gdy jedna przybliżyła się na trzydzieści kroków, przeszyłem ją strzałą. Dwie inne, nie wiedząc, co się z ich towarzyszką stało, obwąchiwały ją przez chwilę, a potem oddaliły się becząc.

Zabrawszy zdobycz, ruszyłem ku domowi. Po drodze skierowałem się ku brzegowi morskiemu, aby uzbierać z tuzin ostryg. Kiedym złożywszy kozę, zbiegł w parów, prowadzący ku wodzie, naraz ujrzałem w biegu coś błyszczącego. Nachylam się, odrywam lśniący kamień i znajduję... sól. Zdaje mi się, że znalezienie najbogatszej kopalni złota nie sprawiłoby mi takiej radości, jak ta wyborna przyprawa, bez której tyle miesięcy musiałem się obchodzić. Znać z morskiej wody osadziła się sól w parowie.

Zabrawszy kawał soli i zauważywszy dobrze miejsce, gdzie się znajdowała, powróciłem do domu, obciążony podwójnym łupem. I znowu w duszy uczułem głęboką wdzięczność ku łaskawemu Stwórcy, który mi nowe dobrodziejstwo wyświadczył.

Za powrotem do domu pobiegłem zaraz ku ognisku. Płomienie wprawdzie już zgasły, ale za to zarzewia było nie mało, z którego natychmiast rozdmuchałem ogień.

Na wieczerzę upiekłem kawał koziny, a smakowała mi wybornie, mianowicie też przyprawiona solą.

Mając teraz i mięso i sól, mogłem sobie ugotować rosołu, do tego małej tylko rzeczy brakowało... to jest garnka.

Raz tylko w życiu byłem u garncarza, widziałem, jak kładł glinę na jakiemś kółku, które obracało się poziomo na stoliku, ruszał potem nogą, a pod palcami formowały mu się garnki i miski.

To jednak nie mogło mnie wiele nauczyć.

Jedną tylko rzeczą, z jakiej skorzystałem podczas mej tam bytności, była wiadomość, że im lepiej ugniecie się glinę, tem łatwiej formować z niej naczynia.

Na drugi więc dzień napakowałem sporo gliny, a umieściwszy w wielkiej żółwiej skorupie i nalawszy wody, zacząłem deptać. Po paru godzinach zdawało mi się, że już jest doskonale wyrobiona i postanowiłem wziąść się do formowania garnków.

Murarstwo, ciesiółka, krawiectwo i wszystkie rzemiosła, których dotąd próbowałem, były igraszką, zabawką dziecinną w porównaniu do garncarstwa.

Gdyby kto z boku przypatrywał się wszystkim niezgrabnym kształtom garnków, naśmiałby się ze mnie, a może i pożałował.

Ułożywszy na kamieniu dno garnka z gliny, potem dokoła polepiłem ściany. Nie udawało mi się zupełnie. Jakieś koszlawe

szkaradzieństwa wychodziły z rąk moich. Nieraz ciężar gliny psuł gotowe już naczynie, czasami ucho nazbyt ciężkie wyrywało bok cały, nie mogłem sobie w żaden sposób zaradzić. Nareszcie ulepiłem coś mającego podobieństwo do garnków. Wiadomo mi było, że garncarze roboty swe naprzód suszą na słońcu. Otóż przenosząc owe naczynia na miejsce, gdzie schnąć miały, potłukłem je na drobne kawałki i trzeba było wszystko od początku zaczynać. Innym razem znowu popękały od nagłej spieki słonecznej, trzeba więc było suszyć je wprzódy w cieniu.

W kilka dni po tych pierwszych nieudolnych próbach, znalazłem o pół mili od mego mieszkania gatunek gliny białej, daleko łatwiej ugnieść się i wyrobić dającej. Z tej po dobrem wyrobieniu udało mi się ukształtować dwa naczynia, którym nie umiem dać nazwy. Nie były to bowiem ani garnki, ani rynki, przerażały swą niezgrabnością, ale przecież mogły się na coś przydać.

Kiedy je słońce dobrze wysuszyło, wstawiłem je w ogień, a obłożywszy dokoła, paliłem w nim przez parę godzin. Gdy zdawało mi się, że już mają dosyć, wyjąłem z żaru i chcąc spróbować, czy nie przeciekają, nalałem wody. Wtem obydwa naraz pękły, a tak na jeden raz przepadł owoc kilkudniowej pracy.

Zmartwiło mnie to niepospolicie, ale nie odstręczyło bynajmniej od dalszych prób.

Doświadczenie nauczyło mnie dwóch rzeczy: naprzód, żeby nie robić zbyt wielkich naczyń, bo te daleko łatwiej się psują. Powtóre, aby wysuszywszy pierwej na wietrze, wystawić następnie na słońce, a potem wypalać, wprzódy wolnym, potem coraz mocniejszym ogniem, w końcu zaś znowu żar zmniejszyć i zostawić aż do zupełnego wygaśnięcia w ognisku.



Nadto uważałem, że naczynia wypalają się bardzo źle, jeżeli wiatr miota ogniem. Z zebranych zatem kamieni ułożyłem pod skałą coś na kształt pieca. Kamienie, ustawione w półokrąg, przypierający do skalistej ściany jedną stroną, miały z boku mały otwór u dołu dla lepszego ciągu powietrza.

Wyrobiwszy kilkanaście większych i mniejszych garnuszków, wstawiłem je w piec, obłożyłem dookoła gałązkami i podpaliłem je, dokładając potem drzewa coraz więcej. Nakoniec gdy garnki rozpaliły się do czerwoności, zostawiłem je w tym stanie przez parę godzin; po wyjęciu i ostudzeniu, pokazała się wcale dobrymi. Wprawdzie nie miały pięknej formy, ale do użytku nadały się doskonale i zaraz też sobie ugotowałem w jednym koziego mleka.

Przepyszny to był przysmaczek i od tego czasu codziennie już miewałem gorące śniadanie.

Dopiąwszy tak szczęśliwie celu długich zachodów, zabrałem się do robienia większych garnków, tamte bowiem nie miały większej objętości nad kwaterkę. Już teraz robota szła mi daleko łatwiej, bo nabyłem wprawy, ale zawsze jeszcze garnki nie odznaczały się regularnością ścian. Mniejsza o to, byle tylko służyły do użytku.

Wyrobiwszy z wielką trudnością dwa duże koślawce, podobne do wiaderek, wypaliłem je należycie, a mając wczoraj zabite koźlątko, postanowiłem ugotować rosołu. Nalałem więc wody, osoliłem dobrze i postawiłem do ognia. Ale z wielkim moim smutkiem glina przepuszczała wodę, tak że cała robota na nic się nie zdała. Przyczyną tego zapewne było złe wypalenie. Wstawiłem je więc napowrót w żar, trzymając w nim przez parę godzin.

Po wyjęciu, gdym je począł oglądać, spostrzegłem z podziwem, że garnek, w którym była woda, nabrał wewnątrz szkliwa, czyli polewy, drugi zaś wcale nie. Co mogło być tego powodem? Rozważając długo, przyszedłem wreszcie do wniosku, że zapewne sól to sprawiła. Rozpuściwszy więc soli w troszce wody, polałem tym rozczynem wewnątrz i zewnątrz garnek niepolewany i powtórnie włożyłem w ogień. Wypadek przeszedł moje oczekiwanie. Garnek nabrał pięknego szkliwa i przystawiony z wodą do ognia, nie przepuszczał jej wcale. Tak więc zdałem egzamin na majstra garncarskiego.

Już było późno do gotowania obiadu, więc dopiero nazajutrz zatrudniłem się kuchnią. Do wrzącej i osolonej wody włożyłem mięso. Nie było wprawdzie ani włoszczyzny, ani żadnych innych korzeni do przyprawy, ale ktoby tam dbał o takie bagatele. Za to w miejsce kaszy lub ryżu nasypałem wyłuszczonych ziarn kukurydzy.

Chcąc zaprosić się na obiad wytworny i uczcić należycie dzień skosztowania rosołu, nakryłem kamień liściem kokosowym, postawiłem na nim coś podobnego do miseczki, którą przedwczoraj zrobiłem, położyłem obok tego widelec wystrugany z drzewa, mój nóż i łyżkę, zrobioną z muszli na patyczku osadzonej. Tak przygotowawszy wszystko, zasiadłem do stołu i odmówiwszy modlitwę, wziąłem się do jedzenia.

Ale rosół mój wcale nie odpowiadał wyobrażeniu, jakie sobie o nim robiłem. Miał on smak wodnisty i był bardzo cienki. Ziarnka kukurydzowe odznaczały się zato daleko przyjemniejszym smakiem aniżeli surowe, a mięso było przewyborne. Późniejsze doświadczenie nauczyło mnie, że chcąc mieć dobry rosół, trzeba mięso nastawić w zimnej wodzie, o czem wie dobrze każda kucharka, a czego niestety ja wtedy jeszcze nie wiedziałem i dopiero w parę miesięcy później przypadkowo odkryłem.

Nieraz to przypadek naprowadził mnie na jakiś nowy wynalazek. I tak: razu jednego zbierając w lesie chrust na ogień, zabrałem gałąź z patatami, sądząc, że korzenie grube i bulwiaste będą się palić wybornie. Po wygaśnięciu ogniska ujrzałem je nie spalone, ale tylko zwęglone z wierzchu; odarłszy skórkę, znalazłem wewnątrz miazgę żółtą, mączastą, wydającą przyjemny zapach. Kosztuję, smak bardzo miły, podobny do ziemniaków, których jeszcze wówczas nie znałem, bo dopiero podczas mego wygnania zaczęły upowszechniać się w Anglii.

Od czasu rozniecenia ognia i zrobienia garnków, życie moje uległo wielkiej zmianie. Nie żywiłem się teraz jak dziki człowiek surowiznami, lecz codzień na śniadanie miałem garneczek grzanego mleka, a do tego zamiast bułki, ziarna gotowanej kukurydzy. Na obiad rosół, albo dla odmiany kawał pieczeni, to koziej, to zajęczej, niekiedy znowu pie-

czyste z papugi, lub innego jakiego ptaka. Oprócz tego miałem owoce, i to kokosy, ananasy lub banany. Wieczerze miewałem z mięsnych resztek obiadu, z dodaniem dwóch lub trzech patatów, upieczonych w popiele. Przystawkami do tych dań bywały ostrygi, żółwie lub ptasie jaja na twardo lub na miękko ugotowane, oraz morskie raki, które nieraz po odpływie morza chwytałem.

Jadło to pożywne, bardzo zbawiennie wpłynęło na moje zdrowie, wycieńczone przebytą chorobą. Wyglądałem teraz znów czerstwo i odzyskałem dawne siły.

Zbiór i siew — żniwo zawiedzione — kosz i buty — wycieczka w głąb wyspy — czarowna dolina — pałac letni — melony — zabłąkanie się — bawełna — niespodziewany przyrost inwentarza.

Podczas tych zatrudnień zaglądałem do kłosów jęczmienia, wzrastającego na brzegu morskim, nie mogąc doczekać się ich dojrzenia. Zapewne sądzisz, czytelniku, że miałem ochotę zrobić z ziarna jaką potrawę. Bynajmniej. Chodziło mi raczej o rozmnożenie tego użytecznego zboża na mojej wyspie. I dlatego też, gdy dojrzały, ściąłem je nożem i zaniosłem do domu. Po wykruszeniu było przeszło półtorej kwarty jęczmienia. Mając od dawna obrane miejsce w pobliżu jaskini, skopałem je moją motyczką i zasiałem połowę zboża, zachowując drugą na przypadek nieurodzaju.

Przezorność ta wyszła mi na dobre, gdyż jako niedoświadczony rolnik nie wiedziałem, że siew należy wykonać po przeminięciu pory deszczowej, a to już większa połowa lata upłynęła. Zasiany jęczmień wypaliło słońce, a choćby był wzrósł jak należy, kłosy nie miałyby czasu dojrzeć. Tym sposobem cały zbiór przepadł.

Wtedy dopiero przypomniałem sobie, że w Brazylii ani tytoniu nie sieją, ani nie sadzą trzciny cukrowej w lecie. Nauczka ta posłużyła mi na dobre na przyszłość. Czekałem więc z resztą zasiewu do przeminienia pory deszczowej, mającej już wkrótce nastąpić.

Parę odkryć, w ostatnich czasach dokonanych, mianowicie też sól i pataty, nakłoniły mnie do przedsięwzięcia znacznie większej podróży, w celu dokładnego poznania całej wyspy. Postanowiłem więc korzystać ze schyłku lata i zapuścić się na wyspę jak będzie można najdalej.

Przed rozpoczęciem podróży użyłem kilku dni na uplecenie kosza, mającego mi służyć zamiast tłomoczka do zbierania różnych znajdowanych przedmiotów. Robota poszła niespodziewanie szybko i udatnie, tak, iż miałem spory kosz, do którego przyprawiłem szerokie szelki z włókien bananowych, aby go módz nosić na plecach.

Następnie zająłem się obuwiem. Moje łapcie łykowe dawno się już podarły i znosiłem ze dwie pary innych, trzeba więc było

użyć trwalszego materyału. Skóry kozie, jako tako wyprawne, posłużyły mi do tego celu wybornie. Wykroiłem z nich przyszwy z wysokiemi cholewami, a podeszwę dałem z grzbietu podwójnie złożonego. Pomiędzy te dwie skóry włożyłem podeszwę z grubego łyka, ażeby kamienie i ciernie nóg mi nie kaleczyły; zamiast zaś dratwy, posłużyły struny z kiszek zwierzęcych ukręcone. W ten sposób udało mi się sporządzić buty nadzwyczaj niezgrabne, ale cieszyłem się nimi jak mały chłopiec, gdy go rodzice pierwszymi butami obdarzą.

Zabierałem się już do wyjścia, gdy wtem przyszło mi na myśl, że przez czas mojej nieobecności, kozy zamknięte pozdychają z głodu, albo też pouciekają do lasu, jeżeli je na wolności zostawię.

Nowy to był kłopot i zwłoka w wycieczce. Przez dwa tygodnie blizko zbierałem po całych dniach siano i suszyłem je dla moich żywicielek. Nareszcie zgromadziłem dwa duże stogi wewnątrz zagrody kamiennej i tam też z wielkim trudem umieściwszy kozy, mogłem puścić się w drogę. Napoju miały pod dostatkiem w poblizkiem źródełku.

Podróż rozpocząłem, idąc w górę strumienia, przerzynającego moją dolinę. Ciągnął się on dosyć daleko w głąb wyspy, przechodząc to przez lasy, to znowu przez ładne łąki i równiny. W niektórych miejscach pędził z szumem, w innych płynął bardzo wolno i rozlewał się w różnej wiel-

Na drugi dzień wszedłem w obszerne lasy, których olbrzymie drzewa zasłaniały mi niebo. Cisza tu panowała niezmierna, zdawało się, że wszystkie zwierzęta pierzchły z tej posępnej i głuchej puszczy. Lękałem się napotkać jadowitych węźów, zwykle w takich miejscach przebywających, na szczęście jednak nie widziałem ich wcale.

Śpiesznie, o ile można, przebywałem las, ażeby jak najprędzej wydostać się na pole. Poza lasem ciągnęła się piękna dolina, z północy dotykająca boru. Od wschodu i zachodu otaczały ją skaliste wzgórza, od południa zaś zasłaniały ją znacznej wysokości góry. Długość jej mogła wynosić milę, szerokość nieco więcej niż pół mili angielskiej (Pięć mil angielskich idzie na jedną naszą. Przyj.).

Pyszna zieloność trawy, zaścielającej dolinę nadobnym kobiercem, nadzwyczajnie mnie zachwyciła. Tu i owdzie rosły gaiki palm kokosowych, urozmaicając okolicę, z boku zaś błękitna wstęga czystej jak kryształ rzeczki, dopełniała piękności tego miłego ustronia. Dodajmy do tego, że góry, zasłaniające je od południa, łagodziły skwar powietrza, nie dopuszczając gorącego wiatru z południa.

Pół dnia przepędziłem w tem miejscu, zwiedzając ową rozkoszną dolinę w wszystkich kierunkach. Zdawało mi się, że jestem w jakimś przepysznym ogrodzie. Dlaczegóż

nie znalazłem jej zaraz po mojem przybyciu na wyspę i nie obrałem tutaj mieszkania?

Zachwycenie moje jeszcze się powiększyło, gdy w jednem miejscu znalazłem dużo dzikich melonów. Były one wprawdzie kwaskowate, ale przez przesadzanie i pielęgnowanie, mogły nabrać właściwego i przyjemnego smaku. Urwałem parę z nich i wrzuciłem do kosza.

Noc przepędziłem na stromej skale, zabezpieczającej mnie od napadu drapieżnych zwierząt. Lecz mówiąc prawdę, nie bałem się ich zupełnie, bo nie widziałem dotąd ani jednego.

Nazajutrz zamiast iść dalej, zacząłem się namyślać, czyby nie było lepiej przenieść się tutaj ze wszystkiemi bogactwami; ale zastanowienie, iż stąd morza wcale nie widać, nakłoniło mnie do pozostania przy moim warownym zamku. Tutaj bowiem, mieszkając nawet kilkanaście lat, nie ujrzałbym pewnie okrętu, mogącego wybawić mnie z wyspy.

Jednakże po długiej rozwadze przyszło mi na myśl zrobić tutaj letnie mieszkanie i czasami dla urozmaicenia bawić czas niejaki. Mają królowie letnie rezydencye, magnaci wille, dlaczegóżbyś ty, panie Robinzonie, jedyny władco tej pięknej wyspy, nie miał sobie założyć letniego pałacu!

Nie zwłócząc długo, wziąłem się do ścinania bambusów, a nagromadziwszy potrzebną ilość materyału, zbudowałem chatkę, podobną nieco do zagrody dla kóz zrobionej

Żerdki bambusowe wkopywałem w ziemię, o cztery cale jedna od drugiej w czworobok. Ściany przeplatałem chrustem, a dach pokryłem liściem kokosowym. Ażeby zaś kozy, albo inne zwierzęta nie dostały się do mej chaty, ogrodziłem ją parkanem z żerdek. Robota ta trwała blizko dwóch tygodni.

Wielki był czas do powrotu. Co też tam biedne moje kozy porabiają, może im siana nie starczyło i pozdychały z głodu? Myśl ta przeniknęła mnie dreszczem. Porzuciłem więc czarowną dolinę i puściłem się ku domowi. Przed odejściem jednak na wzgórzu, z którego było widać morze, ułożyłem stos kamieni, jako znak, dokąd na wycieczce zaszedłem, ażebym później mógł rozpoznać to miejsce, jeżeli z innej strony zapuszczę się na wędrówkę po wyspie.

Zaledwie wszedłem do lasu, gdy niebo zachmurzyło się i deszcz począł padać. Przez trzy godziny przeszło siedziałem we wnętrzu wypróchniałego drzewa, chroniąc się przed burzą. Ale i przez ten czas nie próżnowałem, zbierając próchno drzewa, obficie tu się znajdujące, a mogące mi posłużyć do rozniecenia ognia.

Po ustaniu deszczu, opuściwszy mą kryjówkę, znalazłem się w nader przykrem położeniu. Słońce ukryło się za chmurami, a ja zupełnie zapomniałem, w którą stronę iść należy, ani rozpoznać mogłem, skąd przyszedłem. Trzeba było puścić się na los szczęścia. Kilka godzin przeszło na daremnem

błąkaniu się po lesie, nareszcie ściemniło się ze wszystkiem i musiałem znowu na drzewie szukać noclegu.

To zaniepokoiło mnie niezmiernie, w takiej gęstwinie można i tydzień błądzić, a tymczasem w domu wszystko zmarnieje. Nakoniec przypomniałem sobie, że ktoś opowiadał mi przed laty, że drzewa w lasach zwykle z północnej strony porastają mchem. Zacząłem pilnie przypatrywać się pniom i rzeczywiście po jednej stronie obfitowały w porosty, a ponieważ zamek mój leżał na południu, należało więc iść w przeciwnym kierunku, co też uczyniłem.

Po całodziennej prawie wędrówce, rozpoczętej na drugi dzień, wyszedłem nakoniec z lasu. Niechaj się nikt nie dziwi, że pochód mój trwał tak długo, albo nie myśli, że bór był bardzo obszerny. Przeciwnie, długość odbytej drogi nie wynosiła więcej jak pięć mil, ale kto nie przebywał lasów podzwrotnikowych, ten nie ma wyobrażenia, jak mozolnym jest pochód w tych nieprzebytych zaroślach. Dlatego też szedłem bardzo powoli, z mozołem torując sobie drogę nożem, wśród liści lian i innych powojowatych roślin, zarastających na każdym kroku przejście.

Miejsce, na które wydostałem się z lasu, było wybrzeżem morskiem, wcale mi nieznanem. I tu znowu zaskoczyła mnie niewiadomość, w którą stronę obrócić kroki wypada, ażeby dostać się do domu.

Zdawało mi się z początku, że trzeba puścić się ku zachodowi, lecz ostatecznie zwróciłem się w stronę przeciwną.

Idąc w tym kierunku, napotkałem w jednem miejscu szeroko rozścielone krzaki, jak gdyby pierzem porosłe. Zbliżywszy się ku nim, ujrzałem kolczaste, zielone popękane owoce, z których wydobywał się jakiś mech biały. Natychmiast przyszła mi na myśl bawełna, której wprawdzie rosnącej nigdy nie widziałem, ale opowiadano mi, jak wygląda krzew wydający ją. Wydobyte zaś kłaczki były nadzwyczaj podobne do waty, tylko mnóstwem ziarnek zanieczyszczone. Nazbierałem ich sporo i zabrałem z sobą.

Raz jeszcze przenocowawszy na drzewie, po kilkogadzinnym pochodzie dostałem się przecież do domu. Rzuciwszy kosz z melonami i bawełną, przeskoczyłem co żywo mur zagrody, ażeby zobaczyć, co się dzieje z kozami. Biedne stworzenia na mój widok zaczęły żałośnie beczeć, jakby skarżąc się, że o nich zapomniałem. Ze stogu siana prawie nic już nie pozostało; gdybym był jeszcze parę dni zabawił, byłyby pozdychały z głodu.

Ale zadziwienie moje było niezmierne, gdy zamiast trzech kóz, które przy odejściu zostawiłem, zastałem aż pięć. Podczas mej wędrówki urodziły się dwa koźlęta, a ujrzawszy mnie, zaczęły wyprawiać pocieszne skoki. Zwiększona trzódka wymagała pieczy: przyniosłem świeżej trawy, stare kozy rzuciły

się na nią chciwie, a kozioł na podziękowanie palnął mnie porządnie rogami.

Takie zuchwalstwo poddanego nie mogło ujść bezkarnie; wykropiłem też prętem koziołka, a lekarstwo to tak posłużyło, że od tego czasu był dla mnie z największym respektem.

Ponieważ dla kóz nie mogłem zaniedbywać wycieczek, należało więc dla nich zrobić zagrodę, w której mogłyby się paść bez obawy ucieczki do lasu. Ogrodzenie to powinno było obejmować kawał łąki, zarosłej trawą i krzewami. O łąkę nie trudno, ale z czego zrobić ogrodzenie?

Zostawmy to do jutra, a tymczasem nakarmiwszy kozy, trzeba pomyśleć o posileniu siebie. Wziąłem się zatem do rozniecenia ognia i po półgodzinnem usiłowaniu buchał wesoło jasny płomień, a przy nim obracał się na drewnianym rożnie zajączek, którego zastrzeliłem po drodze. Pieczeń smakowała mi znakomicie, bo też od ośmnastu dni nic ciepłego nie jadłem, żywiąc się podczas wycieczki tylko kukurydzą i owocami.

Ogrodzenie dla kóz — opuncye — rocznica przybycia na wyspę — jak ten dzień przepędziłem — rozmyślania nad upłynionym rokiem — modlitwa.

Nazajutrz rano siedziałem parę godzin pogrążony w myślach, z czego zrobić dla mych kóz ogrodzenie. Najlepszy byłby bambus, lecz naprzód rósł bardzo daleko, a po-

wtóre nóż mój stępiał bardzo, a nie chciałem go zbyt często ostrzyć, aby się za prędko nie zużył. Wreszcie ścinanie bambusów było rzeczą mozolną; podczas budowania letniego mieszkania poodgniatałem sobie skórę na dłoni i przez parę dni cierpiałem z tego powodu.

Przeleciała mi przez głowę myśl, ażeby zrobić ogrodzenie z kamieni, lecz myśl ta była tak niedorzeczną, że ją natychmiast porzuciłem. Ogrodzenie powinno obejmować przestrzeń, przynajmniej parę morgów zajmującą. Trzeba więc było ułożyć parkan z kamieni, przynajmniej 300 sążni długi, a znoszenie i układanie takiego mnóstwa kamieni, wymagało najmniej dwóch lat pracy.

Nareszcie przyszedłem na pomysł, oszczędzający mi czasu i pracy. W pobliżu mego mieszkania rosło mnóstwo opuncyi, kolczastych roślin, dochodzących nieraz do ośmiu stóp wysokości. Roślina ta, podobna do kaktusa, mnożyła się i rosła prędko; silne kolce przez taki żywy płot nie pozwoliłyby umknąć kozom. Zamiast jednak zakładać ogrodzenie na otwartem polu, postanowiłem przeprowadzić je około skalistej ściany półkręgiem tak, żeby dwoma końcami dotykało skał.

Natychmiast zaznaczyłem kamykami okręgi i wziąłem się do poruszenia ziemi. Grunt był w tem miejscu pulchny, więc robota szła łatwo. Po skopaniu kawałka zasadza-

łem go zaraz opuncyami. Znoszenie tylko tych kolczastych roślin kosztowało mnie nie tyle trudu ile zadraśnień, bo ostre ciernie kłóły mi ręce i plecy. Aby tego uniknąć, zrobiłem rodzaj sanek z gałęzi, nakładałem na nie wykopane rośliny i przywłóczyłem do przeznaczonego miejsca. Tym sposobem codzień 6 do 8 sążni bieżących zasadzało się żywym płotem, a ponieważ tenże dwustu sążni długości nie przechodził, więc w przeciągu miesiąca skończyłem zagrodę.

Mimo to trzymałem kozy wciąż zamknięte w oborze, znosząc im trawę. Przykrzyła się ta niewola biednym zwierzętom, lecz nie mogłem ich dotąd wypuszczać, dopóki się nie przyjęły rośliny. Ma się rozumieć, że stajenka znajdowała się wewnątrz zagrodzenia.

Podczas roboty upały były tak wielkie, iż musiałem zdjąć zajęcze ubranie, a przywdziać dawne. Zresztą też i to nowe tak się podterało, że trzeba było pomyśleć o innem.

Razu jednego, licząc kreski na moim kalendarzu, narachowałem ich 365, a ponieważ rok był przestępny, zawierający 366 dni, zatem jutro wypadała rocznica przybycia mego na wyspę, czyli dzień: 23 września 1664 roku.

Postanowiłem go uroczyście obchodzić, a porzuciwszy wszelkie zatrudnienia, poświęcić go rozmyślaniu. Przysposobiłem trawy dla kóz, aby jutro i tem sobie nie rozrywać uwagi.

W jakiem uczuciu obudziłem się drugiego dnia, ten tylko pojmie, co oddalony od rodzinnej ziemi, od ukochanych rodziców i krewnych, w smutku i w samotności dni przepędza.

Od ranka nie wziąłem wcale w usta pokarmu, postanowiwszy pościć dzień cały na pamiątkę okropnych chwil rozbicia, na podziękowanie Stwórcy za cudowny ratunek. Potem udałem się do mej świątyni i tam u stóp krzyża długo, długo modliłem się ze łzami, korząc się przed Panem Wszechświata. Zalewałem się przytem łzami na wspomnienie wszystkich doznanych przygód, przedstawiając sobie przed oczyma moje dawniejsze bezbożne życie i ten ogrom łask, jakie Bóg zesłał mi na mem wygnaniu. Następnie usiadłszy na ławce kamiennej, począłem przypominać sobie wszystko co mnie spotkało od czasu, gdym opuścił dom rodzicielski.

Dostałem się do niewoli w Sale 23 września i morze wyrzuciło mnie na wyspę w tymże samym dniu. Był to więc dla mnie dzień bardzo pamiętny. Zdawało się, że przez dopuszczenie nieszczęść na mnie w dniu potajemnej ucieczki z domu kochanych rodziców, Bóg chciał mi wyraźnie okazać, iż karze mnie za nieposłuszeństwo.

W pierwszych miesiącach mego wygnania, nieraz z niecierpliwości i tęsknoty bluźniłem Stwórcy, ale jeżeli mnie jakie pomyślne spotkało zdarzenie, nie pomyślałem

wcale, aby podziękować Opatrzności za nie. Żyłem jak bydlę, nie myśląc o niczem innem, jak tylko o zaspokojeniu zwierzęcych potrzeb, a nigdy myśli me nie wzniosły się do Pana nad pany.

Tymczasem przyciśniętemu ciężką niemocą, zesłał najmiłosierniejszy Ojciec, cudowny, że tak powiem, sen, który mię nawrócił i w innego przemienił człowieka.

Dzisiaj spokojnie spoglądam na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość; dziś w każdym wypadku szukam dobrej strony i wszystko przyjmuję w pokorze, co Bóg na mnie ześle. Nie narzekam na brak rozmaitych potrzeb, do uprzyjemnienia życia niezbędnych, ale dziękuję za to, co mi Opatrzność mieć dozwoliła.

Codzień wstając i kładąc się spać, dziękuję Panu memu za moje położenie, za wytrwałość w znoszeniu niewygód i natchnienie do pokonywania rozmaitych trudności i nieraz myślę o tem, że jest bardzo wielu ludzi, którzy doświadczywszy jakiejś przeciwności, wyrzekają z płaczem: O Boże, czyż może być kto nieszczęśliwszym ode mnie! A jednakże, gdyby porównali los swój z nieszczęściami i przeciwnościami tysiąca bliźnich swoich; gdyby rozważyli, coby się działo z nimi, jeżeliby podobało się Opatrzności wtrącić ich w takie położenie, zaręczam, że przestaliby narzekać na swą niedolę, z bojaźni, aby Bóg w jeszcze gorszą ich nie wtrącił.

Życie moje, kiedym się dobrze nad niem zastanowił, nie było tak opłakanem, jakby się to niejednemu czytelnikowi wydawać mogło; czy nie zasłużyłem na daleko gorsze położenie? Wychowany w domu rodzicielskim w zasadach religii i moralności, uczony bojaźni Bożej i wypełniania obowiązków względem bliźnich, jakież prowadziłem życie, wyszedłszy w świat? Czyż żyjąc pomiędzy marynarzami, aby raz zwróciłem myśl ku Bogu? Czyż trudniąc się plantatorstwem, dziękowałem Stwórcy za urodzaje, lub o błogosławieństwo prosiłem? Czyż aby raz ukorzyłem się przed Sędzią sprawiedliwym, prosząc o przebaczenie popełnionych błędów?

Łaski, doznane od Boga niemal cudownie, jak np. ucieczka z maurytańskiej niewoli, przyjęcie przez kapitana portugalskiego, ocalenie życia, wtenczas kiedy wszyscy moi towarzysze zginęli; zresztą świetne powodzenie w pierwszej podróży do Gwinei i podobnież w Brazylii, czyż — powtarzam — te łaski wywołały z ust moich choćby te słów parę: »Dzięki Ci Boże!?« Wspominałem wprawdzie Twe święte Imię, ale tylko w strachu, gdy zagrożony utratą życia, wołałem: O mój Boże! ratuj mię!« lecz gdy niebezpieczeństwo przeminęło, ani pomyślałem, że to Bóg mię ocalił.

Od czasu mego snu i nawrócenia się, wspomnienie dawnego życia ciężyło mi okropnie i nieraz drżałem na myśl, że Bóg jeszcze bardziej ukarać mnie może. Ale gdy rozwa-

żyłem, jak Stwórca z nieograniczoną dobrocią, na którą wcale nie zasłużyłem, wspierał mnie na każdym kroku i zamiast ukarania, wciąż nowemi obdarzał łaskami: naówczas nabierałem otuchy i nadziei, że może zdołam przebłagać sprawiedliwość Boga, że może raczy przebaczyć skruszonemu sercu i serdecznemu żalowi i nie odmówi mi swego miłosierdzia.

— O Boże! — zawołałem, rozważywszy to wszystko — jakże dobrym jesteś, żeś mnie grzesznego nie tylko nie ukarał, ale ocaliwszy życie, karmisz mnie tutaj niemal tak cudownie, jak twego proroka Eliasza na pustyni żywiłeś przez kruka. Tylko cuda Twej Opatrzności utrzymują mnie przy życiu. Jestem pewny, że gdyby mnie bałwany morskie wyrzuciły na jakikolwiek ląd na całym świecie, nigdzie nie znalazłbym takiego, któryby obfitował we wszystko tak jak moja wyspa! Prawda, że jestem pozbawiony towarzystwa ludzi i żyję w samotności, ale też nie czyha na mnie żaden zwierz żarłoczny, ani węże jadowite nie goszczą w tej błogosławionej krainie. Żadna trująca roślina nie dotknęła dotąd ust moich, ani też nie napotkałem dzikich ludzi, którzyby mnie mogli okrutnie zamordować. Wszystko to przekonywa mnie o dobroci Twej i opiece, jaką mnie otaczasz! Jakże ci za to podziękować zdołam, ja nędzny człowiek, nie mając ci nic, Boże mój, ofiarować! O najłaskawszy Panie, racz przyjać łzy moje! Niech one okupia dawniejsze

błędy, a nie wypuszczaj mnie nadal z Twej ojcowskiej opieki i racz zawsze wspomagać łaską Swoją, ażebym w dobrem wytrwał i zawsze na twoje miłosierdzie zasługiwał.

Modlitwa ta napełniła mnie niewymowną słodyczą, nabrałem serca do znoszenia przeciwności i gdyby mi nawet było objawionem, że do śmierci w tej pustyni zostanę, nie sarkałbym przeciwko woli Opatrzności.

Wieczorem odchodząc od krzyża, ustrojonego w najpiękniejsze kwieciste wieńce, czułem w sercu tęsknotę, jak gdybym się z objęć rodzicielskich wydzierał. Nawróciłem raz jeszcze i klęknąwszy, modliłem się długo, nie za siebie, ale prosząc Boga o zdrowie, długie życie i pocieczenie moich osieroconych rodziców.

Tak zakończył się dzień pierwszej mojej rocznicy mego wygnania.

XXIV.

Zima — uporządkowanie mieszkania — dwa ubrania — rozprzestrzenienie jaskini — lampa — wata — olej z orzechów kokosowych — stół i krzesła.

W połowie października rozpoczęła się na dobre pora dżdżysta, a z nią bardzo przykre chwile, bo nieraz po całych dniach musiałem siedzieć w domu. Przytem znowu, jak w przeszłym roku, pojawiły się chmury moskitów. Przez niejaki czas nie mogłem sobie z nimi dać rady, lecz raz gotując obiad, spostrzegłem, że uciekają od dymu. Ucieszony tem odkryciem, przeniosłem kuchnię

do wnętrza jaskini, czego nawet wymagała potrzeba, gdyż chociaż dawna znajdowała się pod wystającą skałą, ale i tak często ją deszcz zalewał.

— Poczekajcie, nieproszeni goście — zawołałem rozpalając ogień — ja was tu zaraz nauczę, co to jest cisnąć się tam gdzie kogo nie lubią. Wnet dym napełnił wnętrze groty, a szanowne zgromadzenie wyniosło się z pośpiechem. Odtąd po całych dniach tlił się ogień, a chociaż dym nieraz porządnie gryzł mnie w oczy, wolałem znosić tę niedogodność, aniżeli narażać się na ostre ukłócia tych skrzydlatych pijawek.

Pomimo przymusowego siedzenia w domu, nie brakło mi wcale na robocie i nie doświadczałem nudów. Czasami, gdy deszcz przestał ppadać, wybiegłem zastrzelić zająca lub taka, bo o kozach, przebywających daleko od mieszkania, nie można było myśleć. Zbierałem też banany i kukurydzę, a w jednej z takich wycieczek odkryłem nową użyteczną roślinę, to jest ignamy, które smakowały mi podobnie do kartofli i bardzo i urozmaicały zastawę stołu.

Jedna tylko rzecz wielce mi dokuczała, a mianowicie brak suchego drzewa. Nie zaopatrzyłem się w nie podczas lata, a teraz ani o tem myśleć nie było można. Chociaż bowiem czasem dzień lub dwa słońce świeciło, to wszystko w lesie było tak przejęte wilgocią, iż na przypadek zagaśnięcia ognia, nie byłbym go w stanie rozniecić. Pilnie

więc utrzymywałem ognisko, dokładając na noc gałęzi, a z rana rozdmuchując troskliwie tlejące się węgle.

Korzystając z pory zimowej, umyśliłem załatwić się z kilku ważnemi robotami, ażeby, gdy nadejdzie lato, mieć więcej czasu do wycieczek i polowania. Robotami temi było przysposobienie sukien, uporządkowanie mieszkania i zrobienie sieci.

Miałem kilka skór kozich i kilkanaście zajęczych, było więc dosyć na dwa garnitury. Dwóch też koniecznie potrzebowałem: jednego lżejszego na lato, drugiego zaś dogodnego na porę deszczową.

— Jaki z ciebie elegant, panie Kruzoe — mówiłem, uśmiechając się, — przed półrokiem jeszcze chodziłeś obtargany jak żebrak, teraz już ci się zachciewa dwóch garniturów. Niedługo może będziesz potrzebował karety i cugowych koni. Możesz sobie jednak pozwolić zbytkownego ubrania, boś na nie zapracował.

Pokrajałem suknie na wzór dawniejszych, a naprzód z odpadków pozostałych zrobiłem wysoką śpiczastą czapkę, włosem na wierzch obróconą, ażeby osłaniała mię od deszczu. Potem uszyłem krótki kaftan, spodnie do kolan i kamasze. Wszystko to było krajane obszernie, aby nie przylegało do ciała, gdyż w takim gorącym klimacie pociłem się nieznośnie.

Po ukończeniu pierwszego garnituru, zrobiłem drugi, lżejszy, także obrócony wło-

sem do góry, a uszyty z samych zajęczych skórek. Obadwa wyglądały arcykomicznie, ale z tem wszystkiem były bardzo dogodne, bo gdym pierwszy raz ubrał się w kostyum kozi i wybiegł na deszcz, ani kropelka wody nie dostała się do skóry.

Następnie zabrałem się do rozprzestrzenienia jaskini. Dzida i motyka były jedynemi narzędziami, jakie do tej pracy posiadałem. Wkrótce pomnożyło je trzecie: zna lazłszy nad morzem dużą muszlę, szeroką i dość płaską, sporządziłem z niej rodzaj jakiej takiej łopaty, służącej do nakładania ziemi. Wynosiłem ją w koszu plecnym, wysypując wzdłuż muru od środka.

Praca ta była jednak bardzo męczącą i dlatego tylko z rana, mając świeże po wyspaniu się siły, zajmowałem się kopaniem, całe zaś popołudnie obracałem na robienie sieci. Włókna leżały jeszcze przysposobione od wiosny, ale robota szła nadzwyczaj trudno. Wiązanie było bardzo mozolnem, a co chwila włókna się plątały, co mnie tak niecierpliwiło, że nieraz chciałem wyrzec się jej posiadania.

— Zrażasz się taką drobnostką — mówił mi głos wewnętrzny, — a gdzie wytrwałość i cierpliwość!

— Ależ bo to robota nieznośna — odpowiadałem sam sobie.

— A rybki czy smaczne?

— Bez wątpienia, lecz można się bez nich obejść.

— To prawda, ale bardzo niepięknie zaczynać jaką robotę, a niedokończyć z lenistwa.

— Nie wiem, czy to można nazwać lenistwem, jeżeli się komu nie darzy. Wszak już wiele równie trudnych dokonałeś rzeczy, dołóż tylko pilności, a zobaczysz, że siatka się uda!

Przekonawszy tak sam siebie, brałem się na nowo do pracy, lecz wieczór wcześnie zapadający nie dozwalał mi długo pracować, a robota szła wolno. Przy blasku ogniska robić nie mogłem, bo płomień był ciemny i migotliwy.

— Aj, aj Robinzonku — zawołałem raz, uderzając się w czoło — jakiż z wasindzieja mazgaj: masz glinę, ogień i tłuszcz kozi, a nie pomyślałeś dotąd jeszcze wcale o zrobieniu lampy. Widocznie się starzejesz i zaczyna ci sprytu i pomysłów brakować.

Dalej więc po glinę, i nuż ją ugniatać, a potem formować z niej lampkę. — Hm, jaki jej tu kształt nadać, jak i gdzie knot umieścić, żeby się dobrze palił? Nareszcie zrobiłem miseczkę objętości kwaterki, mającą z jednej strony dziobek do umieszczenia knota, z drugiej uszko. Wypaliłem ją dobrze, a potem pomazałem gęstym rozczynem soli kuchennej i znowu włożyłem w ogień. Polewa udała się przepysznie, a lampka była dość zgrabna.

Teraz szło jeszcze o knot. Chciałem go zrobić z rękawa starej koszuli, lecz płótno

nie dało się dobrze skręcić, a mogło przydać się na co innego. Chodziłem więc po jaskini, szukając czegoś na knot stosowniejszego; wtem ujrzałem mech bawełniany, przyniesiony z ostatnej wycieczki. Przewyborna rzecz, trzeba tylko wprzód oczyścić bawełnę z ziarnek, których miała mnóstwo. Położyłem ją na płaskim kamieniu, a potem bijąc kijem, oddzieliłem ziarna od puchu. Mimo to nie dała się skręcić; ha, trzeba ją zgręplować — pomyślałem – i natychmiast wziąłem się do wykonania tego zamiaru.

Ciekawym jesteś zapewne, młody czytelniku, gdz e się nauczyłem gręplowania waty. Otóż powiem ci pod sekretem, że kiedy byłem w twoim wieku, to jest gdy miałem około dziesięciu lat, w podwórzu naszego domu mieszkała stara Alicya, waciarka. Skoro tylko upatrzyłem chwilę wolnego czasu, biegłem natychmiast do staruszki i nieraz tak zagapiłem się patrząc na jej robotę, że mnie ojciec ztamtąd za ucho wyciągał, pędząc do nauki.

Owa Alicya miała sprzęt podobny do arfy, tylko daleko węższy i o jednej grubej, kiszkowatej strunie. Umieściwszy go na stole, nakładała nań surowej bawełny a potem brzdąkała palcem po strunie, która ją wybornie roztrzepywała. Z niej to później układała arkusze, smarowała po obydwóch stronach białkiem od jaja, z czego powstała wata.

Ani myślałem wówczas, że przypatrywanie się tej robocie kiedyś mi się przyda. Nie miałem wprawdzie arfy, ale były gałęzie i struny, a z tego można było sporządzić gręplarkę. W pół godziny była gotowa. Zamiast na stole, rozłożyłem bawełnę na dużej płycie i zacząłem trącać w strunę.

Zaledwie jednak trąciłem kilka razy, kiedy ten znany szelest żywo mi przypomniał szczęśliwe chwile dzieciństwa. I ja, teraz mężczyzna dwudziesto-sześcio letni, rozpłakałem się jak dziecko. Długo... długo nie mogłem się utulić, dom rodzicielski stanął mi w oczach. O Boże, jakże te szczęśliwe dni prędko minęły!...

O młody mój przyjacielu, gdy czytasz te słowa, jesteś jeszcze szczęśliwym, jak ja nim niegdyś byłem; używasz na łonie drogich rodziców błogich chwil spokoju, jakiego w późniejszym czasie nigdy nie zaznasz. Szanujże je, ciesz się każdą godzinką i zachowaj w serduszku, a gdy przyjdziesz do lat moich, wspomniawszy o nich, zawołasz mimowoli: »Świętą prawdę mówił Robinzon, jakże prędko minęły te dnie szczęśliwe!...

Ale wróćmy teraz znów do lampy. Z ugręplowanej waty ukręciłem knot, pozostało więc jeszcze tylko postarać się o tłuszcz. Nie myśląc, że go kiedyś będę potrzebował, rzucałem na bok kawałki koziego łoju, jako bardzo nieprzyjemne w jedzeniu. Jakże mi go teraz żal było! Wynalazłem wprawdzie

w pobliżu dawnej kuchni nieco odpadków, ale były już nieświeże, trzeba je więc było przetopić.

I oto nowa robota, musiałem zrobić płaską rynkę do wytapiania łoju, opatrzyć polewą, a potem dopiero zająć się tłuszczem. Wypalenie wymagało całego dnia; dwie rynki pękły, a trzecia dosyć mi się udała.

Trzeba było widzieć, z jakiem zadowoleniem zasiadłem wieczorem przy mojej lampce, wiążąc do późna sieć. Ale radość ta nie długo trwała, bo już po czterech dniach skończył się mój zapas tłuszczu.

A więc cztery dni tylko miałem światło. Trudno, trzeba się tem cieszyć co jest, ale za to, jeżeli — Boże broń! — zostanę na drugą zimę na wyspie, to niezawodnie przysposobię zawczasu większy zapas drzewa i tłuszczu, ażebym nie potrzebował tak jak w tym roku biedować.

Po niejakim czasie umyśliłem wybrać się naumyślnie przy pierwszym lepszym pogodnym dniu na orzechy kokosowe, dla spróbowania, czy mi się nie uda z nich wycisnąć oleju. Jakoż w tydzień potem wziąwszy kosz, poszedem do miejsca gdzie rosły obficie. Aby jednak darmo nie dźwigać skorup, rozbijałem je na miejscu, przyczem wypiłem dużo mleka z owych orzechów.

To mi zaszkodziło. Za powrotem do domu dostałem dreszczów i bólu głowy. Przeraziło mnie to bardzo. Myślałem, że fe-

bra znowu się wraca, rozpaliłem więc ogień i ugotowałem rosołu, a wypiwszy gorący, okryłem się dobrze i zapociłem. Szczęściem skończyło się na strachu; widać, że zbytnie użycie mleka kokosowego, a może też wilgoć w lesie przyprawiła mnie o tę słabość, postanowiłem więc odtąd unikać jej jak ognia.

Drugiego dnia rano zabrałem się do fabrykowania oleju: na gładkim kamieniu tłukłem najprzód ziarna kokosowe na miazgę, ogrzewałem potem w rynce przy ogniu, mieszając, aby się nie przypalił. Nareszcie umieściwszy w woreczku od zboża i zawiązawszy go sznurkiem, wygniatałem tłuszcz pomiędzy dwoma rozgrzanemi kamieniami.

Tym sposobem otrzymałem przeszło pół kwarty tłuszczu, nieco wsiąkło w worek, a trochę się rozlało. Tak znowu mogłem przez cztery dni cieszyć się światłem mojej lampy.

Z tem wszystkiem siedzenie na ziemi, było mi nieznośnem; brak stołu i krzesła wciąż uczuć się dawał, a nie wiedziałem, jak mu zaradzić. O nogi już mniejsza, bo te można było zrobić z gałęzi, ale skąd wziąć deski, wszakże jej nożem nie wystrugam.

A gdybyś uplótł sobie płyty na stół i krzesło z pręcia, koszykarską robotą?

Pomysł był wcale nie zły, trzeba go tylko wykonać. Natychmiast naciąłem gałązek z dzrzewa, nieco do wierzby podobnego, zacząłem pleść, a po kilku próbach udało się skleić upragnioną płytę, wkopawszy

cztery gałęzie równej wysokości w ziemię, umieściłem na płytę i przymocowałem ją spodem włóknem bananowem.

Teraz należało zrobić stołek przenośny. Namęczyłem się nad nim krwawo, nie umie-



jąc sobie zaradzić. Nareszcie wybrawszy cztery równe paliki, powiązałem poprzeczkami z gałęzi u góry i dołu; tak powstało rusztowanie, na którem położyłem płytę.

Mając stół i krzesło, mogłem zasiąść sobie po europejsku przy lampie do wieczerzy i w istocie nie podobna wypowiedzieć, z jakiem zadowoleniem to zrobiłem!

XXV.

Wiosna — wycieczka do letniego mieszkania — uprawa roli — pułapka na kozy — przestrach — ucieczka — nocleg na drzewie — powrót do domu.

Zaledwie słoty minęły, a już wyspa przybrała się w szatę prześlicznej zieloności, lasy okryły się świeżym liściem, łąki świeżemi trawami, powietrze nabrało balsamicznego zapachu, wezbrane strumienie powróciły do swych łożysk, a roje ptactwa znowu napełniły bór wesołym gwarem. I mnie też tęsknota opuściła, a na widok odradzającej się wiosny i dusza odżyła i nadzieja wstąpiła w serce.

Gospodarz, rolnik, posiadacz tak znakomitych obszarów ziemi, nie mógł gnuśnieć w bezczynności, trzeba było pomyśleć o wysianiu... trzech kwaterek jęczmienia. To przecież nie żarty, grunt pod niego uprawić!

Zabrawszy więc motykę, łopatę, łuk i strzały, wpakowawszy kosz na plecy, osłonięty parasolem, wyelegantowany w letni ubiór, puściłem się w drogę do owej pięknej doliny, przed zimą odkrytej. Rozważywszy dobrze jej położenie, udałem się drogą daleko bliższą wprost przez las.

Zapomniałem powiedzieć, że w ciągu zimy, a osobliwie też przy jej schyłku, zupełnie mięsa mi brakowało. Zające gdzieś się pokryły, o kozach ani słychu. ptaki wyniosły się w inne strony, jednem

słowem odbyłem bardzo ścisły post i wyglądałem jak niedźwiedź na wiosnę. Wkońcu żyłem tylko gotowaną kukurydzą, której miałem spory zapas, i mlekiem. Kozy mało go dawały, nie mając dostatecznej paszy, a i tą trochą musiałem dzielić się z koźlętami. Otóż na drugą zimę postanowiłem przygotować zapas solonego mięsa, powiększyć moją trzódkę, aby można z niej czasem wybrać na rzeź koźlątko, a nareszcie postarać się o zapas tłuszczu.

Po trzygodzinnej wędrówce przybyłem na miejsce przeznaczenia. Nic się nie zmieniło od czasu ostatniego mego tutaj pobytu, tylko na dachu chatki liście pogniły, ale zaraz zastąpiłem je świeżymi i miałem przewyborne letnie mieszkanie.

Całe południe poświęciłem próżniactwu. Jutro — myślałem sobie — wezmę się do pracy, a dziś trzeba użyć wiosny. I jak piętnastoletni chłopiec, uganiałem się za motylami, zrywałem kwiaty, plotłem wieńce i nareszcie użyłem kąpieli w czystej jak kryształ rzece, która mi posłużyła doskonale. Skóra, oczyszczona z zimowych wyziewów, stała się giętką, a i członki nabrały dziwnej giętkości.

Przepędziwszy przyjemnie noc w moim pałacyku, wziąłem się na drugi dzień do uprawy roli. Zdawało się, że to będzie łatwa robota, a tymczasem trzeba było nad nią dobrze się napocić. Najprzód należało

ściąć trawę, korzenie jej powydobywać, ażeby chwast zasiewu nie głuszył, a dopiero potem ryć ziemię. W ten sposób pracując, w dwóch dniach oczyściłem kilkanaście sążni przepysznego czarnego gruntu, zasiałem a raczej zasadziłem w nim jęczmień, robiąc co trzy cale dołek i kładąc weń ziarnka, poczem zarównywałem wszystko z lekka przydeptując.

Ponieważ jeszcze spory kawałek ziemi wolnej pozostał, przeto zasadziłem na nim kilkanaście rozsadek melona i to w dołkach, umyślnie nieco głębiej dla utrzymania wilgoci i ochrony od wiatru wykopanych. Ukończywszy te roboty, ogrodziłem owe pólko płotkiem z żerdek bambusowych, powtykanych na krzyż w ziemię, ażeby zające albo kozy zasiewu nie zniszczyły.

Nad wieczorem poszedłem ku blizkim skalistym wzgórzom, chcąc obejrzeć znak przed zimą zrobiony, ale inna okoliczność całkiem zajęła mą uwagę. Pomiędzy skałami a wąwozem wiła się drożyna, jakby wydeptana. Przyglądając się uważnie tej ścieżce, dostrzegłem liczne ślady kóz; widać więc, że tędy przechodziły na sąsiednią dolinę.

Widko tych tropów naprowadził mię na myśl urządzenia pułapki: miałem wprawdzie w domu cztery kozy i kozła, ale w czasie zimowym brak mięsa dotkliwie uczuwać się dawał. Pierzchliwe te zwierzęta były bardzo trudne do podejścia; nieraz chcąc je zastrze-

lić, musiałem pełznąć ku nim na brzuchu, kryjąc się za krzakami i to pod wiatr, bo poczuwszy mnie węchem z daleka, natychmiast uciekały. O schwytaniu zaś żywcem niepodobna było marzyć. Raz tylko puściłem się za jedną, lecz mimo wysilenia, nie mogłem jej doścignąć. Dawno już więc rozmyślałem nad urządzeniem pułapki, ale trudno mi było coś stosownego wymyśleć.

Dzisiaj spostrzegłszy wązką ścieżkę między skalistemi ścianami, znalazłem bardzo dogodne na ten cel miejsce, trzeba było tylko dość głęboki dół wykopać, przykryć go gałęziami dla niepoznaki i tym sposobem kozy chwytać. Ile się nameczyłem, aby tego dokonać, nikt nie uwierzy. Grunt to był twardy i kamienisty, a ja żadnych do kopania nie posiadałem narzędzi, ale praca i wytrwałość zwalczy największe przeszkody. Kilkakrotnie rozpoczynałem i porzucałem znowu kopanie; nareszcie po pięciu dniach niewypowiedzianych trudów zrobiłem dół przeszło na sążeń głęboki, a do dwóch łokci średnicy mający. Zagłębieniu temu dałem szerokość większą od dołu jak od góry, ażeby kozy wyskakiwać z niego nie mogły. Na wierzchu ułożyłem cieniutkie pręciki bambusowe na krzyż, tak aby tylko znieść mogły ciężar trawy, pokrywającej te gałązki.

Cztery dni przeszły w daremnem oczekiwaniu, nareszcie piątej nocy znalazłem młodą kózkę w dole. Spuściłem się na dno i

powiązawszy jej nogi, z trudnością wywindowałem na wierzch moją zdobycz. Koza była nadzwyczaj trwożliwa, drżała mi w ręku. Zaniosłem ją do chatki i za ogrodzenie wpuściłem. Przez dwa dni nie dostała nic jeść, trzeciego złagodniała wskutek postu i jadła z ochotą trawę, podaną jej ręką.

W ten sposób w ciągu tygodnia złapałem jeszcze dwie kozy i koźlątko, w parę dni zaś potem wpadł duży i stary kozieł do pułapki. Obawiałem się zleść do niego do dołu, bo rył ziemię racicami i groźnie łbem wstrząsał, spoglądając na mnie. Z chęcią wyrzekłbym się tej zdobyczy, lecz jak ją wypuścić z więzienia. Wreszcie spuściłem nogi, chcąc zleść, ale kozieł skoczył ku mnie z nadstawionymi rogami, tak iż tylko przez prędkie cofnięcie się uniknąłem uderzenia.

W tem przyszło mi do głowy, ażeby go głodem ukorzyć. Przez trzy dni zostawiłem mego panicza w dole, czwartego z rana leżał osowiały na ziemi, porzuciwszy nieprzyjacielskie zamysły. Dał się związać, nie robiąc najmniejszego oporu, ale był tak ciężki, że go ledwie do zagrody zawlokłem i przywiązałem przy innych kozach.

Miałem więc teraz trzódkę, z dziesięciu kóz złożoną, licząc pozostałe w domu; należało ją tylko przetransportować do zamku, dokąd nazajutrz umyśliłem wrócić.

Powiązawszy kozy za rogi i trzymając w ręku sznur, poganiałem prętem mą trzódkę, która szła dosyć powolnie. Przebywszy do-

linę, na krańcu lasu rozłożyłem się na południowy wypoczynek, lecz pędzenie i zaganianie kóz tak mnie męczyło, że nie mając zresztą potrzeby tak bardzo śpieszyć się do domu, postanowiłem tu noc przepędzić. Przywiązałem więc kozy do drzew, a sam zająłem się szukaniem żywności.

Były wprawdzie rośliny bananowe w pobliżu, lecz chciałem uraczyć się kawałkiem mięsa i ostrygami, dlatego puściłem się przez blizkie pagórki nad brzeg morza; dostawszy się na szczyt, ujrzałem go wprawdzie, lecz w odległości trzech ćwierci mili. Mimo nużącego upału odważyłem się na odbycie tej drogi, tem bardziej, że nęciła mnie dawno nieużywana kąpiel morska. Jakoż przyszedłszy nad brzeg, znalazłem dość ostryg i orzeźwiłem się niemi, ale przez całą drogę ani zająca, ani ptaków nie spostrzegłem.

Po kąpieli i odpoczynku należało wrócić do kóz, lecz chęć dostania mięsa kusiła mnie, aby tu zabawić do wieczora i doczekać się nocnych wycieczek szyldkretów na ląd. Wszak kozy mają dość trawy i wodę tuż przy sobie, zwierząt drapieżnych na wyspie nie ma, a więc im się nic złego stać nie może, choćby im tutaj przyszło przenocować.

Wieczór był prześliczny, zaraz po zachodzie zajaśniały miliony gwiazd na niebie. Kto nie był w krajach podzwrotnikowych, wyobrażenia mieć nie może o świetności tamtejszego nieba: zdaje się, że iskrzące dyamenty pokrywają przecudny szafir, a

gwiazd nierównie więcej w tem przejrzystem powietrzu dostrzedz można aniżeli na naszym smutnym i bladym widnokręgu.

Leżąc na wznak i wpatrując się w niebo, czekałem, rychło żółwie zaczną z morza wyłazić dla obejrzenia gwiazd swoich. Lecz nagle jakiś czerwony blask okrył zachodnią część nieba. Zerwałem się przestraszony: byłżeby to blask księżyca? Nie, to wyraźnie łuna. Czy wiatry zagnały jaki palący się okręt na zachodni brzeg wyspy?... I to nie, bo łuna była zanadto wielką, aby ją mógł wydać palący się statek.

Przestrach ogarnął mnie niezmierny. Miałżeby się las zapalić na wyspie, lecz z czego? Wszak burzy nie było wcale, a tylko piorun mógł rozniecić pożar. Byliżby to ludzie?... Tysiące myśli przeciwnych i krzyżujących się z sobą, przejęło mnie niewypowiedzianą trwogą. Z szybkością wiatru puściłem się ku miejscu, gdzie zostawiłem kozy, lecz potem strach wybił mi nawet z myśli mą trzódkę. — Co mi po wszystkiem — szeptałem drżącemi usty, — jeżeli jaki nieprzyjaciel najechał wyspę i podpalił lasy? Trzeba co żywo umykać do domu.

I biegłem wciąż, dopóki zmęczenie zupełnie mi sił nie odjęło. Padłem wreszcie znużony na ziemię, serce biło mi gwałtownie, a szybki oddech, zdawało się, że mi pierś rozsadzi. Złapałem też parę guzów na czole, rozbijając się w ciemności o drzewa, a raz wpadłem po pas w wodę, gdyż natrafiłem

niespodzianie na głęboki potok. Po chwili przyszedłem nieco do siebie. Łuny, zakrytej sklepistym lasem, nie było już widać. Zacząłem wtedy nieco zimniej rozważać moje położenie.

— Głupcze — zawołałem wreszcie sam do siebie — i pocóż uciekasz? czy cię kto goni? czyś widział nieprzyjaciela? Czy zresztą nie pamiętasz, że Opatrzność czuwa nad tobą, a bez Jej woli włos z głowy ci nie spadnie? Dlaczegóż nie polecisz się opiece Boskiej i nie wracasz spokojnie do domu? Strach to najgorszy doradca! Zamącony nim umysł nie zdoła przedsięwziąść odpowiednich środków ostróżności, tylko pędzi na oślep w manowce, nie wiedząc sam co robi. Rozważ wszystko dobrze: wszak ogień mógł powstać w trawach skutkiem ciągłych upałów, gdzie lada iskra może wzniecić pożar.

— To prawda — odpowiedziałem — ale skądże się ta iskra wzięła?

Ale porzuciwszy na chwilę trapiące myśli, ukląkłem i zacząłem się modlić. To mnie pokrzepiło i wlało męstwo w serce. Uspokojony wdrapałem się na drzewo i przepędziłem na niem tę noc okropną.

Na drugi dzień obudziwszy się, spostrzegłem, że jestem w jakiejś nieznanej okolicy lasu. Napróżno usiłowałem sobie przypomnieć jakie drzewo znajome, pamiętałem tylko, że wczoraj biegłem ku wschodowi;

chcąc więc dostać się napowrót w miejsce znajome, trzeba było kierować się na zachód. Mimo śpiesznego pochodu, dopiero w trzy godziny ujrzałem wzgórza wczoraj opuszczone. Przestrzeń tę przebyłem w nocy w godzinie, ale bo też strach dodawał mi skrzydeł. Napróżno upatrywałem z najwyższego pagórka śladów pożaru, nic nie było widać, zapuszczać się zaś bliżej do wyśledzenia przyczyny, nie miałem odwagi. Trzeba było dla kóz powrócić. Znalazłem je na wczorajszem stanowisku, ale kozioł zerwał się i uciekł, znać go pożar wystraszył jak i mnie. Zabrawszy pozostałą trzódkę, ruszyłem przez las ku mojemu zamkowi, gdzie też szczęśliwie przed zapadnięciem nocy przybyłem.

XXVI.

Przygotowania na zimę — rozmaite zapasy — masło i sery — druga rocznica — pory roku na wyspie — uwagi.

Po szesnastodniowej nieobecności, zastałem w domu wszystko w należytym porządku, koźlęta podrosły, a kozy dawały sporo mleka. Wnet poznały się i zaprzyjaźniły z nowemi swemi towarzyszkami, a nikt nie uwierzy, z jaką przyjemnością przypatrywałem się mojej licznej trzodzie.

Najpierwszą pracą po powrocie było powiększenie i wyprzątnienie do reszty jaskini, która była skutkiem trzęsienia ziemi zawa-

loną. Kopiąc w jednem miejscu, gdzie zamiast opoki był grunt ziemisty, odrywałem z łatwością spore bryły i zapuszczałem się coraz dalej, tworząc jakby rodzaj podziemnego korytarza. Mógł on mi być bardzo pożytecznym na skład różnych narzędzi, dlatego nie ustawałem w pracy, obierając ziemię aż do czystego kamienia. Nakoniec raz za silniejszem uderzeniem dzidy posypała się



ziemia, błysło światło i ujrzałem, żem przekopał grotę na wylot.

— To wcale nie mądrze Robinzonie — rzekłem z niezadowoleniem, - miałeś grotę

bezpieczną, a teraz bez najmniejszej potrzeby zrobiłeś drugie wyjście, ułatwiając przystęp nieprzyjacielowi.

— Ba, to rzecz najmniejsza, wszak nieprzyjaciół na wyspie nie ma.

Ach ta łuna sypiać mi nie dawała. Aż dotąd byłem tak spokojny, tak szczęśliwy, a teraz za najmniejszym szelestem zrywałem się przestraszony... Żyć w ciągłej trwodze, to rzecz bardzo nieprzyjemna. Wprawdzie miałem ufność w opiece Boskiej, ale jak to mówią: strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc też założyłem otwór, jak mogłem, napowrót kamieniami.

Ponieważ opuncye nie mogły rozrość się tak prędko a przywiązane do drzew kozy jakoś mi smutniały, utraciwszy nagle swą wolność, przeto zamierzyłem zrobić dla nich tymczasowe ogrodzenie z bambusowych tyczek. Nowa wycieczka po nie do letniego mieszkania pocieszyła moje serce, gdy jęczmień zazielenił się ładnie, a melony przyjęły. Z powrotem nazbierałem do plecnego kosza dużo kukurydzy, zamierzając często chodzić po nią, aby uzbierać dostateczny zapas na zimę.

Szło tylko o to, w czem ją przechować w czasie pory deszczowej; w jaskini było dość wilgotno i ziarno mogło uledz zepsuciu. Wyrobiłem więc kilka wielkich naczyń glinianych w kształcie wiader i wysuszyłem je na słońcu. Po wypaleniu pokazało się, że

lubo są niezgrabne, ale mocne. Dorobiłem do nich pokrywy.

Zbieraną kukurydzę, wykruszoną z kolb a wysuszoną dobrze na słońcu, zachowywałem w naczyniach w korytarzu groty. Podczas tych zatrudnień wychodziłem często na polowanie, tak dla uzyskania żywności, jakoteż dla przysposobienia na zimę zapasu mięsa, skór i tłuszczu. Łowy nie bywały osobliwe, najczęściej strzelałem ptaki, mniej zajęcy, a najmniej kóz, bo chcąc na nie polować, trzeba było zawsze cały dzień odłożyć, a mimo to nieraz wracało się z próżnemi rękami. Zabiwszy kozę, oddzielałem najtroskliwiej najmniejszy kawałek łoju, a wytopiwszy go, zlewałem do naczynia glinianego. Z zajęcy daleko mniej bywało. Ani jednego ani drugiego tłuszczu nie mogłem używać na okrasę, bo miały woń nieprzyjemną, a nawet odrażającą.

Jednego dnia przyszło mi na myśl spróbować, czy nie potrafię zrobić masła. Kozy dawały tak dużo mleka, że nieraz psuło się. O maślnicy z drzewa marzyć nie było można, ale za to zrobiłem ją z gliny. Bijak należało z drzewa wyciąć, lecz nie miałem na to deszczki. Wyrobiłem ją z kory twardego drzewa, powycinawszy nożem otwory i umocowawszy w środku kijek bambusowy. Następnie przez parę dni zbierałem śmietankę, a gdy jej miałem sporo, przystąpiłem do roboty, która nadspodziewanie się udała. Otrzymałem dość dużą bryłę masła. Smak

jednak miało nieprzyjemny, oddający się wonią kozią, ale po przetopieniu znacznie się polepszyło, nie różniąc się wiele od krowiego.

Od tego czasu często robiłem masło, płucząc je starannie i soląc, a potem przetapiając do kuchennego użytku. Z pozostałego mleka kwaśnego, po zagotowaniu tworzył się twaróg; nie było go czem wycisnąć na ser i zmarnował się w części.

Trzeba mi koniecznie płótna, ale skąd go wziąść. Nakoniec zrobiłem rodzej tkaniny z włókien bananowych; niewielki ten płat kosztował mnie kilka dni mozolnej pracy, ho nie mając wyobrażenia o warsztacie tkackim, przekładałem pojedyńcze sznurki osnowy poprzecznym szpagatem. Plątało się to często, ale przecież wkońcu był worek jaki taki do wyciskania sera.

Od czasu do czasu zebrawszy nieco mleka, robiłem ser, ale mimo wielkiej chęci, spróbowałem tylko raz mały kawałek, a resztę suszyłem i chowałem na zapas zimowy.

Oprócz tego niemało czasu zajmowało mi przygotowanie drzewa opałowego, którego brak w zeszłym roku tak mi dotkliwie uczuć się dawał. Burze jesienne nałamały w lesie mnóstwo drzew, gdybym miał siekierę, zbiór byłby łatwy, ale w braku wszelkich narzędzi musiałem je wyłamywać, dopomagając sobie w tej pracy biednym wysłużonym nożem. Uzbierało się jednak

sporo suszu; znosiłem go w powrozie na plecach i układałem pod sklepieniem jaskini jakby ściankę, mogącą mnie zasłaniać od wiatru.

Zbyteczne znów kozie mięso soliłem w wielkich garnkach, trzymając w piwnicy; lecz i tę musiałem jeszcze o parę łokci pogłębić, bo gorąco mimo przykrycia starannego wielką kupą gałęzi, przeciskało się i raz kilkadziesiąt funtów napsutego mięsa wyrzucić musiałem.

Na tych robotach zeszło lato; czas było pomyśleć o żniwie. Wybrałem się na folwark (tak bowiem nazywałem moje letnie mieszkanie). Zboże dostało już zupełnie. Zebrałem pięć sporych snopów jęczmienia; melonów było przeszło sto, mogłem się nimi raczyć do woli, ale wnet pokazała się niepraktyczność uprawiania ich w tem miejscu. Nie mogłem zabrać więcej na raz do kosza jak pięć, a zatem na samo przenoszenie potrzeba było dwadzieścia dni czasu, licząc dwa na każde przejście tam i napowrót.

Na przyszły rok, da Bóg doczekać, urządzę sobie ogródek przy jaskini, a tymczasem trzeba się bez nich obejść; że też to dawniej tego nie przewidziałem. I zostały się na pastwę ptakom, bo zabrałem ich tylko dziesięć w czasie przenoszenia zboża z folwarku do zamku w dwóch wycieczkach w tym celu zrobionych.

Związawszy dwa kije w kształcie cepów, zacząłem młócić zboże, ale pozostawało go

jeszcze bardzo wiele w kłosach. Ponieważ zbiór nie był tak wielkim, można więc było wykruszyć kłosy w ręku, co też i zrobiłem. Według przypuszczeń moich mogło być ziarna przeszło dziewięć kwart; zachowałem je troskliwie do przyszłorocznego wysiewu.

Nareszcie widząc, że lada dzień nadejdzie pora deszczów, gdyż już kiedy niekiedy przechodziły, zabrałem się do zaopatrzenia mieszkania. Część jaskini zagrodziłem od pola tyczkami bambusowemi, pozawieszawszy na nich liście kokosowe jak firanki. Następnie zrobiłem rusztowanie z powiązanych lasek bambusowych, podobne do tego, jak przy stołku; podawałem kilkanaście poprzeczek; a na nie nasłałem słomy, na wierzch zaś delikatnego mchu. Wszystko to przykryłem pozszywanemi skórami zajęcy. Z kozich skór zrobiło się kołdrę i poduszkę mchem wypchaną, a tak miałem królewskie posłanie i pierwszy raz od przybycia na wyspę — łóżko.

Nadeszła też i druga rocznica przybycia mego na wyspę. Spędziłem ją na poście, rozpamiętywaniu i modlitwach. Smutny to bywał dzień dla mnie: przez cały rok zatrudniony robotą, przelotnie tylko czasami myślałem o mojem położeniu, ale w ten dzień, poświęcony Bogu i wspomnieniom, całe moje położenie i przeszłość w żywych obrazach malowały się w mej wyobraźni. — O mój Boże! już od dwóch lat nie słyszałem ludzkiej

mowy, od siedmiu nie widziałem drogich rodziców, czy też jeszcze żyją?...

Wnet zawyły wściekłe uragany; pora ta roku była dla mnie najnieznośniejszą. Deszcze lały jak z kadzi, nieraz po całych dniach. Pioruny biły tak gęsto i silnie, że burze europejskie można uważać za dziecinną igraszkę w porównaniu do nawałnic antylskich. Za lada wstrząśnieniem wiatru, przychodziło mi na pamięć trzęsienie ziemi i nieraz w nocy uciekałem do stajenki, lękając się zburzenia jaskini. Gwałtowności wichru niepodobno opisać, dość powiedzieć, że niekiedy wyrywał drzewa z korzeniami, a raz zerwał dach z mej stajenki i z wielką trudnością zdołałem ją naprawić.

Październik i listopad były najburzliwsze miesiące z całego roku. W połowie grudnia zaczynało się wypogadzać, a około nowego roku ustalał się czas piękny. W pierwszym tylko roku mego pobytu, słota przeciągnęła się do połowy stycznia. W maju zwykle przez parę tygodni przechodziły rzęsiste deszcze, a z resztą przez cały rok ani chmurki na niebie.

Przez zimę trudniłem się wyplataniem koszów, przysposobiwszy sobie dosyć pręcia w jesieni. Potrzebne mi one były do przechowania przyszłych zbiorów zboża. Nadto pracowałem nad naczyniami glinianemi, w czem nabyłem niemałej wprawy, i wyroby moje miały już daleko zgrabniejszą formę

jak te pierwsze. Naczynia te miały służyć także na przechowanie spiżarnianych zapasów.

Mój Boże, kiedy nieraz zastanowiłem się nad moją pracą, przychodziło mi na myśl, jakiem jest dobrodziejstwem społeczeństwo ludzkie i podział pracy. W krajach ucywilizowanych wszyscy razem pracują dla siebie. Gospodarze wiejscy trudnią się dostarczaniem żywności, rzemieślnicy sporządzają odzież, sprzęty i narzędzia, potrzebne do rozmaitych rękodzieł; inni stawiają domy, budują mosty, biją drogi. A tymczasem ja wszystko sam sobie musiałem robić, tracąc n ato tyle czasu, że całoroczna moja praca ledwie wystarczała na utrzymanie życia. Cały przeszły rok na czemże mi zeszedł, oto na obmyśleniu środków ubrania się i życia, a przceież nie mogę sobie czynić wyrzutów, żebym był leniwym i tracił czas daremnie. W samotności dopiero i w ciężkim znoju przyszły mi te uwagi do głowy, dawniej nigdy o tem nie pomyślałem i nie umiałem cenić pożytków, osiąganych przez ludzi z wspólnego życia.

XXVII.

Zasiewy — urządzenie wędzarni — polni złodzieje — skuteczna egzekucya — niepomyślny zbiór — przechowanie zboża — trzecia rocznica — zima.

Zaraz na początku wiosny wziąłem się do przygotowania ziemi pod zasiewy. W zeszłym roku było to łatwo, bo szło o niewielki

kawałek ziemi, ale w tym roku trzeba było sześć razy tylo gruntu oczyścić i skopać. Rolę uprawiłem zeszłorocznym sposobem, lecz odstępowała mię odwaga na myśl, że na przyszły rok nierównie większa oczekiwała mnie praca. Dwa tygodnie zeszły mi na tej robocie, przy pomocy łopaty byłbym ją za cztery dni skończył.

Z zasiewem potrzeba było wstrzymać się czas niejaki, bo dopiero w połowie maja padały deszcze. Gdybym miał wcześniej przygotowany grunt pod uprawę, mógłbym zasiewać dwa razy: raz w końcu grudnia, zbierając w drugiej połowie kwietnia, drugi raz siejąc na początku maja, a kończąc żniwa we wrześniu. Tym razem spóźniwszy się z uprawą roli, musiałem przestać na jednym zbiorze, lecz i ten mi aż nadto wystarczył.

Pole przygotowane pod zasiew ogrodziłem dokoła płotkiem bambusowym i to zajęło mi parę tygodni czasu; mniejsza o pracę i czas, żeby tylko zabezpieczyć zbiór od kóz i zajęcy.

Nakoniec, kiedy nadeszła stosowna chwila, zasiałem jęczmień, a majowe deszcze tak dzielny skutek wywarły, że w parę tygodni potem rola pokryła się prześliczną zielonością.

Oprócz tego obok jaskini zasiałem spory kawałek pola kukurydzą, żeby po nią do lasu nie chodzić.

— Mój panie gospodarzu! — rzekłem do siebie ukończywszy roboty w polu, — teraz trzeba wziąć się do młyna; wszakże jęczmienia gryźć nie będziesz, cóż ci po nim, jeżeli mąki zrobić nie potrafisz? Nie przyjdzie to tak łatwo, ale każdy początek jest trudny: przy pomocy Boskiej jakoś to pójdzie.

O żarnach, a tembardziej o młynku ani marzyć, bo czemże je zrobię; trzeba więc poprzestać na stępach, jakich murzyni używają do otłukiwania jagieł.

W wycieczkach moich od dawna zauważyłem pień grubego drzewa, złamanego przeszłorocznym wichrem. Z niego przy pomocy siekiery mogła być doskonała stępa, lecz w braku tych nrrzędzi czemże ją zrobić? czem obciąć grube korzenie, przytrzymujące go w ziemi? czemże wreszcie wydrążyć zagłębienie?

Nareszcie przyszło mi do głowy wypalić środek ogniem. Wziąłem się natychmiast do pracy: najprzód poopalałem korzenie, następnie przytoczyłem z wielkiem wysileniem pień do mego mieszkania, a nareszcie z niemniejszym mozołem udało mi się go wypalić. Wydrążenie miało dostateczną głębokość, ale było nierówne i tak zaczernione, iż straciłem nadzieję, ażebym kiedy mógł otrzymać mąkę białą. Z tłuczkiem poszło łatwiej: znalazł się na dnie strnmienia kamień podłużny, zaokrąglony przez długie działanie fali. Wprawiwszy go w rozszczepioną gałęź,

skrępowałem silnie łykami; teraz już tylko pozostawało spróbować, czy się zboże tłuc będzie.

Dobrze wysuszoną kukurydzę wrzuciłem do wydrążonego pnia i począłem tłuc ją z całej siły, lecz twarde i okrągłe ziarna wyskakiwały za każdem uderzeniem. Aby temu zaradzić, uciąłem liść bananowy, a prze-



biwszy w samym środku otwór, przesadziłem przez niego tłuczek. Teraz ziarna nie mogły się rozpryskiwać, a gdy po godzinie nieprzerwanej pracy wybrałem mąkę kukurydzaną, rozśmiałem się serdecznie, gdyż była czarna jak sadze.

Trzeba było na to coś poradzić. Wprawdzie węgiel drzewny nie jest trucizną, ale

nie bardzo przyjemnie jeść kaszę albo chleb z tą czarną przyprawą. Zabrałem się zatem do wyskrobywania nożem zwęglonych ścian stępy i po trzech dniach oczyściłem je nieźle. Tym razem kukurydza wydała kaszę dość czystą, pomieszaną z mąką i otrębami. Natychmiast wstawiłem je w garnek, ugotowałem, a okrasiwszy przetopionem koziem masłem, z wielkim apetytem i zadowoleniem spożyłem. Zapewne żaden wytworniś angielski nie byłby jej wziął w usta, ale mnie smakowała ona przewybornie.

Do żniw miałem jeszcze parę miesięcy czasu; trzeba było z niego korzystać i zająć się polowaniem, ażeby nie narazić się, jak w przyszłym roku, na brak mięsa. Z tem wszystkiem i polowanie nie przyda się na nic, jeżeli nie wymyślę jakiegoś lepszego sposobu przechowywania mięsa, gdyż solenie samo nie zabezpieczało go dostatecznie od zepsucia.

Najpraktyczniej byłoby suszyć je na słońcu, podobnie jak robią murzyni, ale nie znałem dobrze tego sposobu; wędzenie znów było mi doskonale znajome, ale nie było do tego komina. Upatrując miejsca stosownego na jego zbudowanie, znalazłem dość głęboką, a prawie prostopadłą szparę w skale, sterczącej nad grotą. Trzeba było tylko z boku zaprawić otwór, ażeby się dym nie rozpraszał. Jakóż i to powiodło mi się wcale nieźle. Z drabinki, powiązanej

z gałęzi, zrobiłem rodzaj rusztowania, potem pozaprawiałem poprzeczkami drewnianemi szczelinę, a następnie zagrodziłem je chrustem na kształt płotu. Nareszcie wdrapawszy się jak kominiarz do środka, zarzuciłem chruścianą ściankę gliną, ażeby zabezpieczyć ją od ognia.

Ubite kozy obdarłszy ze skóry, krajałem w cienkie pasy: mięsistsze części zasoliłem, ciensze zaś płaty szły od razu do komina, jak tylko nieco na słońcu obeschły. Mięso w ten sposób przyrządzone miało smak podobny do świeżego, a daleko lepszy, aniżeli solone. Przed gotowaniem zwykle moczyłem je w wodzie, przez co nabierało soczystości. Już też i czas żniwa był niedaleki. Jednego ranka wybrałem się na folwark zobaczyć, czy prędko będzie je można zacząć. Bezpieczny o kozy i zające, szedłem przypatrzyć się moim skarbom, ale któż opisze moje przerażenie, kiedy za zbliżeniem się ujrzałem wylatującą chmarę ptactwa z pola, które zasiałem jęczmieniem.

— Ach niegodziwe żarłoki! — zawołałem z gniewem — czy to ja dla was sieję?... bardzo dużo mam zboża, żebyście mi go jeszcze wyjadły, wy nicponie!

Ptaki odleciały, ale posiadały niedaleko na blizkich drzewach, jakby oczekując, kiedy będę łaskaw wynieść się, ażeby mogły wrócić do żeru. Na nieszczęście nie mogłem wyświadczyć im tej grzeczności; przeciwnie,

wymierzywsy strzałę, najbliższego pustoszyciela cudzego dobra położyłem trupem. To jednak nie zrobiło na reszcie najmniejszego wrażenia, gdyż natychmiast, skoro tylko oddaliłem się na próbę o kilkadziesiąt kroków, spadła cała banda znowu na pole.

Ubiłem jeszcze kilka tych ptaków-rabusiów, a zrzekając się z nich pieczeni, porozwieszałem złoczyńców na wysokich tykach dokoła pola dla odstraszenia innych. Jakoż powiodło mi się to doskonale, gdyż odtąd ani jeden nie poważył się najeżdżać pól moich, a nawet zupełnie tę część wyspy opuściły. Kosy już prawie podojrzewały, za tydzień można było zabrać się do żniwa.

Powróciłem do domu, ażeby wprzód skończyć z kukurydzą, która także już dojrzała. Zbierać ją było mi bardzo łatwo, gdyż kolby dają się bez trudu obłamywać. Łodygi dochodziły do pięciu łokci wysokości, a każda dźwigała po kilka kolb, w jednej zaś mogło być najmniej dwieście ziarn. Zebrałem ją szczęśliwie, a nie mając czasu obrywać, zostawiłem to na później, spiesząc się do jęczmienia.

Oj, napracowałem się też nad żniwem, prawdziwie w pocie czoła. Niczem trudy żniwiarzy angielskich, na które zawsze tak wyrzekali. Każdy z nich był magnatem w porównaniu do mnie nieboraka. Oni mieli sierpy, a ja musiałem cały zbiór sprzątnąć nożem, nie biorąc naraz jak kilkanaście źdźbeł. Koniec końców, że zebranie czter-

dziestu snopów, mimo niezmiernej pilności w robocie, kosztowało mnie przeszło tydzień czasu.

Po sprowadzeniu zboża do domu i wymłóceniu, nie zebrałem więcej jak dobry korzec. Zbiór byłby niezawodnie daleko lepszy, gdyby nie te obrzydłe ptaki, które zjadły mi połowę zboża. Umyśliłem na przyszły rok powetować tę klęskę i wysiać w tym celu trzy czwarte całego zbioru, a w tym roku postanowiłem obejść się bez chleba, poprzestając na kukurydzy.

Tej miałem poddostatkiem. Po wyłuszczeniu kolb napełniłem ziarnem pięć wielkich koszów i jeszcze cośkolwiek pozostało na natychmiastowy użytek. Liście i łodygi kukurydzane, oraz słoma jęczmienna przydały mi się na zimowe pożywienie dla kóz

Zanim deszcze jesienne nadeszły, skopałem pole po kukurydzy, ażeby na niem w końcu grudnia zasiać jęczmień, gdyż pragnąc co prędzej skosztować chleba, miałem zamiar w przyszłym roku dwa razy plon zbierać.

Pora deszczów zbliżała się szybkim krokiem. Ukończywszy zbiory, korzystałem z kilkunastu pięknych dni dla przysposobienia zapasów drzewa na opał i zdołałem to przed nadejściem zimy uskutecznić.

Czas upływał mi nadzwyczaj szybko; anim się spostrzegł, kiedy nadeszła trzecia rocznica rozbicia się naszego statku. Obchodziłem ją postem i rozmyślaniem, jak po-

przednią, a w parę dni potem gwałtowny uragan, wyjący przez kilkanaście godzin bez przerwy, oznajmił rozpoczęcie się ośmio- lub dziewięciotygodniowych nudów, na jakie w czasie zimowej pory byłem skazany.

XXVIII.

Wycieczka na zachodnią część wyspy — okolica nieznana — niezmierny przestrach — ucieczka — rozmaite przypuszczenia — zaniedbanie gospodarstwa — zwątpienie.

Po uskutecznieniu zasiewów grudniowych umyśliłem wybrać się na dłuższą wędrówkę po wyspie. Od owej nocy, gdy to owa łuna, pochodząca z jakiejś nieznanej mi przyczyny, nabawiła mnie takiej trwogi, upłynęło już półtora roku, a przez ten czas nigdzie nie wychodziłem, jak tylko do mego folwarku. Naprzód mnogość zatrudnienia trzymała mnie wciąż w domu, a powtóre — co ze wstydem wyznaję — bojaźń tak mnie opanowała, że nie śmiałem zapuszczać się w odleglejsze strony wyspy.

Zaopatrzywszy się jak zwykle w rozmaite przybory, rozpocząłem nową wycieczkę, mającą potrwać sześć do ośmiu dni, lecz zupełnie w odmiennym jak dotąd kierunku. Wszystkie poprzednie przechadzki ograniczały się na wschodnio południową część wyspy, ale północ i zachód były mi zupełnie nieznane; raz przecież należało poznać i tamte okolice.

Przebywszy duży kawał lasu, dotykającego doliny zamieszkanej przezemnie, wydostałem się na równinę, zakończoną pasmem dość wysokich pagórków. Wdrapałem się na najwyższy z nich, zachodzący przylądkiem w morze. U stóp jego płynęła dość głęboka rzeczka, mająca tutaj swe ujście; przypływ morza zwiększył znacznie jej głębię, tworząc zatokę: należało zatem zaczekać, aż opadnie, ażeby dostać się na drugi brzeg. Długi czas siedząc nad wodą, przypatrywałem się mnóstwu ryb, płynących w górę rzeki, którą zapewne miały opuścić dopiero wtedy, gdy morze zacznie opadać. Wyborne to było miejsce do ich połowu i postanowiłem natychmiast po powrocie przyjść tu z moją siecią, dotąd jeszcze nieużywaną. Kiedy wody dostatecznie opadły, zdjąłem suknie, a zawinąwszy je w tłomoczek i umieściwszy na głowie, przebyłem rzekę. Brodząc po pas, stanąłem szczęśliwie na drugim brzegu, poczem ubrawszy się ruszyłem dalej.

Okolica w tych stronach była bardzo nieurodzajna, częścią pagórkowata, w części skalista. Mroczyło się na dobre, bo już przed chwilą słońce zapadło w morze, trzeba się więc było zabrać do noclegu i to podług zwyczaju na pierwszem lepszem drzewie. Jakoż znalazłem dosyć wygodne legowisko pomiędzy rozłożystemi gałęziami i usadowiwszy się tam, wkrótce zasnąłem.

Na drugi dzień rano posiliwszy się, lekki i wesoły ruszyłem w dalszą podróż. Około południa udało mi się ubić jakiegoś dużego ptaka z gatunku cietrzewi, który upieczony na różnie, miał bardzo delikatne mięso. Kilka łyków wody oraz złocisty ananas, dopełniły obiadu. Przedrzemałem się nieco podczas największego gorąca, a potem dalej marsz! marsz! panie Robinzonie, nie wypada wracać, dopóki nie zwiedzisz w całej rozciągłości twego królestwa i nie dojdziesz do kamiennej piramidy, ułożonej przed dwoma laty na znak kresu poprzedniej wycieczki.

Nad wieczorem dostałem się na obszerną równinę, przyległą lasowi, z którego przed chwilą wyszedłem. Była ona w części zarosła trawą, ale nad samym brzegiem morza rozciągał się duży kawał, miałkim i wilgotnym piaskiem pokryty. Zdawało mi się, że niedaleko od morza spostrzegłem żółwie gniazdo, a ponieważ żołądek domagał się wieczerzy, tam jej szukać postanowiłem.

Idę naprzód prędkim krokiem, gdy wtem.... spostrzegam na piasku wyraźny ślad... nogi ludzkiej. Myślicie może czytelnicy, że zostając przez trzy lata przeszło w samotności, ucieszyłem się niezmiernie, widząc ten znak bytności ludzi na wyspie?... Gdzież tam... przeciwnie... okropny przestrach mię ogarnął... Wiadomo mi było, że na wyspach morza Karaibskiego mieszkają dzicy ludożercy. Jak gromem rażony, stanąłem,

wpatrując się w ten ślad złowieszczy, drżąc z trwogi i rzucając dokoła twożliwem okiem, czy nie ujrzę lada chwila gromady dzikich, wysuwających się z zarośli. Lecz cisza niczem nieprzerwana zaległa okolicę. Ośmielony tem, wypełznąłem ostróżnie na poblizki pagórek, skąd można było przejrzeć większy obszar ziemi, lecz i tu nic podejrzanego nie było widać. Zbiegłem więc znów nad brzeg morza, śledząc, czy nie odkryję więcej śladów, lecz nie napotkałem ich nigdzie.

— Trzeba raz jeszcze obejrzyć ten ślad — pomrukiwałem z cicha — może mnie tylko wyobraźnia zwiodła, albo też może to jest mój własny ślad i nadaremnie się trwożę... wróćmy do niego... I pobiegłem na to samo miejsce, lecz nie... odciśnięcie nogi było jak najwyraźniejsze: pięta, podeszew, każdy palec dokładnie w piasku wilgotnym były odbite... a ja wszak mam obuwie z koziej skóry... O mój Boże! mój Boże! skąd ten ślad tutaj ?... niepodobna mi rozwiązać tajemnicy.

Nagle niewymowna, nieprzezwyciężona trwoga opanowała całą moją istotę; przerażenie wstrząsnęło ciałem, w najokropniejszem pomieszaniu począłem ze wszystkich sił uciekać ku domowi, Każde drzewo, każdy krzak brałem za postać ludzką, najmniejszy szelest przerażał mnie niewypowiedzianie; przytomność, zimna krew, zastanowienie, opuściły mnie zupełnie, nie wiedziałem, gdzie i jak biegnę. Co się ze mną naówczas działo, tego ani opisać, ani opowie-

dzieć niepodobno. Biegłem jak szalony, upadając nieraz i potykając się co chwila. Nareszcie wyczerpany do najwyższego stopnia, padłem w gęstwinie i w niej przepędziłem noc pełną męczarni.

Sen zaledwie skleił moje powieki, a już znowu przebudzałem się w obawie, ażeby mnie dzicy niespodziewanie nie zeszli. Różne okropne myśli zamącały mi głowę. Przypomniałem sobie teraz przeszłoroczną łunę, nie mogącą pochodzić z czego innego, jak z podpalenia wyschłych traw przez Karaibów. (W krajach gorących trawy bujne i wysokie podczas lata wysychają, a lada iskra zamienia je w morze płomieni. W stepach amerykańskich podpalają je umyślnie dla użyźnienia ziemi. Przyj.) To rzecz oczywista, bo pożar sam przez się nie mógł wybuchnąć, a jak już poprzednio wspomniałem, najpiękniejsza pogoda panowała wówczas, a zatem nie powstał od pioruna.

Drugiego dnia przed południem byłem już w domu. Rzuciłem się na posłanie, nie myśląc wcale o posiłku, chociaż od wczorajszego obiadu nic oprócz wody nie miałem w ustach. Trwoga odebrała mi apetyt, najdziwaczniejsze myśli snuły się po głowie.

To niepodobna, abym trzy lata bawił na wyspie a nie dostrzegł jej mieszkańców... Nie... nie... przekonany jestem, że oprócz mnie, ani jeden człowiek nie przebywa na niej, ale skądże mógł się znaleść właściciel nogi? jak

przybył bez okrętu, który przecież byłbym ujrzał na morzu, Śladu tego nie wymarzyłem sobie, wszak go wczoraj dotykałem palcami. A czy też ludożercy nie zostali zapędzeni burzą z oddalonej ziemi, którą przed paru laty widziałem z wysokiej góry? Może wylądowawszy w tej nieurodzajnej części wyspy, nie mieli chęci założyć na niej swych osad... Gdyby im też przyszło do głowy przybyć tu w wielkiej liczbie, gdyby mnie przypadkiem spotkali... o wtedy z pewnością nie uniknąłbym śmierci... zamordowaliby mnie



i pożarli... jeżelibym zaś potrafił ukryć się zawczasu w jakim zakątku, wtedy niezawodnie zniszczyliby moje mieszkanie, zabili kozy i spustoszyli pola.

Te i tym podobne myśli trapiły mą duszę. Przez trzy doby nie odważyłem się opuścić ani na chwilę mej groty, nie miałem nawet śmiałości pojść wydoić kozy, ale przecież trzeba się było na to zdecydować bo biedne samki mogły stracić mleko.

Skończywszy tę robotę nabrałem nieco odwagi i pobiegłem na ową wysoką górę, aby się przekonać, czy przypadkiem nie zobaczę w poblizkości wyspy jakiego statku. Ale obawa, czy nadzieja, bo nie wiem, jak to już nazwać, zawiodła mnie zupełnie. Powierzchnia morza lśniła się jak zwierciadło, ale na niej najmniejszej łódki widać nie było; powróciłem cokolwiek uspokojony.

W parę dni potem puściłem się na zwiedzenie mego folwarku, uzbrojony nową dzidą, łukiem i pełnym kołczanem strzał... Ale cóż mi ta broń za bezpieczeństwo dać mogła przeciwko tłumowi dzikich, niezawodnie lepiej odemnie uzbrojonych? mimo to pokonałem trwogę i zaszedłem do lasu, oglądając się wszakże na wszystkie strony.

W dolinie znalazłem wszystko w nienaruszonym stanie: jęczmień wzrastał prześlicznie i można się było spodziewać pięknego urodzaju.

— Ach cóż mi po nim — zawołałem z boleścią — gdy nie wiem, czy go zbiorę; lada dzień horda dzikich Karaibów może wpaść tutaj i obrócić w perzynę zasiewy. O nie! nie! już nie wrócą chwile swobodne dawniejszej spokojności... nigdy już nie będę szczęśliwy...

Zamiast powrócić do domu, poszedłem raz jeszcze obejrzeć złowieszcze ślady ludzkiej nogi; myślałem, że może przy zapadającym zmroku nie widziałem dobrze, a zresztą zawsze coś ciągnie człowieka, ażeby dokła-

dnie przekonał się o swem nieszczęściu, jak gdyby w męczarni znajdował jakieś upodobane.

Miejsce to było dość daleko, straciłem więc cały dzień czasu, zanim się tam dostałem; widać, że droga od mego mieszkania wprost, była daleko krótszą. Słońce schylało się ku zachodowi, gdy tu zdążyłem. Trzeba więc spostrzeżenia odłożyć na jutro, a tymczasem pomyśleć o noclegu

Miałem wielki kłopot z tem, gdzieby się przespać, bo nuż ludożercy nadpłyną i wyśledzą mnie tutaj. Przerażony tą myślą wybiegłem na blizki wzgórek, ale na morzu nic widać nie było. Uspokojony tem cokolwiek, wyszukałem gęste drzewo i wdrapawszy się bardzo wysoko na gałęź, przywiązany pasem usnąłem.

Natychmiast po przebudzeniu pobiegłem na brzeg morski, wyszukać owego śladu nogi i znalazłem go wkrótce. Był on daleko większy od mojej stopy i należał wyraźnie do człowieka, który nigdy obuwia nie miał na nodze, słowem jakiegoś olbrzymiego Karaiba.

Dreszcz febryczny przebiegł me ciało, nie wiedziałem co począć, bojaźń pozbawiła mnie prawie przytomności, a najdziksze myśli przebiegały przez głowę. W pierwszym szale zamyśliłem zburzyć mur, otaczający grotę, popsuć całe mnieszkanie, rozwalić stajenkę i chatkę na folwarku, poniszczyć ogrodzenia, rozpędzić kozy i spalić zasiew, a to wszystko

z obawy, aby mnie dzicy nie wyśledzili. Zniszczywszy wszelkie ślady zamieszkalności wyspy, mogłem być pewnym bezpieczeństwa.

Nie było tu co robić dłużej, obejrzałem się wkoło i poza lasem dostrzegłem wynurzającą się z głębi drzew ostro zakończoną skałę, niemal tuż przy zamku leżącą. To będzie moja strażnica — pomyślałem sobie — z niej z łatwością dostrzegę, co się dzieje w tem miejscu. Kierując się za widokiem tej skały, w półtorej godziny dostałem się do zamku, ale to, zamiast mnie ucieszyć, większym mnie jeszcze napełniło strachem; bom się przekonał, że dzicy wylądowali bardzo blizko od mego mieszkania i tylko wyraźna opieka Boska ukryła je przed okiem mych nieprzyjaciół. Dręczony straszemi myślami, mimo utrudzenia, zaledwie usnąć zdołałem.

Drugiego dnia obudziłem się nieco spokojniejszy. Przyszło mi na myśl, że wyspa ta duża i żyzna, a położona, jak mniemałem, w blizkości stałego lądu, nie może być nieznaną ludom na nim zamieszkałym. Być może, że w ciągu trzechletniego pobytu mojego na niej, nieraz już dzicy, zapędzeni wiatrem, musieli tutaj wylądować, lecz widać wracali natychmiast do siebie, bo gdyby im się wyspa była spodobała, niezawodnie dawnoby już byli pobudowali na niej swe chaty.

Słyszałem nieraz od żeglarzy, znających te strony, że Karaibowie nie używają żagli i łodzie swe kierują jedynie wiosłami, do-

pomagając sobie przypływem i odpływem morza. Widoczna więc, iż zagnani na wyspę silną falą, nie odważyliby się nawet przenocować na niej z obawy, ażeby nie ominąć przyjaznej pory odpłynięcia. Jedno mi tylko zagrażać mogło, to jest niespodziane zaskoczenie przez Karaibów. Przy ostróżności mogłem tego uniknąć, w razie zaś wylądowania większej liczby dzikich, nie pozostawało mi nic innego, jak tylko schronić się do jakiej kryjówki i czekać, aż odpłyną.

Z upokorzeniem wyznam, że strach, niespokojność i troski tak mną owładnęły, że zupełnie zapomniałem szukać pociechy w modlitwie, która w każdej przeciwności dodawała mi siły. Smutek, ucisk i niebezpieczeństwo zasępiły tak moją duszę, że zupełnie wyszły mi z myśli owe słowa pociechy:

»Wzywaj mnie w dzień utrapienia, a wyrwę cię i czcić mnie będziesz«.

Gdybym był tego głosu usłuchał, a w trwodze mej udał się do Boga i Temu najmiłosierniejszemu Ojcu powierzył się w mojem zwątpieniu, to niezawodnie byłbym nabrał serca i wytrwałości, a wzmocniony ufnością w Panu nad pany, łatwo potrafiłbym przezwycieżyć twożliwość i bojaźń, które uciskały mą duszę.

XXIX.

Sztuczny gaj — obfite żniwo — czwarta rocznica — modlitwa — pieczenie chleba — sito — nowa wycieczka — widmo — kryjówka.

Ochłonąwszy nieco z pierwszego przerażenia, zacząłem myśleć o lepszem obwarowaniu mego mieszkania. Z początku najbardziej dręczyło mnie to, że przekopałem jaskinię na wylot, lecz po dokładniejszej rozwadze pokazało się, że drugie wyjście nie tylko nie było szkodliwem, ale nawet pożytecznem. Przypuściwszy bowiem, że dzicy oblegną mój zamek i łatwo przebędą mur, otaczający front, cóżbym wówczas poradził, nie mając innego wyjścia? Tak zaś pozostawała mi przynajmniej nadzieja ucieczki do lasu, gdzie przecież można było znaleść jakie takie schronienie.

Przedewszystkiem umyśliłem zasadzić znaczną przestrzeń dokoła jaskini gęstym gajem. W tym celu naciąłem mnóstwo gałązek z jakiegoś drzewa, podobnego do wierzby, sadziłem je w odległości stopy od siebie. Robota ta trwała przeszło dwa miesiące, a zasadzając codzień około stu gałęzi, utworzyłem gęste zarośle, kilka tysięcy roślin obejmujące. Nadto podniosłem mur przeszło o półtora łokcia na wysokość, zostawiając w nim otwory do wypuszczania strzał na przypadek oblężenia przez dzikich.

Praca ta mnie tak zajęła, że zupełnie zapomniałem o zbożu i dopiero pewnego

dnia przechodząc koło jęczmienia, zobaczyłem, że kłosy dostałe zaczynają się już wysypywać. Trzeba więc było wziąć się do żniwa, które też w ciągu trzech tygodni ukończyłem, zebrawszy tym razem tak dużo zboża, że się z niego dwa ogromne stogi utworzyły.

Ażeby je wymłócić, potrzeba mi było klepiska, gdyż przy tak znacznej ilości niepodobna było wykruszać zboża, jak poprzednio czyniłem, w palcach. Obrawszy więc na ten cel stosowne miejsce obok groty, wyłożyłem je grubo gliną, nasypałem na wierzch kamyczków i żwiru i mocno udeptałem. Po paru dniach od skwaru słonecznego wyschło doskonale, mogłem więc rozpocząć młóckę.

Po ukończeniu tej roboty, otrzymałem, jak mi się zdawało, około siedmiu korcy jęczmienia; był to więc zapas dostateczny na zimę. Wkrótce potem spadły majowe deszcze: wpływ ich okazał się zbawiennym na świeżo zasadzony gaj, gdyż drzewka okryły się prześliczną zielonością i z małym wyjątkiem przyjęły się prawie wszystkie.

Ale w kłopotach moich zapomniałem zupełnie o nowym zasiewie, a tak trzeba było odłożyć go do przyszłego roku, bo odpowiednia pora do siania już minęła.

Po żniwach i wymłóceniu zboża, zabrałem się na nowo do sadzenia drzewa, gdyż gaik zdawał mi się być jeszcze za mały. Pracowałem nad tem aż do późnej jesieni, zapominając zupełnie o przysposobieniu mięsa

i tłuszczu do palenia na zimę. Do zbiórki drzewa także wziąłem się za późno i z tej przyczyny tylko bardzo niedostateczny zapas zebrałem.

Tak gdy strach człowieka opanuje, a strwożony nie umie wziąść nad nim góry, wszystkie czynności idą na opak, nic się nie robi z planem i stąd potem powstaje tak wielki nieład, że sobie rady dać nie można. Doświadczyłem tego z własną szkodą, gdyż pozbawiony wszelkich zapasów, przez całą zimę doznawałem niewygód, nieraz kilkanaście dni żyjąc kukurydzanną polewką i koziem mlekiem.

W czwartą rocznicę przybycia mego na wyspę, to jest 23 września 1667 roku, pościłem jak zwykle przez cały dzień i przepędziłem go w mojej świątyni. Któżby dał wiarę, że przez całe lato w niej nie byłem, że zajęty myślą zabezpieczenia się przed nieprzyjacielem, nawet w święta i niedziele pracowałem nad ubezpieczeniem mego siedliska, zapominając o Bogu, moim jedynym ratunku, silniejszym od wszelkich twierdz ziemskich.

O! z jakąż skruchą padłem na kolana i łzami oblewając ziemię, żałowałem mej nierozwagi i gorąco przyrzekałem poprawę. Właśnie w tej chwili przez grube chmury przebiły się promienie słońca, padając wprost na mnie. To napełniło mnie taką radością, że powstałem z ziemi pełen ufności i pociechy. — O dobry Panie! a więc łaska Twoja

jest zawsze ze mną, pomimo obojętności, z jaką zaniedbałem oddawać Ci cześć powinną! Ach te promienie słońca, jakby jaki znak Twej dobroci, napełniają odwagą mą duszę; ucieka z niej trwoga, a zaufanie do miłosierdzia Twojego ją napełnia. Odtąd powierzam Ci, Wszechmocny Boże, wszystkie moje cierpienia i poddaję się rozporządzeniom Twej woli: niech się ze mną dzieje jak rozkażesz, a zawsze jednakowo chwalić Cię będę, choćbyś największe przeciwności na mnie dopuścił.

Powróciłem do groty w zupełnie innem usposobieniu umysłu, aniżeli gdym ją opuszczał. Obawy moje blizko całoroczne wydały mi się niedorzecznemi i teraz dopiero spostrzegłem mój nierozsądek, że dla bojaźni przed dzikimi, zapomniałem o wszystkich potrzebach zimowych.

Zawyły wichry i nawałnice, skutkiem ich wezbrały, jak zwykle, rzeki. Przykra ta pora z jednej strony broniła mnie zupełnie od najazdu dzikich, ale z drugiej strony bardzo nudnie upływała. Nie miałem czem świecić wieczorami, nie przygotowałem sobie też pręcia do wyplatania koszów, ani strun do zeszywania skór. Odzież potrzebowała naprawy, a nawet należało pomyśleć o nowej. Materyału nie brakowało, ale z czego zrobię nici? Najdotkliwszym zaś był mi brak mięsa. Co do paszy dla kóz, to miałem dosyć słomy jęczmiennej i łodyg kukurydzo-

wych, nie było więc obawy, ażeby jej zabrakło.

— Narzekasz na brak mięsa, a wszakże możesz poświęcić koźlątko, wszak ich jest dosyć.

W samej rzeczy miałem ośmnaście sztuk trzody, gdyż kozy rozmnożyły się w lecie. Wybrawszy więc młode koźlę, odniosłem je nieopodal i zabiłem strzałą, bo mi brakło serca nożem tego dokonać. Oprawiwszy je starannie, odłożyłem kiszki dla ukręcenia strun do szycia garderoby, z łopatki ugotowałem wyborny rosół z kukurydzaną kaszą, a tylna ćwiartka poszła na pieczeń. Cóż to był za wyborny obiad, po tylu dniach, przebytych o lichej strawie!

Należało jeszcze pomyśleć o pieczeniu chleba. Pełne kosze jęczmienia leżały bez użytku, bo w dniach trwogi i to wywietrzało mi z głowy. Nasypawszy do stępy zboża, zacząłem je bić tłuczkiem, a gdy się dobrze zmiażdżyło, przesypywałem śrutówkę do naczynia glinianego. Tak w ciągu pół dnia przysposobiło się tyle, że można było rozpocząć piekarstwo.

— Ba, rozpocząć, a gdzież masz piec, mój mądry człowieku? gdzie drożdże, a wreszcie w jęczmieniu jest tyle ości, że nie wiem, jaki to chleb będzie.

Wynalazłszy pomiędzy staremi rzeczami chustkę z grubego muślinu, uprałem ją i wysuszyłem przy ogniu. Potem zdarłszy kawał grubego łyka, zrobiłem z niego szeroką

obręcz. Rozpięty na niej muślin zastąpił sito, ale że był nieco gęsty, więc znaczna część zboża pozostawała. Trzeba było na nowo sypać je do stępy i tłuc z taką siłą, że aż pot strumieniami spływał mi z czoła. Ale wytrwałość uwieńczyła mą pracę pomyślnym skutkiem.

Następnie wygrzebałem dołek na łokieć szeroki i głęboki: spód i boki wyłożyłem płaskimi kamieniami. Całe trzy dni zeszły na tej robocie, czwartego nareszcie zapaliłem duży ogień w dole, a nim wygorzał, zarobiłem mąkę wodą, a dodawszy soli, porobiłem z niej placki. Potem wygarnąwszy węgle i popiół, ułożyłem je na rozpalonych kamieniach, czekając, co z tego będzie.

Po paru godzinach placki upiekły się; wydobywszy je z dołu, oczyściłem z popiołu. Prawda, że im daleko było do chleba: ciężkie i zbite, bez dziurek zwykłych w chlebie, zapewne nie smakowałyby wybrednemu Europejczykowi, lecz ja, nie mając od czterech lat chleba w ustach, jadłem je z największym apetytem, jak smaczne ciasteczka. Kawał pieczonej koziny, placek jęczmienny i czarka wody, stanowiły dla mnie prawdziwą ucztę.

Pomimo burzliwej pory roku. myśl o wylądowaniu dzikich nie dawała mi spokojności. Ile też razy słońce rozdarło oponę chmur i chwilowa nastała pogoda, zawsze wybiegałem na skałę strażniczą, upatrując karaibskich łodzi, lecz morze było puste i wzdęte,

obawa więc była próżną. Rok już upłynął od czasu, kiedy ujrzałem ślad ludzkiej stopy. Pierwsze wrażenie obawy dawno już przeminęło, a za nadejściem wiosny wziąłem się do uprawy roli tak spokojnie, jak gdyby dzikich wcale na świecie nie było.

Jednego dnia powracając z folwarku, ujrzałem w wąwozie skalistym piękne banany, zszedłem więc z drogi dla narwania ich. Kiedym u stóp stromej skały odginał gałęzie, ujrzałem poza gąszczem krzewiastym w opoce czarne zagłębienie. Przedarłszy się z trudnością przez zarośle, schylony z powodu nizkości otworu, wszedłem do jaskini. Lecz któż zdoła opisać mój przestrach, gdy nagle w ciemności zabłyśnęła para ócz, zielonawym ogniem iskrzących. Umknąwszy co żywo, dopiero na wolnem powietrzu odzyskałem przytomność i odwagę. Byłżeby to dziki jaguar, podobny do tygrysa, lub ocelot, mniejszy od niego, a należący także do dzikich kotów, lub jakie inne dzikie zwierzę?

Ba, wszakże od półpięta roku żyję na tej wyspie; do tego czasu tak straszne potwory nie zostawiłyby mnie i kóz moich w spokoju. Trzebaż mieć więcej zastanowienia się i roztropności i za lada przyczyną nie strachać się jak dziecko. Nabrałem więc znów odwagi, a namachawszy suchych gałęzi, skrzesałem ognia i wszedłem ze światłem po raz drugi do jaskini. Lecz zaledwie kilka kroków posunąłem się na-

przód, gdy zimny pot wystąpił mi na czoło, a włosy dębem stanęły. Z kąta jaskini dochodziły jak gdyby ludzkie jęki, potem jakiś czept czy stękania, które mnie do najwyższego stopnia przeraziły.

Zebrałem na nowo odwagę, wspomniawszy, że Pan Bóg znajduje się wszędzie, a Jego opieka czuwa nademną. Posunąłem



się wtedy raz jeszcze w głąb groty i ze wstydem przekonałem się, że to widmo, czy jakiś potwór, przerażający mnie strachem, był sobie po prostu starym kozłem, który widać przyszedł tutaj zakończyć swe życie. Napróżno starałem się podnieść i wyprowadzić go z jaskini: dźwignął się nieco na nogi, lecz wnet upadł znowu bez sił na ziemię. Zostawiłem go więc w spokojności, aby zdechł, kiedy mu się już koniecznie zdychać zachciało.

Przyszedłszy do siebie, rozpatrzyłem się w jaskini. Miała w szerz ze cztery sążnie, w głąb sześć do siedmiu, a wysokości około dwóch. Niekształtna, ani okrągła, ani czworoboczna, zakręcała się w prawo, stopniowo zniżając się coraz bardziej. W samym kącie znajdowało się zagłębienie w skale tak nizkie, że tylko na czworakach można się było do niego wczołgać. Postanowiłem przepatrzeć je na drugi dzień z pomocą lampki, gdyż nie miałem chęci narażać się bez światła na złamanie karku.

Na drugi dzień rano powróciłem z lampą. Stary kozioł był już zdechł; wypaproszyłem go dla tłuszczu, którego jednak nie wiele było, a zwłoki zakopałem w ziemi, ażeby gnijąc nie zarażały powietrza.

Otwór w głębi jaskini ciągnął się na kilka łokci, poczem nagle rozszerzał się w prześliczną grotę. Mnóstwo błyszczących kryształów okrywało jej ściany i sklepienie, odbijając brylantowym połyskiem światło mej lampki. Dno jaskini było suche i pokryte krzemienistym żwirem, nigdzie nie było śladu wilgoci ani jadowitych zwierząt, a powietrze, pomimo zamknięcia, dość czyste.

Wązki wchód i ciemność, panująca wewnątrz, zmniejszały piękność tej jaskini, lecz dla mnie była to właśnie okoliczność bardzo przydatna, gdyż zyskiwałem przepyszną kryjówkę, w której w razie najazdu dzikich mogłem znaleść najwyborniejsze schronienie. Postanowiłem więc dotąd poprzenosić wszyst-

kie przedmioty większej wartości, a nie codzień mi potrzebne.

Zniosłem więc część solonego mięsa. mogącego w chłodnej grocie daleko lepiej się przechować, aniżeli w mojej piwnicy. Dalej przeniosłem cały zapas tłuszczu, większą część jęczmienia i kukurydzy, oraz nieco soli. Naznosiłem także sporo suchych gałęzi, aby w razie dłuższego przebywania w grocie, niebyć zmuszonym do wychodzenia z niej do zbierania opału.

Teraz byłem pewny, że chociażby nawet dzicy wyśledzili mój zamek i uwzięli się mnie schwytać, to nie zdołaliby jednak wyszpiegować tej kryjówki, a chociażby ją odkryli, to nie będą śmieli zapuścić się otworem wązkim, gdziebym ich mógł z łatwością dzidą pozabijać.

Burza niespodziewana — huk dział — okręt na morzu — noc przepędzona na strażnicy — ogień sygnałowy — poranek — wyprawa na statek — pogrzeb topielców — pies — niezmierne skarby — budowa tratwy — szczęśliwy powrót.

Nie będę czytelników nudził szczegółowem opisywanem żniwa, zbiorów, przygotowań na zimę, ani też przepędzeniem piątej rocznicy mego rozbicia się, gdyż wszystko szło swoim trybem, jak zwykle, bez najmniejszej odmiany. Przez następne dwa lata nic ważnego nie zaszło w mem życiu, a chociaż przykro mi było przepędzać naj-

piękniejszy czas życia w opuszczeniu na bezludnej wyspie, jednak z pokorą znosiłem mój los, powierzając przyszłość Bogu.

Przez ten czas lasek, zasadzony dokoła groty, rozrósł się nadzwyczaj krzaczasto: nasiona lian, naniesione tu wiatrem, powikłały się około krzewów i utworzyły tak nieprzebyte zarośle, że prócz krętej ścieżki, mnie tylko wiadomej, niepodobieństwem było bez pomocy topora przedrzeć się przez gąszcz. Byłem więc doskonale zabezpieczony od napadu dzikich, nie licząc jeszcze koźlej jaskini, jak ją nazywałem, która stanowiła ostateczną kryjówkę.

Jednak wkrótce zaszedł nadzwyczaj ważny wypadek.

W nocy z dnia 30 na 31 lipca 1670 roku, w porze zwykle pogodnej, niesłychanym wypadkiem zerwała się szalona burza. Błyskawice co chwila rozdzierały niebo, gromy prawie nie ustawały. Cały następny dzień i noc huczała nawałnica bez przerwy. Wbiłem sobie w głowę, że niezawodnie znowu będzie trzęsienie ziemi, a lękając się zginąć pod gruzami jaskini, wyniosłem się do stajenki pomiędzy kozy, które wystraszone burzą, tuliły się do mnie. Około północy deszcz ustał, tylko wicher dął dalej z niepohamowaną gwałtownością.

W parę godzin później, nie mogąc spać dla przeraźliwego świstu wichru, usłyszałem nagły huk, zupełnie podobny do wystrzału z działa. Zerwałem się na równe nogi; nie

był to piorun, gdyż łoskot urwał się od razu. Czyżby to grom podziemny, zwiastujący trzęsienie, czy też... o Boże!... wystrzał armatni?

Dziwne uczucia wstrząsnęły całą moją istotą. Wyskoczyłem co żywo ze stajenki i pomimo ciemności i wichru, wdarłem się na szczyt mojej strażnicy, spoglądając z biciem serca ku morzu. Ledwie że stanąłem na szczycie, kiedy czerwony błysk rozdarł ciemności i drugi raz huk odbił się o nadbrzeżne skały. Widziałem wyraźny blask na morzu, nieco opodal od miejsca, gdzie się nasz okręt rozbił. Widocznie był to więc okręt, wzywający ratunku.

– Okręt! okręt!...

— O Boże! po siedmiu latach samotności, okręt i to tak blizko!...

Pomimo nadzwyczajnego wzruszenia, zostało mi tyle przytomności, żem zapragnął jaki taki nieszczęśliwym żeglarzom dać ratunek. Nie mogąc popłynąć ku okrętowi, starałem się przynajmniej innym sposobem dopomódz i to przez rozpalenie ognia. Wprawdzie wicher dął przeraźliwie, ale udało mi się wreszcie rozdmuchać płomień. Naniósłszy kilka pęków suchego chrustu z jaskini, rzuciłem go na ogień. Widać, iż ujrzano go z okrętu, albowiem kilka strzałów działowych w krótkich przerwach dało się słyszeć. Całą noc siedziałem na strażnicy, dokładając drzewa. Jeszcze parę razy huk się powtórzył, lecz wkońcu wszystko całkiem ucichło.

Ranek zajaśniał śliczny, wicher całkiem ustał. Z największą niecierpliwością oczekiwałem zupełnego rozwidnienia, mając wzrok wlepiony w miejsce, zkąd mnie w nocy dochodził odgłos dział.

W oddaleniu na morzu ujrzałem jakiś niewyraźny, czerniący się przedmiot. Byłżeby to okręt? lub jego kadłub tylko? Przez parę godzin wpatrywałem się weń bez przerwy, ale nie poruszył się wcale z miejsca. Zapewne osiadł na mieliźnie, lub wpadł na haki podwodne, a może też stał na kotwicy.

Pochwyciłem łuk, strzały i dzidę i pobiegłem ku południowemu przylądkowi, z poza którego widać było statek. Przybywszy nad brzeg, spostrzegłem rzeczywiście kadłub skołatanego okrętu. Pewnie wicher wczorajszy rzucił go na przybrzeżne skały; znajdował się prawie w tem samem miejscu, gdzie nasz okręt przed siedmiu laty uległ rozbiciu, na tychże nieszczęsnych co i my utkwił rafach.

Statek ten dał mi wiele do myślenia, mianowicie też że na pokładzie jego żywego ducha widać nie było. Niezawodnie osada, pomimo ognia roznieconego przezemnie, nie mogła w ciemności znaleść wśród tylu skał drogi do brzegu, a natrafiwszy na silny prąd, porwaną została na pełne morze. W tym razie zguba ich była nieuchronną i z pewnością morze pochłonęło ich łódź jak niegdyś naszą. Ale może który z rozbitków błądzi jeszcze gdzieś po wyspie, szukając

schronienia. O z jakąż radością podzieliłbym się wszystkiemi bogactwami z towarzyszem mojej niedoli... Nakoniec i to być mogło, że inny jaki okręt, słysząc odgłos strzałów, dawanych na trwogę, podpłynął ku rozbitemu statkowi i osadę zabrał na swój pokład. W każdym przecie razie byłem przekonany, że na okręcie niema nikogo.

Cokolwiekbądź się stało, zawsze biedni ludzie, składający osadę, godni byli pożałowania. O jakżem powinien być wzdzięcznym Panu Bogu Wszechmocnemu, który mnie łaską swoją cudownie ocalił, podczas gdy z obu okrętów rozbitych ani jeden człowiek nie zdołał się wyratować. Nie umiałem znaleść słów, aby wyrazić uczucie, jakie mnie ogarnęło na widok tego zgruchotanego okrętu.

— Ach Boże, tak dobrym dla mnie okazałeś się Ojcem, o spraw Panie, abym w zamian za Twe dobrodziejstwa choć jednego nieszczęśliwego mógł wyratować. Przez długi czas pobytu mego na wyspie w opuszczeniu i samotności, nigdy tak ciężkiej nie doznawałem tęsknoty, jak w tej chwili. Zdawało mi się, że już dłużej sam na wyspie żyć nie potrafię.

Przychodzą czasem człowiekowi jakieś dziwne urojenia, budzą się długo uśpione popędy namiętności, najmniejszy powód, widok jakiegoś przedmiotu, rozgrzewa wyobraźnię i zdaje się wtedy, że już nie można żyć bez tego, czego się pożądało. Czyż Bóg

chce, ażebym tu żył sam jeden, a wymawiając kilkakrotnie te słowa, załamywałem ręce, zaciskałem je kurczowo i ścinałem zęby tak silnie, iż zdawało się, że szczęk nie zdołam otworzyć.

Nagle przyszła mi myśl, ażeby się jakimkolwiek sposobem dostać do okrętu. Nie tylko mogłem ocalić kogoś z osady, jeżeli się jeszcze znajduje na statku, ale tysiące przedmiotów bardzo mi przydatnych i użytecznych wydobyć z niego. Żądza ta dostania się na pokład, stała się tak gwałtowną, iż uważając ją za natchnienie Boże, postanowiłem bez odwłoki myśl tę wykonać.

Było to właśnie około południa, morze tak dalece odpłynęło od brzegu, że znaczny kawał przeszedłszy w pław, nie byłem więcej jak o sto kroków oddalony od statku. Skoro zaś straciłem grunt pod nogami, wówczas zacząłem płynąć i wkrótce dostałem się do okrętu. Opłynąłem go dwukrotnie wkoło, lecz nie znalazłem nic takiego, czegoby się uchwycić można dla wdrapania się na pokład. Nareszcie ujrzałem koniec liny, którego w pierwszem wzruszeniu nie dostrzegłem. Unosił się z przodu okrętu ponad wodą tak nizko, że go można było dosięgnąć; złapawszy się rękami, przy pomocy liny dostałem się nakoniec na wierzch i aż podskoczyłem z radości, że mi się udało tego dokonać.

Był to piękny statek kupiecki o dwóch masztach, obecnie zdruzgotanych, pochodze-

nia, jak zauważyłem z budowy, portugalskiego. Rzucony na ławicę piaskową, przechylił się tak mocno naprzód, iż przód jego zaledwie na sążeń wystawał z wody, podczas gdy tył kilkanaście stóp wzniósł się w górę.

Od wczorajszego wieczora zajęty okrętem, nie pomyślałem nawet o jedzeniu, lecz w tej chwili tak mi głód dokuczał, że zamiast szukać, czy nie znajdę na statku choćby jednego człowieka, poskoczyłem do śpiżarni okrętowej. Jakiż widok czarowny: tu beczki sucharów, tam słonina, szynki, dalej kawa, kakao, cukier, mąka, suszone owoce, ryż, sago, masło, sery, powidła, groch i rozmaite korzenie. Dalej były w drugiej przegrodzie: wino, wódka, rum, ocet, ryby marynowane, śledzie, łosoś wędzony, opodal zaś żyto, jęczmień, pszenica. Czegóż tam nie było!...

Odurzony widokiem tylu przysmaków, których od siedmiu lat nie kosztowałem, usiadłem na ławie, prawie zapominając o apetycie; lecz wkrótce żołądek zaczął domagać się praw swoich. Kawał suchara i szynki, pokropione kieliszkiem wina, znikły jakby w przepaści. Pokrzepiony przepyszną zakąską, zjadłszy nieco sera holenderskiego, poszedłem na dalsze zwiady.

Pierwszym przedmiotem, jaki ujrzałem, było dwóch utopionych majtków, którzy snadź szukając ratunku w wódce, spadli na dno okrętu, gdzie się już sporo wody nabrało. Łatwo poznałem przyczynę ich śmierci, po-

nieważ leżeli zatopieni przednią częścią ciała w wodzie. Gdyby byli mieli przytomność, byliby się zapewne wyratowali.

— Zanim rozpoczniesz grabież — rzekłem do siebie — należy wprzód wykonać uczynek miłosierny i pochować tych biedaków. Obwinąłem ich w płótno żaglowe, opasałem sznurem, a do nóg przyczepiwszy kule armatnie, spuściłem w morze. Potem uklęknąwszy na pokładzie, zmówiłem pacierz za spokój duszy tych nieszczęśliwych.

— Teraz dalej do przeglądania, co mi się przydać może...

— A czy masz prawo zabierać cudzą własność? zapytał głos sumienia.

— Niezawodnie, że mam — odpowiedziałem sam sobie — wszak i tak morze rozwali za pierwszą nawałnicą statek, a więc lepiej że ja zabiorę, aniżeli gdyby te skarby miały pochłonąć bałwany morskie.

— A więc do dzieła, nie traćmy czasu, bo któż wie, jak długo potrwa pogoda, trzeba więc z niej korzystać.

Poszedłem naprzód do kajuty kapitana i zaledwie dotknąłem klamki, kiedy nagle dało się słyszeć szczekanie i skomlenie psa. Ach wierzcie mi, kochani czytelnicy, że najpiękniejsza muzyka w świecie nie sprawiłaby mi takiej przyjemności, jak głos tego poczciwego i wiernego zwierzęcia. Otworzyłem drzwi, a wraz czarny i duży pies poskoczył ku mnie radośnie i kręcąc ogonem łasić się począł. Pogłaskałem go i rzuciłem mu

kawałek pozostałego suchara, który z wielkim apetytem pochłonął.

Napróżno szukałem papierów i dziennika okrętowego, nic z tego nie znalazłem; zapewne uchodzący zabrali je z sobą. W kajucie kapitana wisiała prześliczna broń: dwie strzelby, para pistoletów, kordelas, róg z prochem i worek z kulami. Widok ten zachwycił mnie, gdyż już od siedmiu lat obchodziłem się nędznym łukiem. Pochwyciwszy pistolety, otworzyłem okienko i wypaliłem, aby przypomnieć sobie huk i użycie broni.

— Ho! ho! panowie ludożercy, teraz was się już wcale nie lękam, proszę mnie unikać, bo żartować nie myślę i za piewszą sposobnością nauczę was gwizdać po kościele.

Stąd pobiegłem do zakątka, gdzie cieśla okrętowy zwykł chować swe narzędzia. O Boże! znalazłem tam siekiery, piły, młoty, gwoździe dłuto, obcęgi. Cóż to za skarby, co za skarby nieocenione!

— Ależ mój kochaneczku! — zawołałem — zastanów się nieco, jak zaczniesz wszystko oglądać, to cię tu i noc zaskoczy, burza się zerwie i jak skąpiec ze skarbami pójdziesz na pokarm rekinom. Dalej do pracy, zimna krew przedewszystkiem! Rzeczy użytecznych jest mnóstwo, lecz ich pod pachę nie zabierzesz i nie popłyniesz wpław z takim ciężarem; namyśl się więc, jak to wszysko przetransportować na wyspę.

Ktoby z boku na mnie patrzał, niechybnie wziąłby mnie za waryata, gdyż ciągle

sam z sobą w głos rozmawiałem, bo też radość tak przepełniała moją duszę, żem się musiał wygadać i chociaż tym sposobem ulżyć niejako wezbranym uczuciom.

— Czołna ani szalupy niema, jakże więc sobie bez nich poradzę?

— Zbuduj tratwę, a obejdziesz się bez łodzi.

— Zapragnął bym to zrobić, tylko, że niema potrzebnego materyału na podorędziu.

— Są drzwi, ławy stoły i mnóstwo innych drewnianych sprzętów, czegóż się więc namyślasz?

Natychmiast zabrałem się do roboty: zbiłem dwie ławy poprzeczną łatą, potem dołożyłem parę rei leżących w składzie, przyczepiłem do tego innych desek, lecz wkrótce poznałem całą niestosowność tej roboty: tratwa była gotowa. ale nie tylko nie mogłem spuścić na morze, ale nawet z miejsca poruszyć, gdyż była zbyt ciężka.

— Oj ty cielęca głowo, straciłeś nadaremno całą godzinę czasu, rozbierz że to napowrót, wszak widzisz, że trzeba zbijać tratwę na wodzie!

Szczęściem morze było spokojne. Strąciłem więc naprzód dwie belki, związane poprzecznemi łatami, a potem inne kawałki drzewa. Spuściwszy się po drabinie sznurowej na ten pomost, poprzybijałem wielkimi gwoździami żerdzie, pokładłem na nich deski, i po dwóch godzinach pracy zrobiłem nareszcie dosyć mocną tratwę, którą przywią-

załem do szczątków steru, aby mi jej woda nie zabrała.

Tratwa mogła unieść mnie i kilka centnarów ciężaru, trzeba tylko było wybrać najpożyteczniejsze rzeczy. Zabrałem więc naprzód topór, dwie siekiery, duży nóż, młot, piłę, skrzynkę gwoździ i świder; następnie dwie strzelby z kajuty kapitana, kordelas, dwa pałasze, pistolety — baryłkę prochu, mo-



gącą zawierać około pięćdziesięciu funtów, i worek kul. Wreszcie wziąłem trzy sery holenderskie, worek sucharów, kawał wędzonki, słoninę, nieco ryżu, grochu, kociółek i dwa rondelki. Więcej brać nie było można, boby tratwa nie zdołała unieść ciężaru.

Pies, zaszczekawszy radośnie, wskoczył za mną na płytę.

Poleciwszy się Bogu, odbiłem od okrętu, a ponieważ właśnie przypływ morski pędził fale ku brzegowi, zatem w krótkim czasie dostałem się do lądu. Do zachodu słońca było wprawdzie jeszcze parę godzin, lecz nie odważyłem się płynąć do okrętu drugi raz.

XXXI.

Mój dwór — nowa wycieczka — bielizna — rozmaite narzędzia — namiot — złoto i srebro bez wartości — Pismo święte — błoga przepowiednia — działo i kule.

Co się ze mną za powrotem działo, tego opisać nie umiem. Z bijącem sercem przypatrywałem się zdobytym skarbom, brałem jedno po drugiem do ręki, nie mogąc się dość nacieszyć, nie mogąc uwierzyć, że to wszystko mnie należało...

Poprzenosiwszy wszystko tegoż samego dnia jeszcze do jaskini, doznałem nowego kłopotu: gdzie to umieścić, gdzie pochować. Czy nie lepiej byłoby zanieść rzeczy do koźlej jaskini, dla zabezpieczenia przed Karaibami? ale na co? czyż nie mam straszliwej broni na ich odparcie!

Wieczerza tego dnia odbyła się z wielką uroczystością. Zasiadłem na krześle jak monarcha licznym otoczony dworem. Grochówka, ugotowana na wędzonce, kurzyła się na stole,

wydając przyjemny zapach. Na ramieniu usiadła papuga, zajadając kawałki cukru, które jej podawałem; z jednej strony służył mi Amigo (tak bowiem nazwałem pudla, a znaczy to po hiszpańsku »przyjaciel«) z drugiej ulubiona koza szarpała mnie pyszczkiem za rękaw, domagając się swego działu.

Miałem tysiąc rozrywek z mymi dworzanami: pies z początku stoczył bójkę z kozą, lecz otrzymawszy od niej tęgiego szturchańca, uznał za stosowniejsze zawrzeć pokój. Papuga wrzeszczała przeraźliwie za każdym kąskiem, który psu podawałem, gdyż zazdrościła mu moich względów. W parę dni potem nastał pokój zupełny, a gdyby ktoś z boku przypatrzył się biednemu pustelnikowi, dzielącemu ze swemi zwierzętami posiłek, nie zdołałby się pewnie wstrzymać od śmiechu.

Uniesiony radością, ściskałem i całowałem naprzemian to pudla, to kozę. Jakto biedne serce ludzkie potrzebuje jakiegoś przywiązania i obejść się bez niego nie może! Wprzód mało na to zważałem, lecz dziś, w chwili pierwszej pociechy, po tylu latach dusza moja pod wrażeniami radości topniała, łzy dobywały się z oczu i czułem konieczną potrzebę okazania mych uczuć i na zewnątrz.

Udałem się bardzo późno na spoczynek, lecz przedtem upadłem na kolana i gorąco podziękowałem Bogu za wszystko, co dziś z łaski jego otrzymałem.

Noc przepędziłem bardzo niespokojnie, budząc się co chwila i nie mogąc doczekać się poranku. Nareszcie weszło wspaniale upragnione słońce, zapowiadając najpiękniejszą pogodę. Ucieszyło mnie to niezmiernie, gdyż mogłem bezpiecznie przedsięwziąć nową wycieczkę do okrętu.

Przybywszy nad brzeg morski, zastałem tratwę przywiązaną do drzewa: natychmiast korzystając z odpływu morza, odbiłem od brzegu i dostałem się szczęśliwie do okrętu. Tym razem wziąłem ze skrzyni paczkę haków i gwoździ, tuzin siekier, dwie kielnie, wielki świder, trzy topory, kilka hebli i duży kamień z piaskowca do ostrzenia narzędzi. Potem przeszukawszy zbrojownię, wydobyłem dziesięć muszkietów, tuzin pałaszy i pik, dwie baryłki, napełnione kulami muszkietowemi, baryłkę z prochem i kilka łokci lontu, to jest powrozu, wygotowanego w roztworze saletry, a służącego do zapalania armat. Mógł on mi się bardzo przydać, zamiast hubki przy krzesaniu ognia. Następnie udałem się do kajuty kapitana. Tam w skrzyniach i kufrach znalazłem rzecz nieocenionej wartości... bieliznę.

Zapominając o wszystkiem, rozebrałem się i natychmiast wskoczyłem w morze, a wykąpawszy się dobrze, włożyłem na siebie świeżą bieliznę. Kto jej nie nosił przez siedm lat blisko, ten tylko potrafi ocenić przyjemność, jakiej doznałem, uczuwszy ją na ciele. Zaraz potem wybrałem kilka

skrzyń, parę tuzinów koszul i innego ubrania, prześcieradła, hamak, poduszkę, siennik i kołdry. Zrobiwszy ze wszystkiego spory tłomok, spuściłem go na tratwę; kilka pęków sznurów i centnar mydła dopełniły ładunku, z którym szczęśliwie wylądowałem na mej wyspie.

Chcąc zrobić dzisiaj jeszcze drugą wycieczkę, nie znosiłem rzeczy do domu, lecz zostawiłem je na brzegu, przykrywszy je dużym żaglem. Na obiad zjadłem suchar z kawałkiem wędliny, a nie wypoczywając wcale, pożeglowałem znowu ku okrętowi. Czas był dla mnie bardzo kosztownym, gdyż lada wicher mógł statek całkowicie zatopić.

Gdym po południu przybył na pokład, zebrałem suknie, należące do rozmaitych osób; nie przebierałem w nich wcale, lecz co się znalazło pod ręką, spuszczałem na tratwę. W składzie okrętowym znalazłem także duży krąg wosku i beczułkę oleju.

— No, teraz nie zabraknie mi już światła — zawołałem z radością.

Wziąłem także kilka próżnych beczek i pak, bo i te miały dla mnie wartość nie małą, zastępując kosze używane dotąd do przechowywania żywności i innych rzeczy.

Wylądowawszy, rozbiłem przy pomocy żagla, sznurów i kółków ponad memi rzeczami namiot i postanowiłem przepędzić noc na brzegu, aby jutro oszczędzić sobie drogi od jaskini nad morze.

Noc była prześliczna, gwiazdy jaskrawo świeciły, a ja pod namiotem rozciągałem się wygodnie na materacu; mając pod głową poduszkę, a przykryty kołdrą, używałem przyjemności jak jaki wschodni monarcha.

Przebudziwszy się przed wschodem słońca, postanowiłem wpław popłynąć do okrętu, a to dlatego, aby zbudować nową tratwę



i tym sposobem mieć więcej drzewa. Przy zbijaniu pierwszej nabrałem nieco wprawy, a morze zupełnie spokojne nie przeszkadzało mi wcale w wykonaniu tej roboty.

Pierwszem więc zatrudnieniem mojem za przybyciem na pokład, było wyrzucenie

dwóch belek na wodę, ma się rozumieć przywiązanych sznurami, aby ich fale nie uniosły. Pomiędzy nie narzucałem łat i desek i wkrótce tratwa była gotowa.

Przebrałem się zaraz w suknie europejskie, gdyż w moich dawnych szatach było mi przy tej ciężkiej pracy za gorąco. Kiedym się przejrzał w lustrze, doznałem dziwnego wrażenia. Wprawdzie już nieraz przeglądałem się w strumieniu, ale bywało to raczej przypadkowo, aniżeli z umysłu. O jakżem się przez te siedm lat odmienił! Cera niegdyś delikatna, młodzieńcza, zgrubiała; opalona skóra stała się brunatną, podobną do indyjskiej, broda i wąsy okryły mi twarz, a długie włosy spadały w nieładzie na ramiona.

— O mój Robinzonku, jakże się nieboraku zestarzałeś! Rodzice nie poznaliby cię wcale; z młodego chłopca zostałeś dojrzałym mężczyzną, a kłopoty, troski, zmartwienia i niewygody niemało się do tego przyczyniły.

Wyżaliwszy się tak przez chwilę, powróciłem do pracy, bo już nadchodził czas przypływu i trzeba było z niego korzystać. Wyładowana tratwa zanurzała się dość głęboko, gdyż kilka kręgów ołowiu, które wraz z maszynką do lania kul z sobą zabrałem, przyczyniły nie mało ciężaru.

Płynąc ku brzegowi, rozśmiałem się mimowolnie, patrząc na zapas broni i prochu,

których najwięcej zabrałem. Przestrach był tego powodem: zdawało mi się bowiem, że chcę prowadzić wojnę z całą ludnością karaibską.

Po południu odbyłem nową podróż; okręt przez burzę znacznie ucierpiał, gdyż dużo towarów było już zepsutych. W składzie na dole było kilka dużych beczek z winem, lecz tak ciężkich, że ich z miejsca poruszyć nie mogłem. Zresztą nie ubiegałem się wcale za napojami gorącemi i wziąłem tylko jedną baryłkę wina, ażeby w razie choroby mieć jakiś ratunek.

Pomiędzy mnóstwem różnych rzeczy zabrałem łopatkę do węgli, takież szczypce, pogrzebacz i parę drągów żelaznych. Lecz co mnie najbardziej zachwyciło, to kilkanaście łopat, żelazem okutych, które mi do uprawy roli bardzo przydać się mogły; niemniej kilkanaście niewielkich radełek, przeznaczonych zapewne do oborywania trzciny cukrowej. Zabrałem także duży miedziany kociół, maszynkę do czekolady i newiuteńkie żarna, dosyć duże; nakoniec ruszt wielki i znaczny zapas wędek rozmaitego gatunku. Już miałem odpływać, kiedy żałośne miauczenie dało się słyszeć z pod pokładu. Zbiegłem na dół po schodach i znalazłem dwa koty, bardzo wychudłe od głodu! Rzuciłem im kawał słoniny, którą chciwie pożarły; wprawdzie zwierzęta te nie były mi na nic pożyteczne, lecz litość przemogła; zabrałem je na tratwę, czego potem bardzo żałowałem,

bo rozmnożywszy się robiły mi różne psoty, tak, że je musiałem ostatecznie wystrzelać.

Noc przepędziłem znów pod namiotem, uzbrojony pistoletami i strzelbą; pies leżał przy moich nogach, nie było więc obawy, aby mnie wróg jaki zaszedł niespodzianie.

Następnego poranku, dopłynąwszy znów wpław do okrętu, zbudowałem nową tratwę. Oprócz innych użytecznych rzeczy, zebrałem kilka garnków z konfiturami, kilkanaście chustek do nosa, chustki na szyję, a nakoniec duży zegar okrętowy. Rewidując wszystko z pilnością, napotkałem pod łóżkiem kapitana tajną kryjówkę, w której była znaczna suma pieniędzy.

Cóż mi po was! – zawołałem z niechęcią, ujrzawszy pieniądze — wszak od siedmiu lat posiadam garść złota, a dotąd nie miałem z niego najmniejszego użytku. W samej rzeczy chciałem już pozostawić ów skarb nietkniętym, ale myśl, że może kiedyś znajdzie się jego właściciel, nakłoniła mnie do zabrania.

Policzyłem, pieniądze, które były hiszpańskie i portugalskie i to w tak znacznej ilości, że ważyły przeszło centnar. Z trudnością wywindowałem ową szkatułę z pod łóżka, ale pieniądze musiałem rozdzielić, bojąc się naraz spuszczać je na tratwę.

Jednej tylko rzeczy nie dostawało, to jest obuwia: zaledwie po starannem szukaniu udało mi się zgromadzić kilka par używanych już trzewików, pozostałych po maj-

tkach, i w nie najlepszym będących stanie. Pończoch za to znalazłem znaczny zapas i parę dobrych dalekowidzów.

Otworzywszy szafkę kapitana, znalazłem w niej sporo papieru, pióra i atrament; tak mnie to ucieszyło, że natychmiast pochwyciłem za pióro, próbując, czy też nie zapomniałem już pisać. Ale łzy spadające na papier zalały pierwsze litery. I znowu upadłem na kolana, dziękując Bogu za to odkrycie. Przeglądając dalej napotkałem kilka książek w pergaminowej oprawie. Jedna z nich grubsza zwróciła moją uwagę: otwieram... i nie wierzę mym oczom... O Boże! wszak to biblia... Pismo święte, za którem od dawna tak wzdychałem. Był to zdrój pociechy i źródło ulgi dla biednego, opuszczonego samotnika. Otworzyłem ją, a pierwsze wyrazy, na które padły me oczy, były to pocieszające słowa:

»Tedy wywiedzie cię Pan Bóg twój z więzienia twego i zmiłuje się nad tobą«.

Głośny płacz z łkaniem przerwał dalsze czytanie; przez kilka minut nie mogłem przyjść do siebie, bo też pierwszy wiersz księgi świętej zwiastował mi niewymowną pociechę i stósował się zupełnie do położenia mojego.

Ochłonąwszy z tego wrażenia, zabrałem biblię jako skarb największy i umieściłem ją na środku tratwy; gdyż bałem się, aby przypadkiem nie wywróciła się i aby Pismo Swięte mi nie przepadło. Toż samo uczyni-

łem z papierem i atramentem. Oprócz tego znalazłem kilka paczek dobrych piór, trzy scyzoryki, korkociąg, wielki nóż hiszpański, który służy zarówno na polowaniu jak i w przebywaniu lasów gęstych do wycinania w nich potrzebnych przejść. Dwie piłki ręczne ogrodnicze, nóż zakrzywiony do obcinania dolnych łodyg czyli tak zwanych wilków oraz nożyce na kiju przymocowane do obcinania owoców na drzewach, dalej młynek i piecyk do kawy, denarek pod kocioł, wielką żelazną łyżkę do lania kul, kilka sit rozmaitej grubości, kowadło, kilka młotów, cęgi, miech i pilniki z okrętowej kuźni. Wyrwałem także drzwiczki z kuchni i pozdejmowałem blachy, zamyślając wystawić w mej jaskini piec do gotowania.

Nareszcie zabrałem zapas nożów, widelców i mis, bo chociaż miałem te ostatnie, ale zgrabny wyrób europejski miał dla mnie daleko więcej powabu, aniżeli moje liche kleconki. W kufrze kapitańskim znalazłem jeszcze kilka funtów śrutu różnego kalibru i blaszankę, zawierającą parę kwart przepysznego prochu, z czego wniosłem, że musiał być miłośnikiem polowania.

W następujących wycieczkach przewiozłem jeszcze dwie skrzynie pięknego cukru parę worów kawy, dwa pudełka rodzynków, beczkę przedniej mąki i drugą ryżu, wreszcie wszystkie suchary i wędliny, zapasowe żagle, sznury i liny, niewielką kotwicę od

szalupy, szczotki, sztaby żelaza, moździerz, kilkanaście płyt blachy. Powyjmowałem też okna z kajuty, wziąłem łańcuch, mały kompas, lusterko, nożyczki i igły oraz wszystko płótno, jakie gdziekolwiek dało się wynaleść. Powydobywałem nawet ze ścian gwoździe i haki, zabrałem wszystek ołów i proch, nie pogardzając nawet baryłką zamoczonego; nakoniec paręset flaszek próżnych, nie wiedząc nawet, na coby mi się przydać mogły.

Zdawało się, że już pozabierałem wszystko, cokolwiek mogło mieć jakąkolwiek wartość, a przeglądając jeszcze raz skrzynie i skrzynki podróżnych, znalazłem nieco bielizny i zbiór różnej monety. Nakoniec, patrząc na działa okrętowe, umyśliłem zabrać chociażby jedno dla dawania sygnałów, w przypadku, gdyby mi się udało ujrzeć w odległości przybywający jakikolwiek okręt.

Bardzo wiele trudów kosztowało mnie spuszczenie działa na tratwę, którą powiązałem umyślnie z grubych belek. Na szczęście winda do wciągania towarów do tego dała się użyć; nierównie łatwiej poszło z trzema małemi armatkami. Wziąłem także lawety od wszystkich czterech sztuk, a nadto kilkadziesiąt kul sześcio-funtowych i paręset kulek od małych działek, zwanych falkonetami.

XXXII.

Zabezpieczenie zdobyczy — palisady — kuchnia i kuźnia — rocznica uroczystości domowej — budowa czółna — opuszczam wyspę — prąd morski — niebezpieczeństwa — głos ludzki budzi mnie z uśpienia.

Wylądowawszy szczęśliwie, postanowiłem nie wracać już do okrętu, chyba po przeniesieniu wszystkiego w bezpieczne miejsce. Przychodziło mi bowiem na myśl, że jeżeli dzicy z sąsiedniego lądu w istocie przybijają niekiedy do mojej wyspy, to obecnie znęceni widokiem okrętu, mogliby się skierować w tę stronę, a zobaczywszy na brzegu takie mnóstwo pak, napadliby mnie i zrabowali. Powtóre na okręcie nic już nie było godnego zrabowania, a wreszcie lada burza mogła zniszczyć zupełnie owoce mojej pracy, zamoczywszy proch, cukier, mąkę i suchary.

Przypuszczenie to przejęło mnie dreszczem, więc natychmiast zacząłem przenosić rzeczy do jaskini, ale niektóre były tak ciężkie, że podźwignąć ich nie mogłem, chociaż z okrętu na tratwę zapomocą windy je spuszczałem. Przyszło mi na myśl urządzić wózek, co poszło bardzo łatwo. Użyłem do tego lawet od falkonetów i w ciągu ośmiu dni poprzewoziłem wszystko pod okopy mego zamku. Ażeby zaś niespodzianie nie zaskoczyła mnie ulewa, rozpiąłem ogromny namiot z wielkiego żagla zapasowego. Ostróżność ta nie wyszła mi na złe, albowiem dziewią-

tej nocy powstała znowu burza, połączona z deszczem i piorunami.

Nie lękałem się o przedmioty ulegające zepsuciu od wody, gdyż wszystkie znajdowały się w jaskini, ale kiedy piorun zgruchotał niezbyt odległe drzewo, ogarnęła mnie straszliwa trwoga. Przypomniałem sobie, że tuż obok mnie znajduje się blizko do czterechset funtów prochu; gdyby piorun weń uderzył, wyleciałbym w powietrze z całą jaskinią. Klęcząc i modląc się, przepędziłem resztę nocy na kolanach, drżąc za każdą błyskawicą i polecając się Bogu. Nakoniec nad ranem burza uspokoiła się i piękna zajaśniała pogoda, ale mimo to przez długi czas nie mogłem przyjść do siebie z przerażenia.

Po śniadaniu umyśliłem przenieść proch do koźlej jaskini; ażeby nie zamokł, pakowałem go w próżne flaszki, przywiezione z okrętu. Potem biorąc po kilkanaście do kosza, niosłem do mojego skalistego magazynu, umieszczając je w brylantowej grocie, to jest w drugiej jaskini. Zostawiłem sobie tylko do użycia z dziesięć funtów prochu, zakopanego w ziemi w butelkach.

Do jaskini zaniosłem znaczną część innych zapasów i narzędzi, aby w razie napadu dzikich i niepomyślnego obrotu walki mieć pewność, że nie utracę mych skarbów, chociażbym był zmuszony uciekać.

Duże działo wywindowałem przy pomocy kółek od falkonetów odjętych i lin, na

strażnicę, tam je przymocowałem na lawetach częściowo przenoszonych, a wreszcie przykryłem budką z desek, aby je zabezpieczyć od deszczów. Wylot skierowałem ku morzu, aby, gdy nadejdzie potrzeba dawania sygnałów okrętom, odgłos szedł w tamtą stonę.

Mając teraz znaczny zapas broni i amunicyi, a mianowicie narzędzi ciesielskich, umyśliłem obwieść mój zamek palisadą. (Palisadą lub ostrokołem nazywają się gęsto rzędami bite zaostrzone pale, dla utrudniania nieprzyjacielowi przystępu do fortecy. Przyj.). Zaopatrzony w siekierę i piłę, poszedłem w towarzystwie psa do lasu na ścinanie drzew. Wybierałem na ostrokół drzewa średnicy sześć lub siedmu cali, a naciąwszy pień z boku, piłowałem do reszty; potem po obydwóch końcach zaostrzałem toporem, Pale te były długie na trzy sążnie, ładowałem ich po kilka na wózek i transportowałem do siebie. Pomimo usilnej pracy z wyjątkiem świąt, zaledwie w sześciu tygodniach przysposobiłem około dwustu sztuk i teraz mogłem przystąpić do palisadowania.

Wykopawszy rów odległości dwóch sążni dokoła muru, ustawiłem pale jeden przy drugim, a potem obrzuciwszy je kamieniami, przysypywałem ziemią. Tym sposobem utworzył się gęsty ostrokół, wysoki na dwa sążnie. Zostawiłem w nim co kilka łokci otwór czyli strzelnicę do ręcznej broni, falkonety zaś umieściłem na trzech wyskaku-

jacych kątach, obwód bowiem miał kształt pięciokąta z szeroką podstawą, którą tworzyła jaskinia.

Po ukończeniu tej pracy, byłem zupełnie zabezpieczony od nieprzyjaciela, chociażby nawet w bardzo przeważnej liczbie podstąpił pod mój zamek.



Ponieważ pora deszczowa wkrótce miała się rozpocząć, a ja wciąż zajęty to sprowadzaniem rzeczy z okrętu, to zwożeniem ich, to wreszcie palisadowaniem zamku, nie mogłem wcale myśleć o uprawie roli i zasiewach, więc mając wolny czas, postanowiłem postawić sobie kuchnię i kuźnię.

Na cegłę trzeba było kopać glinę. Jakże mi to teraz poszło łatwo przy pomocy doskonałych łopat, kiedy dawniej pociłem się,

grzebiąc dzidą i motyką. Nakopawszy jej znaczny zapas, wyrabiałem cegłę w formie, zrobionej z desek. Miałem ich dość, pozbierawszy różne przegrody okrętowe i zabrawszy niemało pak różnej wielkości.

Mając już spory zapas wypalonej cegły, wziąłem się do roboty. W kilku dniach stanęła kuchnia i to w miejscu, gdzie niegdyś był komin do wędzenia mięsa. Zaopatrzyłem ją drzwiczkami i blachą; obok tego wymurowałem ognisko na kuźnię, przyprawiwszy miech z boku. Obie znajdowały się pod dachem z desek.

Trzebaż było widzieć pana Robinzona, jak przepasany fartuchem z żaglowego płótna, gotował obiad. Na blasze stał garnek, w którym gotował się rosół z koziny, zasypany kluseczkami z białej jak śnieg mąki, zagniecionej papuziemi jajami. Obok w rondlu kłębował się plumpuding z ryżu z rodzenkami, w serwecie zawiązany; na patelni smażyła się młoda papuga, a na brytwannie piekł się zajączek, naszpikowany słoninką.

Niezawodnie ciekawym jesteś czytelniku, gdzie się nauczyłem gotować. Trzeba ci wiedzieć, że w młodości byłem wielkim ciekawcem i wścibskim, lubiłem przesiadywać w kuchni i patrzeć, jak gotuje kucharka, więc w ten sposób przyuczyłem się potrosze sam sztuki kucharskiej.

Czy też przypadkiem nie zmarszczysz brwi z gniewu, że dorwawszy się do europejskich przysmaków, zanadto zbytkuję, zapo-

minając o jutrze? Zaraz ci się wytłómaczę, dlaczego dzisiaj wyprawiam taki bankiet.

Jest to dzień 16-go września, rocznica imienin mojej ukochanej matki. Pamiętam, jak ten dzień w domu obchodziliśmy uroczyście za dni szczęśliwych dziecinnej swobody. W dniu tym wszyscy trzej, ubrani w najpiękniejsze sukienki, z bukietami jesiennych kwiatów w ręku, prowadzeni przez ojca, spieszyliśmy winszować matce. Potem modliliśmy się gorąco w kościele za jej zdrowie. Po obiedzie zaś, zwykle wykwintnym, jeżeli pogoda pozwalała, wybieraliśmy się na jaką wycieczkę za miasto. O jakże szczęśliwe były to czasy!... a dziś...

Postanowiłem więc dzień ten przepędzić uroczyście. Rano, nie mogąc winszować matce, pobiegłem do mego kościoła, a ustroiwszy krzyż w kwiaty, długo modliłem się za matkę ze łzami, nie wiedząc, czy jeszcze żyje. A teraz gotowałem zbytkowny obiad i najlepszem winem miałem spełnić jej zdrowie. Cały mój dwór, zaproszony do stołu, dzielił ową ucztę, używając wszystkich potraw zarówno z panem.

Ponieważ dawniejsze zagrodzenie bambusowe nie zasłaniało mnie dobrze od słot jesiennych, przeto sporządziłem szczelną ścianę z desek, w której znajdowały się dwa okienka, wyjęte z kajut okrętowych, i drzwi z zamkiem z kajuty kapitana. Mogłem się teraz zamykać na noc, nie obawiając się niespodziewanego napadu.

Wnętrze jaskini było wybornie zaopatrzone, na klocach leżały deski, na nich stało łóżko z pościelą, obok stół, świeżo zrobiony z desek, a na nim świeca woskowa. Przy stole stało krzesło, nad łóżkiem namiot z żaglowego płótna, a kiedy na kominku buchnął ogień, a drzwi i okna zasłoniłem firanką, można się było rozkoszować i drwić z burzy ryczącej na dworze.

Przejście wiodące przez korytarzyk zagrodziłem także ścianą, aby uchronić się od wyziewów śpiżarnianych. Drugi wychód zatarasowałem tak dobrze, że nikt nie mógłby się tamtędy dostać do jaskini.

Czasem tylko wspomnienie o trzęsieniu ziemi mnie przerażało, ale wspomniawszy na Opatrzność, powierzałem się Jej z ufnością i odzyskiwałem na nowo spokojność.

W zimie dni powszednie schodziły mi na pracy, wieczory zaś i święta na czytaniu Pisma św. Ach ta nieoceniona księga była mi najlepszym towarzyszem i przyjacielem w mej samotności: w niej czerpałem zdrój słodkich pociech w mojem osamotnieniu.

Skoro tylko pierwsze promienie wiosennego słońca zabłysły, wziąłem się natychmiast do uprawy roli. Do radełek, zaopatrzonych w jarzma, pozaprzęgałem kozy. Z początku nie chciały ciągnąć, lecz pręt był wybornym profesorem i nauczył je posłuszeństwa. Za pomocą tego zaprzęgu zorałem tak wielki kawał pola w tygodniu, że łopatą nie dokazałbym tego ani w dwóch

miesiąsach. Podzieliwszy je na części, pozasiewałem pszenicą, grochem, żytem, jęczmieniem, a wreszcie owsem, przeznaczając go dla kóz. Zasiew zawlokłem broną, zrobioną ze szpernali, które na okręcie znalazłem.



Nakoniec zasadziłem kilka garści rodzynków, próbując, czy mi się nie uda wyhodować winorośli.

Po ukończeniu tych robót zostało mi jeszcze parę miesięcy czasu do innnych zatrudnień.

Czemże się teraz zająłem? Jak sądzisz, kochany czytelniku?... oto budową łodzi.

Czy ci tak źle na wyspie, zawołasz wzruszając ramionami; wszak masz wszystkiego

dosyć: pyszne mieszkanie, pełną śpiżarnię, broni i amunicyi podostatkiem. Ileż razy doświadczyłeś niestałości morza, czyż znowu podobnie, jak niegdyś w Brazylii, chcesz popełnić szaleństwo?... Nie lepiej zaczekać, aż ci Bóg zeszle jaki okręt na ratunek?...

Wszystko to prawda, lecz mnie zdawało się inaczej. Sądziłem, że Opatrzność właśnie dlatego zaopatrzyła mnie w różne przyrządy do zbudowania łodzi, ażebym się mógł wyratować z mego położenia.



Wybrawszy stosowne drzewo, rosnące o kilka kroków od głębokiego strumienia, ściąłem je siekierą, a obrobiwszy zewnątrz toporem, zacząłem wypalać środek rozżarzonymi węglami. Kiedy już zagłębienie zdawało mi się dostatecznie wielkiem, począłem

je wyrównywać dłutem i siekierą, poczem zacząłem kopać rów głęboki na cztery, a szeroki na siedm stóp, ale w tem zaskoczyły mnie żniwa. Zbiór w tym roku wypadł bardzo pomyślnie; zebrałem kilkanaście kóp różnego zboża, posługując się zamiast sierpa lub kosy, szablą.

Pałasz ten krzywy, na wzór tureckich, wyostrzyłem z przeciwnej strony na brusku, a przyczepiwszy do kija, używałem jak kosy. To też daleko łatwiej mi było ścinać nim zboże, aniżeli wprzódy zrzynać nożem. Zboże zwiozłem na lawetach od falkonetu i ułożywszy we dwa wielkie brogi, nakryłem strzechą.

Całą zimę tegoroczną pracowałem nad wyrobieniem steru, wioseł i innych sprzętów, do zaopatrzenia w nie czołna potrzebnych. Czytanie biblii urozmaicało mi tę smutną porę roku, a zawsze wynaleźć w niej umiałem słowa, umacniające mnie w mem przedsięwzięciu.

Na początku wiosny dokończywszy kopania kanału, z wielkim trudem spuściłem statek na wodę. Nie jestem w stanie opisać radości, doznanej na widok czołna, lekko kołyszącego się na wodzie. Zamierzyłem spróbować żeglugi do lądu stałego, gdzie niezawodnie uda mi się napotkać okręty europejskie, a gdyby się to nie powiodło, przynajmniej wyspę dokoła opłynąć.

W pośrodku łodzi umocowałem maszt niewielki i uczepiłem na nim spory żagiel,

nabrałem żywności, wina, naczynia z wodą, cztery muszkiety i jeden falkonet, aby na przypadek spotkania na wyspie dzikich, mieć się czem bronić. Przykryłem część łodzi płótnem, chroniąc w ten sposób zabrane zapasy od deszczu. Nakoniec umieściłem w tyle jej parasol i wypłynąłem na morze dnia 14 stycznia 1671 roku, zapominając w pośpiechu zupełnie o pieniądzach.

Przed samym odjazdem pomodliłem się gorąco pod krzyżem, albowiem mogłem już wcale niepowrócić na wyspę. Na tę myśl łzy zakręciły mi się w oczach i znowu padłem na kolana, dziękując Wszechmocnemu Stwórcy za dziewięcioletni przytułek i tyle różnych dobrodziejstw, jakie z Jego łaski otrzymałem.

Wiatr, wydąwszy lekko żagiel, z łatwością zaczął popędzać statek. Wybrzeże, od którego odbiłem, zasiane było mnóstwem skał podwodnych, wypadało więc żeglować ostróżnie, ażeby zaraz na początku nie uledz rozbiciu i musiałem znacznie nałożyć drogi, ażeby się wydostać z pośrodka tych ryf i haków.

Poza pasmem skał widać było na morzu silny prąd wody, co mnie wcale nie cieszyło, gdyż porwany nim mogłem zboczyć z obranego kierunku i dostać się na otwarte morze, gdzie mnie w wątłym i licho zaopatrzonym statku czekała oczywista zguba.

Cokolwiek bliżej lądu znajdowała się wielka ławica piasku, postanowiłem zatem

płynąć szerokim kanałem, oddzielającym ją od wyspy. Morze, wyjąwszy prądu, było dosyć ciche, chociaż niepokoił mnie wietrzyk, w kierunku prądu wiejący.

Pomimo to, zaufany w mych wiadomościach żeglarskich, rozwinąłem żagel i, polecając się Bogu, wyruszyłem na morze. Co tylko jednak czołno dosięgło wschodniego krańca ławicy, kiedy prąd porwał je z taką gwałtownością, że mimo wszelkich wysileń nie zdołałem więcej nic zrobić, jak tylko utrzymywać się na brzegu prądu i tym sposobem zmniejszyć szybkość pływu. Napróżno zarzucałem kotwicę, nie dosięgła dna; nadaremnie starałem się lawirować, siła prądu przewyższała moc wiatru, robienie z całej siły wiosłem było tylko dziecinną igraszką.

Chociażby nawet morze nie zatopiło czołna, to żywność nie wystarczy na długo, a któż wie, dokąd będę zmuszony tułać się na przestworzu morskiem.

W niezmiernej trwodze i żalu zwróciłem oczy ku mojej ukochanej wyspie.

O ty droga pustynio! — zawołałem w mej rozpaczy, czyż już nigdy cię nie zobaczę! O, jeżeli mi Bóg pozwoli dostać się na twe lube wybrzeża, nigdy, nigdy cię już nie opuszczę! Z niezmiernem wysileniem robiłem wiosłami w kierunku ławicy, ale byłem już przeszło pięć mil morskich od lądu i co chwila wyspa coraz bardziej niknęła mi z oczu. Gdyby niebo się nagle za-

chmurzyło, straciłbym niezawodnie drogę do niej. Pogoda wprawdzie była piękna, ale wzgórza wyspy, niby czarny obłoczek, rysowało się już tylko zdala na widnokręgu.

Wtem spostrzegłem, że prąd ani tak mętny, ani tak gwałtowny, zaczął nieco wolniej płynąć, a nareszcie natrafiwszy na gromadę skał, w niewielkiej odległości na północy leżących, rozłamywał się na nich. Jedna część pędziła dalej w tym samym kierunku, podczas gdy druga zwracała się na południe, właśnie ku wyspie.

Ten rozdział prądu uratował mnie. Korzystając z zwolnienia szybkości, wsparty powiewem wiatru, zdołałem wpłynąć pomiędzy dwa ramiona. Żeglując z największą ostróżnością, chociaż daleko wolniej jak wprzódy, około piątej godziny po południu wylądowałem znowu szczęśliwie na mojej wyspie.

Poczuwszy ziemię pod nogami, zadrżałem z radości; z sercem przepełnionem wdzięcznością ślubowałem uroczyście zrzec się nadal podobnych próbek żeglowania po otwartem morzu.

Wiatr zapędził mnie na północną, całkiem mi nieznaną stronę wyspy. Trzeba było tu przenocować. Na drugi dzień wsiadłszy do czołna, trzymając się brzegów popłynąłem ku zachodowi. Zrobiwszy trzy lub cztery mile morskie, przy pomyślnym wietrze dostałem się do zatoki, wrzynającej się głęboko w ląd, a utworzonej przez rzekę, wpada-

jącą tutaj do morza. Niepodobna było znaleść dogodniejszego portu dla mojego czołna. Zostawiłem je tutaj ukryte w gęstych nadbrzeżnych zaroślach, a sam, zabrawszy tylko broń i parasól, ruszyłem ku domowi piechotą.

W domu zastałem wszystko nietknięte. Przebywszy zagrodzenie, rzuciłem się jak martwy na łóżko i zasnąłem. Lecz któż opisze moje przerażenie, gdy przebudził mnie nagle jakiś głos wołający: »Robinzonie! Robinzonie Kruzoe! jakżeś ty biedny! Niewytrzeźwiony całkiem ze snu usiadłem na posłaniu, oglądając się z trwogą, kto na mnie woła. Z początku myślałem, że mi się to tylko we śnie przywidziało, lecz wnet usłyszałem powtórne wołanie.

Obracam z trwogą szybko głowę i widzę na zagrodzeniu siedzącą papugę, która drze się przeraźliwie, powtarzając wciąż te same słowa. Nieraz w strapieniu wymawiałem je w głos, a pojętny ptak nauczył się ich i teraz przez powtórzanie ich takiego mi strachu napędził.

XXXIII.

Przechadzka po wyspie — okropny widok — zamiary zemsty — zasadzka — próżne oczekiwanie — zmiana zamysłów — sen proroczy.

Doznane niebezpieczeństwo na długo pozbawiło mnie chętki do żeglowania. Niepokoiłem się bardzo, że łódź wraz zapasami

zostaje na drugim końcy wyspy, ale jakim sposobem sprowadzić ją stamtąd? Sama myśl o tem przejmowała mnie już dreszczem. Chcąc bowiem łódź przeciągnąć pod zamek, trzeba było koniecznie przedzierżnąć się przez ów silny prąd, który mnie tak daleko zaniósł na morze. Byłbym chyba szalonym, gdybym się miał znowu narażać na niebezpieczeństwo, a tak łódź, kosztująca mnie czternaście miesięcy pracy, była teraz zupełnie nieużyteczną.

Po dłuższem zastanowieniu zrzekłem się myśli porzucenia wyspy. Nieudatna żegluga i przestrach jakiegom doznał, podniosły w mych oczach niezmiernie jej wartość. Wprawdzie przykrzyło mi się bez towarzystwa ludzkiego, ale kiedym rozważył, ile to cierpień i zmartwień ludzie sobie nawzajem wyrządzają, to tęsknota ta zmniejszyła się znacznie. Na mej wyspie byłem nieograniczonym panem, miałem wszystkiego podostatkiem, Bóg darzył mnie zdrowiem, a zatem mogłem żyć szczęśliwie i spokojnie.

W miesiąc po owej żegludze, wyszedłem uzbrojony strzelbą, po południu, aby zobaczyć, co się dzieje z moją łódką. Ale zamiast iść wschodnią, puściłem się zachodnią stroną wyspy, chcąc raz przecie zwiedzić ją całkowicie.

Zaledwie doszedłem na wierzch wzgórza, położonego nad ujściem rzeki, gdy nagle rzuciwszy okiem na morze, ujrzałem w oddaleniu jakiś punkt czarny. Wielka odległość

nie pozwoliła mi rozpoznać, czy to była łódź, czy też jaka wielka ryba. Na nieszczęście nie miałem z sobą dalekowidza, aby się o tem przekonać. Ponieważ zaś przedmiot ów wkrótce zniknął mi z oczu, puściłem się w dalszą podróż.

Lecz któż opisze moje przerażenie, gdy w miejscu, na którem przed czterema laty była wyciśnięta stopa ludzka, ujrzałem mnóstwo porozrzucanych piszczeli, parę czaszek ludz-



kich i niepodogryzanych rąk z okrwawionemi palcami. Wszystko to leżało w dużem okrągłem zagłębieniu, w którego środku były ślady świeżo wypalonego ogniska.

Oburzenie, przestrach, zgroza, obrzydliwość i gniew przykuły mnie niejako do ziemi. Stałem jak głaz, nie mogąc poruszyć się z miejsca; krew ścięła się w żyłach na widok piekielnej zwierzęcości ludożerców. Nakoniec przemógłszy odrętwienie, zacząłem

biedz napowrót ku mojemu mieszkaniu, nie tyle miotany trwogą, co wściekłością.

Przypadłszy do domu, zacząłem rozważać całą przygodę. A więc obrzydli Karaibowie nie przypływali do wyspy dla zbierania jej płodów, lecz dla wyprawiania na niej swych uczt barbarzyńskich. Więc po dziewięciu latach mego życia w samotności, pierwsze zetknięcie z rodem ludzkim, zamiast pociechy i radości, przyniosło mi tak okropne wrażenie! O jakże Bóg łaskaw, że nie wydał mnie im na pastwę; gdybym był o parę godzin wcześniej opuścił mieszkanie, byłbym niezawodnie wpadł w ich ręce i wtedy zamordowawszy mnie okrutnie, byliby wyprawili sobie bankiet z mego ciała.

Wypadek ten napełnił mnie znowu wielką bojaźnią. Jak złoczyńca jaki wymykałem się z mieszkania, nie myśląc o odwiedzeniu czołna, a to z obawy, ażebym nie spotkał się z ludożercami. Sprzęt zboża, zwózkę, oraz wszystkie czynności odbywałem tylko ukradkiem i zawsze od stóp do głowy uzbrojony. A nawet nie odważałem się polować bronią ognistą, albowiem gdyby dzicy usłyszeli wystrzał, mogliby pójść za jego kierunkiem, wyśledzić mnie i okrutnie zamordować.

Wkrótce nadeszła zima. W tym czasie byłem wolny od odwiedzin ludożerców, gdyż morze, wciąż wzburzone, nie dozwoliłoby ich słabym statkom przebywać przestrzeni rozdzielających oba lądy. Mimo to miałem

zawsze pod ręką kilka nabitych muszkietów, a oba falkonety, naładowane drobnemi kulami, oczekiwały napastników, ażeby posiać pomiędzy nich śmierć i zniszczenie, gdyby się w pobliżu mej siedziby ukazać mieli.

Widok szczątków ludożerczej biesiady nadał dziwny zwrot moim myślom. Przez całą zimę nie marzyłem o niczem innem, jak tylko o zemście nad dzikimi. Wyszukiwałem sposobów ukarania obrzydłych biesiadników, pragnąłem serdecznie zejść ich podczas ich szkaradnej uczty, srogo pomścić krew przelaną i na zawsze odebrać im chętkę odwiedzania mej wyspy i wyprawiania na niej swych obmierzłych obchodów.

Ale jakże tego dokonać? Wszak od tej broni tak samo można poledz, jak od kuli lub szabli Europejczyka.

A gdybyś też podminował miejsce, na którem palą ogień i pieką ciała ludzkie i gdy żar dosięgnie prochu, wysadził w powietrze z tuzin tych łotrów? Lecz pomysł ten nie był dobrym: najprzód, że nie mogłem przewidzieć, gdzie za drugim razem ogień rozpalą, a powtóre proch mógłby się zawcześnie albo zapóźno zapalić, a w takim razie zepsułbym napróżno kilkadziesiąt funtów tego nieocenionego materyału.

Później przychodziło mi na myśl, żeby zaczaić się w bezpiecznem, a nie bardzo odległem miejscu z kilkoma muszkietami dobrze nabitymi, wypalić ze wszystkich, a na resztę

przerażoną, niespodziewaną klęską, wpaść z szablą i pobić do szczętu. Przez parę tygodni rozważałem ten pomysł, tak, iż kilka razy śniło mi się, jakobym z dzikimi staczał walkę, a gdy znów wiosna powróciła, kilka razy wychodziłem dla upatrzenia stosownego miejsca na zasadzkę. Umysł, zajęty wciąż chciwymi rzezi obrazami, przedstawiał mi mnóstwo ludożerców padających od strzałów. Nareszcie wynalazłem doskonałą kryjówkę: był to wąwóz, biegnący od strażnicy aż ku wybrzeżu, na którem odbywały się uczty dzikich. Gęsta krzewina zakrywała wybornie wchód do wąwozu. Z strażnicy mogłem doskonale wyśledzić przybycie łodzi i mieć dosyć czasu, aby przed wylądowaniem Karaibów na wyspę dopaść kryjówki. Ukryty w wielkiem wypruchniałem drzewie, nie widzany przez dzikich, położyłbym z łatwością trupem kilkunastu, zanimby z pierwszego ochłonęli przestrachu.

Przygotowawszy cztery muszkiety, umieściłem je wewnątrz pnia wypróchniałego, a co rano z dwoma pistoletami i szablą wychodziłem na zwiady ku wybrzeżom; lecz parę tygodni upłynęło, a dzicy nie pokazywali się wcale. To ostudziło nieco mój zapał, a powoli myśli zaczęły brać inny kierunek.

— Chcesz karać ludożerców — mówiłem sam do siebie — a rozważ, czy masz do tego prawo? Cóż oni winni, że pogrążeni w ciemnocie, hołdując starym zwyczajom, a

może nawet przepisom religijnym, robią tylko to samo, co robili ich ojcowie i czego się od nich nauczyli. Rozważ, jak postępują twoi bracia Europejczycy, niby oświeceni i wykształceni: ile oni w niepotrzebnych i niesprawiedliwych wojnach ludzkiej krwi przelewają, niszczą miasta i pustoszą krainy całe. Przypomnij sobie, z jaką odrazą każdy uczciwy człowiek wspomina nazwiska Korteza, Pizarra, Almagra, i innych rabusiów hiszpańskich, którzy tysiącami mordowali Indyan w Ameryce, nie uważając tych biedaków nawet za ludzi. Powiedzże mi teraz, kto cię zrobił sędzią i katem Karaibów, nie wiedzących nawet, że źle robią? Zastanów się dobrze nad tem co zamyślasz uczynić, gdyż może czyn twój będzie tak obmierzły Bogu, jak tobie ludożerstwo dzikich.

Uwagi te silnie na mnie wpłynęły. Zrzekłem się zamiaru napadania na Karaibów, uznając niesprawiedliwość karania ludzi, którzy mi nic złego nie uczynili. Postanowiłem tylko bronić się w razie napadu, albo też walczyć wtenczas, jeżeliby szło o ocalenie życia człowiekowi, przeznaczonemu na pożarcie. Do tego postanowienia przyczyniła się także uwaga, że w razie rozpoczęcia walki, mogłem być zwyciężonym. Gdyby bowiem chociaż jednemu powiodło się uciec, mógłby przez zemstę naprowadzić na mnie tysiące swych współrodaków, a wtenczas i strzelby nicby nie pomogły.

Wyrzekłszy się zamiaru zabijania dzikich, wybrałem się uzbrojony na nową wycieczkę, dla zajęcia się przeprowadzeniem mego czółna z odległej zatoki, gdzie blizko trzy miesiące zostawało. Zamiast narażać się na prąd, objechałem północno-zachodnią stronę wyspy i zawinąłem w przystani le-



śnej, od zamku o tysiąc kroków odległej, a na wschodniej stronie tegóż położonej. Tam była w nadbrzeżnych zaroślach przed Karaibami doskonale ukrytą.

Wreszcie byłem zupełnie spokojny, przekonawszy się, że dzicy na wyspę lądują jedynie dla pożarcia ciał ludzkich i nie odda-

lają się z wybrzeża. Zatem mogłem bezpiecznie mieszkać w zamku i oddawać się zwykłym swym zatrudnieniom.

Co tylko było mi bardzo niedogodnem, to potrzeba ukrywania mej obecności na wyspie, powstrzymanie się od polowania i rozniecenia ognia poza obrębem mieszkania, z obawy, ażeby Karaibowie nie dostrzegli, że tu ktoś przebywa. Wróciłem więc do polowania na zające z łukiem. Kóz nie potrzebowałem strzelać, bo moja trzoda powiększyła się do czterdziestu kilku sztuk i co rok śmiało było można zabić ich dziesięć na pokarm. Nadto muszę nadmienić, że poczciwy pies Amigo tak się wprawił do chwytania zajączków, że nieraz przyniósł mi z lasu żywcem taką smaczną zwierzynę.

Dziesiąta rocznica od wylądowania mego na wyspę, przeszła jak zwykle na poście i modlitwie. Gdym się obejrzał wstecz na upłynione lat dziesięć, gdym pomyślał, że mam już lat 33 skończonych, ciężko mi się zrobiło na sercu.

— Mój Boże! — zawołałem, — oto najpiękniejsze me lata zbiegły samotnie! Towarzysze moi, otoczeni rodziną, dziatkami, wiodą przyjemne życie w lubej ojczyźnie, gdy tymczasem ja nieszczęśliwy żyję tutaj sam jeden i może już nigdy nie ujrzę rodzinnej ziemi. Ale nie szemrzę bynajmniej na mój los, a jeżeli Ci się Panie podoba, abym tu dni moje zakończył, to z podda-

niem i pokorą przyjmę Twój wyrok i chwalić bedę święte Imię Twoje.

Czas deszczów przeszedł spokojnie; nie opisuję tu ani zasiewów, ani żniw, albowiem nieraz już o tem gawędziłem szeroko, nadmienię tylko, że wszystkiego zboża miałem pod dostatkiem i na niczem mi nie zbywało.

Jednej nocy, a było to — jak mój kalendarz wskazywał — 24 marca 1674 roku, nie mogłem wcale zasnąć. Różne myśli przychodziły mi do głowy, a ludożercy nie mały udział w nich mieli; zmęczony bezsennością i myślami, dopiero nad ranem wpadłem w sen głęboki.

Dziwne marzenie zapełniło ten chwilowy spoczynek. Śniło mi się, że wyszedłem na przechadzkę w stronę, gdzie lądowali dzicy... wtem dwa czółna przybiły do brzegu i wysiadło z nich kilkunastu Karaibów, wiodąc kilku nieszczęśliwych na pożarcie. Nagle jeden z nich wyskoczył z gromady i zaczął uciekać ku krzakom, za którymi stałem. Wybiegłszy naprzeciw niemu, zaprowadziłem biedaka do zamku; naówczas padł na kolana, błagając o pomoc przeciwko swoim prześladowcom. Kazałem mu przebyć wał po drabinie, co też wykonał. Od owej chwili miałem towarzysza niedoli i spodziewałem się przy jego pomocy w mem wątłem czółnie wydostać się z wyspy. W tej chwili przebudziłem się i czemprędzej obejrzałem wkoło, aby się przekonać, czy to był sen, czy jawa. Na szczęście było to tylko marzenie.

Sen ten nastręczył mi jednakże nowe plany. A gdyby też się urzeczywistnił: czyż było niepodobieństwem uwolnić jeńca, na rzeź przeznaczonego? A więc do dzieła, trzeba tylko pilnie uważać, kiedy dzicy znów wylądują na wyspę, a przygotowawszy broń, z resztą zdać się na wolę Opatrzności. Od tego dnia zatem co rano wybiegałem na strażnicę, śledząc przez dalekowidz karaibskie łodzie. Zamiary nowe rozbudziły całą moją zaciętość. Miałem teraz już sprawiedliwy powód do rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich, a chęć spróbowania się z dzikimi, nie dawała mi spokojności. Nie lękałem się walczyć, chociażby w wielkiej liczbie przybili, bo miałem nadzieję, że niezawodnie odniosę zwycięstwo.

XXXIV.

Wylądowanie Karaibów — uczta ludożerców — odważny jeniec — potyczka z dzikimi — nowy towarzysz — Indyanin w europejskim stroju — strzelba bożyszczem — wyobrażenia Piętaszka pod względem smaku.

Upłynęło od tego czasu około dwóch miesięcy, gdy o świcie 15 maja ujrzałem z strażnicy pięć łodzi, napełnionych dzikimi, które przybiły do brzegu w miejscu zwykłego lądowania. Liczba tak wielka przeraziła mnie; wiedziałem, że na jednej łodzi bywa sześciu do ośmiu dzikich, zdawało mi się więc zuchwalstwem napadać na tak

wielką gromadę. Zamiast zatem uderzyć na nich, schroniłem się do zamku, a nabiwszy strzelby i podsypawszy falkonety świeżym prochem, gotowałem się do obrony.

Godzina jednak nadaremnego oczekiwania ubiegła, a nawet szmer najmniejszy nie dolatywał mych uszu. Tego było mi za długo. Koniecznie chciałem wiedzieć, co się dzieje w mem państwie. Wziąwszy więc strzelbę, wyruszyłem ostróżnie ku pagórkowi, leżącemu na krańcu lasu, przytykającego do wybrzeża, na którem znajdowali się dzicy.

Przybywszy na miejsce, ukryty za drzewem, zacząłem przez dalekowidz przypatrywać się Karaibom. Blizko trzydziestu, trzymając się za ręce, tańczyło około wielkiego ogniska, wykonywając szczególniejsze miny i ruchy. Wtem kilku innych wyprowadziło dwóch jeńców z czółna, ciągnąc ich ku gromadzie w zamiarze zamordowania. Ale kiedy jeden padł pod ciosem kamiennej siekiery, drugi, zerwawszy więzy, zaczął uciekać z niezmierną szybkością i to właśnie w kierunku wzgórza, na którem stałem. Przeląkłem się bardzo widząc to, gdyż cała gromada dzikich mogła się za nim puścić w gogoń. Lecz na szczęście tylko trzech z nich zaczęło ścigać jeńca, który przez ten czas, nim się gonić namyślili, ubiegł już potężny kawał.

Pomiędzy wzgórzem, na którem stałem, a dzikimi znajdowała się odnoga morska, na kilkanaście sążni szeroka. Jeżeli jeniec chciał

ujść ścigającym, musiał ją koniecznie przepłynąć; tak się też stało. Przybywszy nad brzeg, wskoczył w morze; po kilku śmiałych rzutach był już na drugiej stronie i zaczął okrążać pagórek. Z trzech ścigających, jeden, zapewne nie bardzo wprawny w pływaniu, namyślił się i wrócił, dwóch innych zaś przepłynęło zatokę.

Widocznie sen mój się spełnił: Opatrzność powoływała mnie, ażebym wyratował nieszczęśliwego. Zbiegłem szybko z pagórka i stanąłem pomiędzy uciekającemi a goniącymi, zawołałem na niego, aby się zatrzymał, lecz biedak przeląkł się mnie, podobnie jak swych nieprzyjaciół. Dając mu znak, żeby się nie bał i przyszedł do mnie, zwróciłem się naprzeciw ścigających, a gdy jeden z nich około mnie przebiegał, zgruchotałem mu kolbą czaszkę, lękałem się bowiem strzelić, ażeby hukiem nie zwabić całej gromady, chociaż w takiej odległości możeby nie usłyszeli wystrzału. Towarzysz zamordowanego na ten widok stanął jak wryty, lecz ujrzawszy mnie wychodzącego z za drzewa, wymierzył z łuku. Uprzedzając strzał wypaliłem z strzelby, kładąc go na miejscu trupem.

Wystrzał, ogień i dym niezmiernie przeraziły ściganego; stanął jak wryty, a poznałem po nim, że miał chętkę uciekać. Powtórzyłem więc przyzywający znak, on zaś wtedy postąpił parę kroków naprzód i znów

się zatrzymał, drżąc jak listek, myśląc zapewne, że go chcę schwytać i pożreć.

Urwawszy zieloną gałązkę, począłem przyjaźnie kiwać na niego. To go ośmieliło więcej. Szedł więc ku mnie przyklękając co parę kroków, nareszcie zbliżywszy się zupełnie, padł na twarz, pochwycił mnie za nogę i postawiwszy ją sobie na głowie, bełkotał



słowa, których naturalnie nie mogłem zrozumieć. Podniosłem go, przycisnąłem do piersi i zrobiłem co tylko było można, ażeby mu dodać odwagi.

Tymczasem dziki, powalony uderzeniem kolby, podniósł się, a pokazałem to uratowanemu. Na ten widok wpadł w niezmierne wzruszenie i składał ręce wskazując na sza-



Oswobodzenie Piętaszka.

blę, zawieszoną przy moim boku. Dałem mu broń żądaną, z którą w mgnieniu oka przebył przestrzeń dzielącą go od wroga i jednem cięciem zmiótł mu łeb z karku tak zręcznie, że ciosu tego nie powstydziłby się najlepszy kat europejski. Poczem natychmiast wrócił, składając głowę nieprzyjaciela u stóp moich.

Widziałem z jego poruszeń, że nie mógł wyjść z podziwienia, iż w takiej odległości zabiłem drugiego Karaiba. Prosił mnie na migi, żebym mu pozwolił iść go obejrzeć, na co łatwo przystałem. Przybliżywszy się do trupa, począł mu się przyglądać i przewracać na wszystkie strony; następnie przypatrywał się ranie zadanej w piersi, z której jednak nie wiele krwi płynęło, gdyż wylała się wewnątrz klatki piersiowej. Nakoniec zabrawszy łuk i strzałę zabitego, powrócił do mnie. Dałem mu znak, żeby się udał ze mną ku jaskini, lecz ten syn pustyni był daleko przezorniejszym, jak ja, gdyż wskazawszy na trupów, dał mi do zrozumienia, że trzeba ich wprzódy pochować, aby towarzysze, natrafiwszy na ich ciała, nie pobiegli nas ścigać. Dziki, przywiązawszy do ciał pasami od sajdaków kamienie, wrzucił obydwóch w głębie zatoki.

Nie namyśliłem się jeszcze, dokąd mojego gościa zaprowadzę. Stosownie do wieszczego snu należało dać mu kwaterę w zamku, lecz ostróżność radziła, aby go tymczasem w koźlej jaskini pomieścić. Wpraw-

dzie były tam wszystkie kosztowniejsze zapasy i amunicya, lecz te znajdowały się w drugiej części za długim kurytarzem, zagrodzonym głazami, więc ich, a tembardziej w ciemnościach, znaleźć nie mógł.

Przyprowadziwszy jeńca do jaskini, dałem mu kawał placka jęczmiennego, parę bananów i garneczek wody, poczem zostawiwszy mu posłanie i kołdrę, poszedłem do zamku.

Wypadek ten nadzwyczajne wywarł na mnie wrażenie, lecz czasu do rozmyślań nie było. Wybiegłem na strażnicę zobaczyć co dzicy robią. Jedni siedzieli jeszcze około ognia, kończąc swą ucztę obrzydliwą, a tymczasem drudzy chodzili ponad zatoką niespokojnie, szukając zapewne swych towarzyszy. Kiedy jednak zaczął się odpływ morza, wszyscy siedli na czołna i odpłynęli.

Uspokojony tem poszedłem zobaczyć co robi mój wyzwoleniec. Napotkałem go siedzącego przed jaskinią na trawie, a gdy mnie ujrzał, znowu upadł na twarz i czołgając się zbliżał się ku mnie. Podźwignąwszy go, dałem do zrozumienia, że nie chcę takiej uniżoności.

Był to ładnie zbudowany wysmukły chłopiec, mogący mieć 20 lub 21 lat, cery miedzianej, orlego nosa. Rysy jego przyjemne, nie miały w sobie nic dzikiego, długi włos czarny spływał mu na ramiona; oko wyraziste, duże i czarne tchnęło łagodnością, a

dwa rzędy białych zębów wyglądały jak kość słoniowa, kiedy śmiejąc się otwierał usta.

Rozmawialiśmy znakami, które doskonale pojmował, czasami wymawiał jakieś słowa, a dźwięk mowy ludzkiej, od dziesięciu już lat niesłyszanej, zachwycał mnie, chociaż jej nie rozumiałem. Przedsięwziąłem nauczyć go po angielsku, a pokazując na siebie, wymawiałem »Robinson«, dając znak, żeby powtórzył, co mu się też nieźle powiodło. Następnie znowu wskazując na niego, mówiłem »Piętaszek«, albowiem dzień dzisiejszy był piątek i dlatego nadałem mu to imię. Nareszcie nauczyłem go wymawiać »tak« i »nie« i na tem zakończyła się pierwsza lekcya.

Przez noc zostawiłem Piętaszka w grocie, na drugi dzień rano wziąłem go do zamku, ażeby się ubrał, gdyż chodził zupełnie nago. Kiedyśmy przechodzili około miejsca, skąd widać było scenę biesiady wczorajszej, pokazywał mi na migi, że radby zobaczyć, czy nie zostało co z resztek, okazując wielki apetyt na ludzkie ciało. Wtedy wyraziłem mu obrzydzenie moje, dając uczuć, że to było szkaradną rzeczą jeść ludzi. Poczem widząc, że dzicy zniknęli bez śladu, zapragnąłem obejrzeć miejsce wczorajszej biesiady. Bojąc się jednak, czy gdzie jeszcze w ukryciu nie pozostali, uzbroiłem Piętaszka w łuk i siekierę, a sam wzią-

wszy szablę, pistolety i strzelbę, ruszyłem naprzód.

Wkrótce przybyliśmy z Piętaszkiem na miejsce. Cóż za okropny widok!... dokoła mnóstwo szczątków ciał ludzkich: pięć rąk, trzy czaszki i kilka piszczeli; palce pokrwawione, wpół ogryzione kawały mięsa opalonego. Takie mnie porwało obrzydzenie, że doznałem bardzo nieprzyjemnej słabości, która mi przecie ulżyła. Indyanin natomiast spoglądał z niezmiernym apetytem na to co mnie taki wstręt sprawiało i gdyby nie groźne moje spojrzenia, byłby niezawodnie obgryzł kostkę którego przyjaciela.

Widząc mnie stojącego z załamanemi rękoma, usiłował dać mi za pomocą znaków do zrozumienia, że wraz z trzema towarzyszami w bitwie stoczonej na wyspie, położonej ku południowi, dostał się do niewoli, że to są właśnie głowy jego współrodaków, których pożarł nieprzyjaciel.

Wykopawszy dół, pogrzebaliśmy resztki nieszczęśliwych ofiar, poczem ruszyłem ku zamkowi, gdzie przybywszy, wyjąłem z garderoby zabranej z okrętu koszulę, majtki. kaftan i czapkę i ustroiłem w nie Piętaszka,

Widząc się przebranym tak jak i ja, Indyanin nie posiadał się z radości: skakał jak dziecko i klaskał w ręce; lecz wkrótce ubiór zaczął mu dokuczać, bo chodząc przez całe życie nago, nie mógł znieść nic na sobie. Chciał więc zrzucić z siebie suknie, ale

na to nie pozwoliłem. Po kilku dniach przyzwyczaił się też do noszenia ubioru.

Teraz szło o pomieszczenie nowego gościa. Nie chciałem go przypuścić do wspólnego mieszkania, raz dlatego, żem mu nie bardzo ufał, a powtóre, że to ograniczyłoby moją swobodę. Wystawiłem mu więc małą komórkę z desek, tuż przy mieszkaniu. Piętaszek był bardzo kontent ze swego



domku, obawiał się tylko psa, ale wkrótce poznawszy łagodność tego zwierzęcia, bardzo go polubił.

Obawy moje i niedowierzanie niezadługo ustały. Bóg umieścił w tem kolorowem ciele najzacniejszą duszę. Nigdy najmniejszy opór lub niezadowolenie nie okazało się na twarzy poczciwego Piętaszka. Przywiązał się do mnie jak do ojca i wszelkimi sposobami starał się okazywać mi wdzięczność za ocalenie mu życia. Wesoły, żywy, nie-

zmordowany w pracy, rozpędzał jak mógł moją tęsknotę. Przykro mi było tylko, że się z nim rozmówić nie mogłem; natychmiast też wziąłem się do uczenia go po angielsku. Pojętność miał wielką i z każdym dniem robił postępy.

Chcąc oduczyć Piętaszka od ludożerstwa, dałem mu skosztować koziego mięsa. Aby go dostać, a przy tej sposobności pokazać,



jak się poluje, wziąłem go z sobą do lasu. Wkrótce ujrzałem na szczycie skał koźlątko, a dawszy znak Piętaszkowi, aby się spokojnie zachował, wypaliłem. Trafione zwierzę spadło na dół, ale i mój towarzysz także leżał na ziemi, klekotając ze strachu zębami.

Po chwili podniósł się ostróżnie, oglądając swe ciało, a gdy na niem rany nie znalazł, pełznął do nóg moich, bełkocąc coś ze łzami. Podniosłem go i uśmiechnąłem się przyjaźnie, wskazując na koźlątko, aby je przyniósł. Uczyniwszy to odskoczył w tył, patrząc z dziwną bojaźnią i uszanowaniem na strzelbę. Nabiłem ją powtórnie, chcąc nieboraka ośmielić i oswoić z strzelaniem, a zarazem wytłómaczyć mu użycie broni. Poszliśmy dalej: wkrótce na drzewie zawrzeszczała papuga; pokazując ją palcem Piętaszkowi, a potem wymierzywszy broń, zwróciłem go twarzą ku ptakowi. Wystrzał padł i papuga zleciała, ale mimo tych objaśnień, Piętaszek znów przewrócił się na trawę.

Kiedy ochłonął z przestrachu, kazałem mu przynieść papugę i z tą podwójną zdobyczą pomaszerowaliśmy do domu. Natychmiast koźlę obciągnąłem, wypaproszyłem i pokrajałem na sztuki. Pieczeń smakowała memu gościowi niezmiernie, patrzał tylko zdziwiony na mnie posypującego mięso solą. Podałem mu posolony kawałek, wziął go do ust, ale czemprędzej wypluł. Wtedy wziąłem nieposolony kawałek i postąpiłem z nim jak on z tamtym, okazując podobne obrzydzenie, lecz to go wcale nie przekonało, aby sól miała być przysmakiem i nigdy się nie dał nakłonić do jej użycia.

XXXV.

Piętaszek uczy się po angielsku — rozmowa z nim — Benamuki — szalbierstwa kapłanów karaibskich — wiadomość o Europejczykach — przywiązanie Indyanina — zamiar podróży do jego ojczyzny — budowa wielkiego czółna.

Odtąd rozpoczęła się wielka zmiana w życiu mojem. Bóg nareszcie ulitował się nad biednym samotnikiem i zesłał mu towarzysza po dziesięcioletniej pokucie. Nie mogąc innym sposobem okazać mej wdzięczności miłosiernemu Stwórcy, postanowiłem przynajmniej wypłacić się za to nieocenione dobrodziejstwo w ten sposób, że wyuczę Piętaszka prawd świętej religii chrześcijańskiej, a prócz tego wykształcę go jak można i starać się będę, aby na zawsze zachował poczciwość i nieskazitelność duszy.

W krótkim czasie zrobił mój uczeń takie postępy w mowie, że o najpotrzebniejszych rzeczach mogliśmy się rozmówić; w rok zaś szczebiotał już nieźle. Przez ten czas nauczyłem go też opatrywania kóz, prac koło roli, siana i żęcia; oprócz tego garncarstwa, piekarstwa, krawiectwa, ciesiołki i wszystkiego, co sam umiałem. We wszystkiem okazywał wiele pojętności, a jeszcze więcej dobrych chęci. Wkrótce mogłem się nim wyręczyć; pracowaliśmy wspólnie i nigdy nie dałem mu uczuć, że go uważam za służącego, gdyż w samej rzeczy był moim przyjacielem.

Rok ten upłynął nam bardzo prędko i przyjemnie. Kiedy już mógł odpowiadać na moje pytania, prowadziliśmy zajmujące gawędki. Jednego dnia zacząłem go wypytywać o kraj rodzinny.

— To tam... tam daleko Piętaszka wyspa — odrzekł, wskazując na południe — a tam dalej druga, gdzie mieszkają jego nieprzyjaciele.

— Czy pokolenie, do ktorego należysz, zwyciężyło kiedy wrogów?

— O tak, my bjemy bardzo dużo nieprzyjaciela, a on ucieka.

— Jeżeli się tak dobrze bijecie, dlaczegóż dałeś się złapać?

— Piętaszek i trzech zjedzonych byli daleko. Nieprzyjaciół wielka moc obskoczyła nas, tak dużo nie można bić i już wszyscy leżą w łodzi związani.

— A czemuż wasi wojownicy nie przyszli wam na pomoc?

— Bo nas zaraz wsadzili do łodzi i tamtych zabili, a Piętaszek uciekł.

— Czy wy zabijacie i pożeracie niewolników?

— Tak, bracia Piętaszka jedzą... wszystkich jedzą, tu na tej wyspie, bo w domu nie wolno.

— A ty, czy byłeś tutaj kiedy z nimi?

— Piętaszek był tam daleko — rzekł wskazując na zachód.

— Czy łodzie wasze rozbijają się kiedy?

— Nie, ale trzeba jechać ostróżnie, bo jak morska rzeka porwie, to już czółno do domu nie powróci.

Widać więc, że znali ów gwałtowny prąd, który mnie omało nie porwał na przestwory oceanu. Piętaszek zawsze mówił o sobie w trzeciej osobie, podobnie jak to czynią dzieci. Naród swój nazywał »Karib«, podobnie jak i innych wyspiarzy, z tą tylko różnicą, że gdy mówił o swoich, nazwał ich »Mocny Karib«.

Opowiadał mi także, że na południu w dużej ziemi, biali ludzie wymordowali całe narody Indyan. Widocznie odnosiło się to do Hiszpanów, których okrucieństwa były tak straszne, że wieść o nich doszła do uszu Karaibów.

Zaprowadziłem go raz do mego czołna, a wskazując je, spytałem:

— Czy można na takiem czołnie dostać się do ziemi, gdzie biali ludzie mieszkają?

— O nie... nie... trzeba dwa czółna takie jak Robinzona, bo jedno by morze przewróciło.

Nie mogłem zrozumieć z początku, dlaczego jedno czółno może woda zatopić, a dwóch nie; później dopiero pomiarkowałem, że nie umiejąc powiedzieć dwa razy większe, mówił dwa czółna.

W półroku po swem przybyciu na wyspę, Piętaszek nauczył się tyle po angielsku, że mogłem już zacząć z nim naukę religii.

Jednego razu usiedliśmy w niedzielę pod drzewem, a ja go zapytałem:

— Czy wiesz, kto stworzył to wszystko, co widzisz wokoło?

— Wiem. Wszystko to zrobił stary, bardzo stary »Benamuki«. On mieszka na bardzo wysokich górach i jest starszy jak ziemia i morze.

— Czy modlisz się do niego?



— Nie... Piętaszkowi nie wolno, ani żadnemu Karaibowi, tylko Uwukakis starzy chodzą do niego na górę i mówią to, o co ich Karaibowie prosili; jakby kto inny poszedł, to go Benamuki zabije i pożre, bo jest zły, bardzo zły. Trzeba mu dać dużo ryb i patatów, żeby piorunami nie zabił Karaibów i chat ich nie spalił.

— A jak z was który umrze, co się z nim dzieje?

– Idzie do Benamuki, ale tylko życie, a ciało palą albo jedzą.

Z tej rozmowy poznałem, że kapłani Karaibów, zwani Uwukakis, obrawszy się pośrednikami między ludem a bóżkiem Benamuki, utrzymują dzikich w ciemnocie i zabobonie i wyciągają z nich ofiary, któremi się bogacą.

Zacząłem to objaśniać Piętaszkowi; słuchał mnie ze zdziwieniem i oburzeniem. Potem dałem mu poznać Boga chrześcian, Boga dobroci i miłości, Stworzyciela i Ojca najmiłosierniejszego. Mówiłem mu długo o niebie, o życiu wiecznem, o nagrodzie dla poczciwych, o karze dla występnych, o miłości ku Bogu i bliźniemu i czci, z jaką wielbić powinniśmy naszego dobrotliwego Pana.

Indyanin słuchał mnie z największą uwagą, kiwając głową i wznosząc swe piękne oczy ku niebu. Widziałem, że najbardziej podobało mu się życie naszego Zbawiciela, jakoteż modły wprost do Stwórcy zanoszone. Zachwycał go też opis mądrości i potęgi Bożej, a uderzała wszechmocność Stwórcy.

— Bóg twój, Robinzonie — zawołał — musi być daleko potężniejszy, bo jest wszędzie, słyszy wszystko i wszystko może. Tymczasem nasz stary Benamuki siedzi na górze, zamiast królować nad słońcem i nad gwia-

zdami i o niczem nie wie, tylko o tem, co mu Uwukakis powiedzą.

— Masz słuszność, Piętaszku — odpowiedziałem mu — potężniejszy jest od wszelkich istot, bo je wszystkie sam stworzył.

W ten sposób szła dalej nauka religii. Chodziliśmy często razem do mej świątyni na wzgórzu i modliliśmy się wspólnie, a z czasem Piętaszek stał się wzorem dobrego chrześcijanina. Dziękowałem Bogu, że mi zesłał takiego towarzysza, a moja tęsknota, od czasu przybycia chłopca, prawie zupełnie ustała. Podczas trzechletniego wspólnego pożycia nie mieliśmy między sobą najmniejszego nieporozumienia. W święta czytywałem Piętaszkowi Pismo święte i starałem się wytłómaczyć jego znaczenie, o ile moje wiadomości na to pozwalały. Częstokroć zadawał mi rozmaite pytania, na które chcąc dobrze odpowiedzieć, musiałem sam rozmyślać, skutkiem czego zgłębiałem słowo Boże i bardzo wielu ustępów nauczyłem się na pamięć.

Oprócz tego opowiadałem Piętaszkowi moje własne przygody, nie ukrywając błędów i wad, które mnie w stan opuszczenia wtrąciły. Dalej mówiłem mu o rozmaitych państwach europejskich, o wielkich miastach i ich przemyśle, o naszej potężnej flocie, tłómaczyłem siłę i użytek prochu: on zaś słuchał wszystkiego z wielką uwagą i podziwieniem.

W pół roku po naszem poznaniu się podarowałem Piętaszkowi nóż składany, kordelas i siekierę. Dary te niezmiernie go ucieszyły i tak je szanował, że w półtrzecia roku mało co znać było, że ich często używa.

Jednego dnia, gdym mu narysował piórem szalupę, zapytując, czyby wspólnie ze mną podobnej nie potrafił zrobić, zawołał żywo:

— Wiem! wiem, widziałem taką samą...

— Gdzie widziałeś? — zagadnąłem skwapliwie.

— W domu na naszej wyspie. Raz była dwa dni wielka burza, pioruny, błyskawice; trzeciego dnia rano, bardzo rano, morze wyrzuciło na brzeg duże czółno z białymi ludźmi; mieli brody i wąsy i trochę broni, ale nie z piorunami, tylko same pałasze.

— Wielu ich znajdowało się na statku? — zapytałem.

Piętaszek myślał długo, jakby sobie przypominał, potem zawołał:

— Siedmnaście, tak, siedmnaście białych, brodatych ludzi.

— Cóż się z nimi dzieje? — zapytałem.

— Żyją tam, gdzie dom Piętaszka, na południu.

— Czy dawno?

— Od tego czasu były już pięć razy wielkie deszcze.

Właśnie pięć lat upłynęło od rozbicia się okrętu przy moich wybrzeżach. Zapewne

osada jego, wśród nocy zmyliwszy kierunek, wylądowała na wyspie Piętaszka.

— Czyż podobna — zawołałem zdziwiony — żeby twoi rodacy nie pożarli białych?

— Nie, nie... oni tylko jedzą nieprzyjaciół, jeżeli ich zabiorą na wojnie do niewoli, a biali ludzie pomagają im bić wrogów.

Opowiadanie to zrobiło na mnie silne wrażenie, i pragnąłem dostać się do owej wyspy i zobaczyć rozbitków.

— Czy nie pamiętasz choć jednego wyrazu, jakiegokolwiek z ich mowy.

— O tak pamiętam, mówią często »Dios« (To znaczy po hiszpańsku »Bóg«. Przyj.)

— Więc to Hiszpanie — zawołałem — o czemuż nie Anglicy!

W jakiś czas po tem poszliśmy w południową stronę wyspy, a stanąwszy na wysokiej górze, ujrzeliśmy w oddaleniu na mo rzu ziemię.

— Patrz, patrz! Robinzon! tam mój dom! tam mój dom — zawołał Piętaszek i zaczął mocno płakać.

Wrażenie Piętaszka odbiło się na mnie, lecz całkiem przeciwnie, przeląkłem się, aby widok ojczyzny nie obudził w nim chęci do ucieczki, aby mnie nie opuścił. Postanowiłem go wybadać.

— Wszak byłbyś bardzo szczęśliwy, gdybym ci pozwolił wrócić do twej wyspy?

— O tak Robinzonie, chciałbym zobaczyć mego ojca.

— Więc wracaj, a będziesz znowu walczyć i pożerać schwytanych niewolników.

— Nie, Piętaszek nie będzie już nigdy jadł ludzi, chce tylko zobaczyć ojca, ale potem wróci do ciebie, bo on bardzo kocha Robinzona.

— Czy nie moglibyśmy razem płynąć?

— Och dobrze, dobrze — ale potem do-



dał zasmucony: — Nie można, Robinzona czółno małe może przewróci.

Płyń sam, bo towarzysze pewnie by mnie zamordowali i pożarli.

— Nie, oni Robinzona będą kochać, bo obronił Piętaszka, a on sam nie popłynie.

— Czemubyś nie miał sam popłynąć?

— Robinzon bardzo zły na Piętaszka, bo go chce od siebie wypędzić.

— O nie, mój przyjacielu, ale chciałbym ci sprawić radość. Cóż byś robił wróciwszy do swoich?

— Powiedziałbym im, że Benamuki jest bardzo słaby bóg, a Uwukakis oszusty.

— Toby cię zabili.

— Piętaszek się zamyślił, a potem rzekł:

— Nauczyłbym ich o Bogu chrześcijańskim, o niebie, o Zbawicielu, toby sami porzucili starego bóżka.

— Jedź, jedź kochany bracie — zawołałem — zostań między twymi, a ja tu znowu sam żyć będę.

Indyanin odbiegł do miejsca, gdzie rzeczy leżały, przyniósł siekierę i klęknąwszy, podał mi ją.

— Cóż to ma znaczyć — zapytałem zdziwiony.

— Niech Robinzon zabije Piętaszka, a nie mówi tak więcej.

Uścisnąłem poczciwego chłopca, bo ten dowód przywiązania rozrzewnił mnie. Postanowiłem razem z nim popłynąć w odwiedziny do jego rodaków.

Wkrótce też potem wzięliśmy się do budowy czółna. Piętaszek wybrał potężne drzewo, spuścił go wraz ze mną i z największą zręcznością przy mojej pomocy wyrobił z niego w dwóch miesiącach obszerne czółno, mogące ośmiu ludzi pomieścić. Używaliśmy do tej roboty na przemian siekiery i ognia, a pokazało się, że Piętaszek był w

tych pracach o wiele zgrabniejszym i biegłejszym odemnie.

Aby czółno spuścić na morze, potrzebowaliśmy aż czternastu dni; dodałem do tego maszt, żagle i ster, a Indyanin nie mógł wyjść z podziwienia, widząc, jak z ich pomocą statek płynie szybko i w obranym kierunku. Karaibowie bowiem podówczas używali tylko samych wioseł.

Od tego dnia co niedzielę wypływaliśmy na morze, albowiem chciałem obeznać Piętaszka z europejskiem żeglowaniem. I ta nauka w las nie poszła: w kilkunastu wycieczkach chłopak wyszedł na wybornego majtka. Umyśliliśmy zaraz po żniwach puścić się na morze i zabawić z parę tygodni w ojczyźnie Piętaszka. Radość jego była bardzo wielką i już wszystko było gotowe do żeglugi, kiedy nowy wypadek zmusił nas do odroczenia planu wycieczki.

XXXVI.

Nowy najazd dzikich — pochód na wojnę — biały jeniec — bitwa — Amigo bohaterem — kogo Piętaszek znalazł w łodzi — nowy goście — różne narodowości i wyznania mojego państwa.

W piękny dzień wiosenny przygotowawszy wszystko do podróży, mieliśmy już wyruszyć, kiedy przyszło mi na myśl, że przydałyby się nam żółwie jaja na drogę, wysłałem więc Piętaszka, żeby ich nazbierał. Chłopiec, wziąwszy psa, pobiegł szybko w las,

poza którym było miejsce, obfitujące w żółwie gniazda. W kwadrans potem usłyszałem przeraźliwe wycie psa; obejrzawszy się w stronę, skąd głos dochodził, ujrzałem biegnącego Piętaszka, który przypadłszy z największą trwogą, zawołał:

— Ach Robinzonie! biada! biada!

— Co się stało? na Boga, mów prędzej.

— Tam! tam! na dole — wołał, drżąc ze strachu — jeden, dwa, trzy czółna. sami nieprzyjaciele Piętaszka... przypłynęli złapać go i zjeść.

Starałem się wszelkimi sposobami uśmierzyć jego przestrach, gdy zaś przyszedł nieco do siebie, rzekłem:

— Piętaszku, musimy z nimi walczyć; czy masz odwagę?

— Och tak!... chcę bić... ale ich dużo... bardzo dużo...

— I cóż to znaczy, wszak umiesz już dobrze strzelać, nasze kule położą część z nich trupem, inni zaś, przestraszeni śmiercią swych towarzyszy i hukiem strzelb, pierzchną... wtedy pokonamy ich do reszty; pamiętaj, żem ci życie ocalił, a więc walcz mężnie i rób to wszystko, co ci każę.

— Piętaszek umrze za ciebie, jeżeli każesz.

Udaliśmy się do jaskini, a nabiwszy cztery pistolety i sześć muszkietów kulami i lotkami, wybiegłem na strażnicę zobaczyć, co się dzieje na wybrzeżu.

Przez dalekowidz z łatwością policzyłem dzikich. Było ich dwudziestu jeden; wylądowali przeciw swemu zwyczajowi na wschodnio-południowem wybrzeżu, tam właśnie, gdzie najczęściej łowiłem żółwie. Zdziwiło mnie to bardzo, bo nigdy w tej stronie nie bywali. Miejsce to było gęsto zarosłą płaszczyzną, o ośmdziesiąt kroków od brzegu



morskiego odległe. Zdawało mi się, że przywieźli trzech jeńców i po nic innego na wyspę nie przybyli, jak tylko dla odprawienia swej obrzydłej zwycięskiej uczty. Zbiegłem na dół i wziąwszy na przypadak bochen chleba i flaszeczkę z rumem, dałem znak mojemu wojsku do pochodu. Prawe skrzydło stanowił Piętaszek, lewe mój pierwszy pies Amigo, ja zaś środek i rezerwę. Naka-

załem Indyaninowi, aby się zachował jak najciszej: pies, dobrze wytresowany, szedł także także stłumiwszy wycie, najeżona jednak sierć i spuszczony ogon, wyraźnie pokazywały jego nieprzyjazne usposobienie.

Przez drogę przyszły mi na myśl dawne skrupuły: czy mam prawo uderzyć na dzikich, którzy mi nic złego nie uczynili? Nie obawiałem się ich wcale, ufając w wyższość ognistej broni, lecz zapytywałem siebie, czy godzi się ludzka krew przelewać. Piętaszek



nie dzielił tego mego zapatrywania: dziki ogień tryskał z jego oczu, pragnął się pomścić na zawziętych nieprzyjaciołach swego pokolenia. W końcu skłoniłem się poprzestać na przypatrywaniu się ludożerczej uczcie, a resztę zostawić przypadkowi: zachować się spokojnie, jeżeli nie będzie powodu zaczepiać Karaibów, albo też walczyć z nimi, jeżeli zajdzie tego potrzeba.

Nakoniec przedarliśmy się z największą przezornością w milczeniu na kraniec zarośli, przedzieleni od dzikich grupą drzew. Z odległości kilkudziesięciu kroków mogliśmy się doskonale przypatrzyć gromadzie ludożerców. Kilkunastu siedziało w kuczki około wielkiego ogniska i pożerało mięso jednego z nie-



szczęśliwych jeńców. Drugi ze związanemi rękoma i nogami leżał tuż obok, oczekując, aż na niego straszna przyjdzie kolej. Wtem Piętaszek, który wdarł się na dzrzewo, aby się lepiej Karaibom przypatrzyć, zsunąwszy się z niego, szepnął mi do ucha:

— Robinzonie! tam leży jeniec z bladą twarzą i dużą brodą; to jeden z tych siedmnastu, co osiedli pomiędzy moimi.

Natychmiast wdarłem się na drzewo i z przerażeniem przekonałem się, że Piętaszek mówił prawdę; związany jeniec był Europejczykiem. Widok ten rozbudził we mnie gniew niepohamowany: dałem znak Piętaszkowi i pochwyciwszy muszkiety, podpełznęliśmy ku pagórkowi, o kilka kroków wysuniętemu naprzód, tak, że zaledwie sześćdziesiąt kroków oddzielało nas od Karaibów.

Naraz dwóch ludożerców poczęło rozwiązywać więzy nieszczęśliwego, nie było więc czasu do stracenia. Wymierzyliśmy obydwie strzelby na dzikich.

— Czyś gotów?

— Tak!...

— Baczność! raz! dwa! pal!

Dwa potężne wystrzały huknęły naraz.

Skoro dym opadł, spojrzałem... Mój strzał powalił jednego trupem, a drugiego ranił; Piętaszek zabił dwóch i jednemu ciężką zadał ranę. Lecz niepodobna opisać zamieszania dzikich na odgłos grzmotu strzelb, na widok ran, zadanych niewidzialną ręką. Ranni przewracali się po ziemi, wijąc się z boleści. Zdrowi biegali jak szaleni, szukając kryjówki. W strachu i nieładzie widocznie zapomnieli o łodziach i poczęli na wszystkie strony umykać, nie wiedząc, skąd im zagraża niebezpieczeństwo.

Piętaszek spojrzał na mnie, jakby zapytując, co czynić dalej; skinąłem: odrzucamy wystrzelone muszkiety i chwytamy za strzelby.

— Baczność! — zawołałem wymierzając — cel! pal!

Tym razem jeden tylko legł bez życia i jeden ciężko ranny powalił się na ziemię, lecz kilku innych, krwią okrytych, wyło z boleści. Wkrótce potem trzech padło z osłabienia obok swych towarzyszy. Pozo-



stali, straciwszy całkiem przytomność, biegali tu i owdzie, przeraźliwie krzycząc.

— Za mną — zawołałem.

Z szablą na temblaku i odwiedzionymi pistoletami wybiegłem z za wzgórza, Piętaszek nie daje się wyprzedzić. Na ten widok czterech dzikich wskakuje do łodzi i odbija od brzegu. Piętaszek puszcza się za nimi, a wpadłszy poza kolana w wodę, pali do nich z obu pistoletów. Dwóch wpada w mo-

rze, ale pozostali robią ze wszystkich sił wiosłami.

Pędzę naprzód do Europejczyka, rzucam mu siekierę i pistolet i podaję łyk rumu. Już tylko nogi miał związane: szablą przecinam krępujące go łyko, a on w tejże chwili wystrzałem powala dzikiego, który już maczugą miał mi zgruchotać głowę. Karaibowie bowiem widząc, że mają z ludźmi do czynienia, opamiętali się z pierwszego przestrachu i pochwycili za broń. Odpłacając się za uratowanie życia, płatam na dwoje szablą łeb dzikiego, który jeńcowi chciał dzidą zadać cios śmiertelny. Lecz pięciu dzikich wpada na nas z wściekłością. Jeniec odpiera z trudem straszne cięcia, jakie mu olbrzymi Karaib, uzbrojony ciężką drewnianą szablą, zadaje. Pozostali czterej, ufając sile swego towarzysza, pozostawiają mu Europejczyka, a sami rzucają się na mnie.

Ciężko byłbym przypłacił mą nierozwagę w zawczesnem natarciu; ubiłem wprawdzie jednego z pistoletu, lecz to nie odstrasza trzech przeciwników, nacierających na mnie z okropnym wrzaskiem. Już myślałem, że zginę, gdy nagle Amigo rzuca się na najbliższego ludożercę, chwyta za gardziel i dusi. Wtem Piętaszek, ujrzawszy, w jakiem jestem niebezpieczeństwie, porywa łuk, zostawiony na brzegu, i ściele trupem drugiego przeciwnika. Ostatniemu przeszywam pierś szablą.

Tymczasem dziki, powaliwszy europejskiego jeńca na ziemię, już mu miał odciąć głowę, kiedy ja uwolniony od wrogów nadbiegłem i rozpłatałem łeb Karaibowi.

Walka skończona.

Piętaszek z siekierą w ręku uwija się między leżącymi, dobijając rannych. Zawołałem na niego:

— Piętaszku! daj im spokój, a siądź raczej z nabitą strzelbą do łodzi i ścigaj uciekających, bo nam tu setki swych braci naprowadzą. Indyanin nie dał sobie tego dwa razy mówić. Lotem wskoczył w jedną łódź... lecz nagle zatrzymał się wołając:

— Robinzonie... tu jeszcze jeden brat mój do zjedzenia...

Pobiegłem ku niemu i z zadziwieniem spostrzegłem leżącego w łodzi Karaiba z skrępowanemi rękami i nogami, twarzą do ziemi. Piętaszek przeciął mu więzy i podźwignął wpół omdlałego jeńca, ale ten ani mówić nie mógł, tylko jęk wydobywał się z jego piersi. Zapewne mu się zdawało, że go który z ludożerców ciągnie na śmierć. Podałem Piętaszkowi flaszkę z napojem, ażeby nim biedaka pokrzepił i powiedział co się stało z jego nieprzyjaciółmi.

Zaledwie Piętaszek podźwignął jeńca i spojrzał mu w twarz, gdy nagle wydał krzyk przeraźliwy: pochwycił starca w objęcia, zaczął go ściskać i całować gwałtownie, przyczem śmiał się, skakał, tańczył, machał

rękami jak waryat, nareszcie płakał i załamywał ręce. Nareszcie wstrząsałem go, zadawałem pytania: długi czas nie mógł przyjść do siebie, nakoniec wyjąkał:

— Robinzonie, to ojciec Piętaszka!

Niepodobna opisać słowy radości poczciwego syna. Dwadzieścia razy opuszczał



czółno i wskakiwał do niego; rozpiął suknię i do nagiej piersi tulił głowę ojca, to znów nacierał rękami, wodą, ręce i nogi starego, zbolałe od twardego łyka, którem był skrępowany.

Nareszcie usłyszawszy moje wołanie, przybiegł zapytując, czego żądam.

— Czy też dałeś ojcu choć kawałek chleba? — zapytałem — zapewne musi być głodny.

— Och! nie! nie! Piętaszek żarłok łakomy, zły, wszystko zjadł, a dla ojca nie ma nic, nic...

— Uspokój się, oto masz chleb, daj mu także, aby się posilił!

Piętaszek podziękował mi tliwem spojrzeniem: oddał ojcu, a potem puścił się jak strzała ku zamkowi; napróżno wołałem za nim. W kwadrans powrócił niosąc bochenek chleba i kawał koziej pieczeni. Posililiśmy się wszyscy, a potem zapytałem po angielsku Europejczyka, skąd pochodzi. Nie posiadając tego języka, odrzekł mi po łacinie: »Christianus, Hispanus sum«. (To znaczy: Jestem chrześcijanin, Hiszpan. Przyj.)

Wymawiając te słowa i patrząc na mnie wzrokiem pełnym wdzięczności, mówił coś, lecz go nie zrozumiałem. Wtem przyszło mi na myśl użyć mowy portugalskiej, której się nauczyłem w Brazylii. Odpowiedział mi natychmiast w tym samym języku, bo go dobrze umiał.

Należało wracać do domu, tem bardziej, że zaczynało się chmurzyć na zachodzie, lecz jakim sposobem przetransportować chorych, nie mogących postępować o własnej mocy? Piętaszek zaradził temu, wskazując na łodzie dzikich. Do zamku morzem nie było dalej jak pół mili, wsadziliśmy więc Hiszpana do czółna, w którem już był ojciec Piętaszka, i wpół godziny wpłynęliśmy do zatoki. Młody mój towarzysz powrócił na plac

bitwy i przywiózł na drugiej łodzi broń naszą i trofea dzikim zabrane.

Zrobiliśmy nosze z gałęzi i przenieśliśmy na nich ocalonych jeńców; ponieważ zaś niepodobna było przebyć z nimi wysokiego muru i ostrokołu, przeto po krótkiej naradzie rozbiliśmy namiot obok budki Piętaszka. Stół, dwa stołki i dwa tapczany z desek, na pakach ułożone, które wysłaliśmy słomą, a przykryliśmy żaglami, stanowiły sprzęty nowego pałacu. Ułożywszy na nich chorych,



pootulaliśmy ich wełnianemi kołdrami. Jakaż to była przyjemność dla biedaków, mających przed paru godzinami umrzeć!

Jedna tylko okoliczność trwożyła mnie, to jest obawa, aby dwaj dzicy, którym powiodło się ujść na jednej z łodzi, nie powrócili w towarzystwie kilkuset swoich rodaków. Poleciłem więc Piętaszkowi zapytać się ojca, coby o tem sądził. Zdaniem jego niepodobna, aby ludożercy dostali się na swoją wyspę, gdyż burza, właśnie w tej chwili huczą-

ca, niezawodnie zatopi ich czółno, albo też zapędzi do wyspy ku wschodowi leżącej i tam od nieprzyjaznych sobie krajowców zostaną schwytani i pożarci. Jeżeli zaś cudem jakim uda im się przedrzeć do domu, to nie tylko nie zachęcą swych współziomków, ale raczej odstraszą ich od dalszego odwiedzania naszej wyspy. Kiedy bowiem leżał związany, słyszał, jak uciekający, drżąc od strachu, nazywali nas złymi bogami, którzy na swe zawołanie mają błyskawice i pioruny.

Piętaszek na mój rozkaz zabił młode koźlę, którego przodek ugotowaliśmy na zupę z dodatkiem ryżu i korzeni, tylne ćwiartki piekły się na różnie, a miły ich zapach łechtał przyjemnie podniebienie.

Posiliwszy i ułożywszy naszch gości, poleciłem Piętaszkowi czuwać nad nimi, sam zaś udałem się na spoczynek, ale długo usnąć nie mogłem, gdyż stanęły mi w oczach wypadki całego dnia i stoczona walka we wszystkich szczegółach. Od trzynastu lat, jak zamieszkałem wyspę, liczba ludności pomnożyła się w czwórnasób, ale chociaż nie była wielką, to za to rozmaitość narodowości i wyznań nadawała mojemu państwu wydatną cechę. I tak: ja byłem anglikaninem; Piętaszek wyznawał tęż samą religię, lecz był Karaibem; ojciec jego był także Karaibem, ale przytem poganinem i ludożercą; nakoniec ocalony Europejczyk był Hiszpanem i katolikiem. Jednak ta rozmaitość na-

rodowości i wyznań nie przeszkadzała wcale, żeby stosunki pomiędzy mieszkańcami były jaknajlepszemi.

XXXVII.

Historya Hiszpana — plan mój sprowadzenia jego towarzyszy z sąsiedniej wyspy — odroczenie go — wspólna praca — żniwa — układ — wyprawa.

Na drugi dzień rano wziąwszy łopaty, udaliśmy się z Piętaszkiem na pobojowisko dla pochowania poległych Karaibów. Za powrotem zastaliśmy naszych gości, przechadzających się wewnątrz zagrody z opuncyi, która przez kilkanaście lat wyrosła wysoko, stanowiąc nieprzebytą ścianę.

Z Hiszpanem rozmawiałem po portugalsku, Piętaszek zaś służył za tlómacza pomiędzy mną i ojcem swoim. Obeszliśmy gospodarstwo: stary Karaib zachwyconym był mnóstwem narzędzi i sprzętów nieznanych mu i co chwila zapytywał syna o użytek tego lub owego. Hiszpan niemniej dziwił się urządzeniu całego zamku i z niezmierną ciekawością wysłuchał opowiadania mojej historyi. Nakoniec opowiedział mi swoje przygody w następujących wyrazach:

— Nazywam się Don Juan Castillos, szlachcic rodem z Vallladollid, w Hiszpanii. Płynąc do ujścia rzeki Rio de la Plata (Jest to ogromna rzeka w południowej Ameryce, na polskie znaczy »rzeka srebrna«. Przyj.) do Hawanny, zostaliśmy napadnięci przez

straszną burzę, która nas w te strony zapędziła. Śród nocy, przy jednej z wysp tutejszych usłyszeliśmy wystrzały z dział, wzywające ratunku. Pomimo usiłowań, nie mogliśmy dostać się do zagrożonego okrętu. W odległości na lądzie gorzał wprawdzie ogień, ale dla mnóstwa podwodnych skał, niepodobna było puszczać się ku brzegom. Wtem ujrzeliśmy pędzoną falami bezradnie szalupę, na której znajdował się sternik i czterech majtków. Przyjęliśmy ich na pokład. Pochodzili zapewne ze statku, o rozbiciu którego opowiadałeś mi przed chwilą. Ale i nam samym nie poszło lepiej: miotani wiatrem, rozbiliśmy się na brzegach wyspy, skąd pochodzi ten dziki.

Szesnastu Hiszpanów i dwóch Portugalczyków wraz ze mną zdołało w szalupie dostać się do brzegu, lecz reszta załogi utonęła. Lękaliśmy się dzikich, bo choć opatrzeni w szable i strzelby, nie mieliśmy prochu. Ale Karaibowie przyjęli nas gościnnie i pomieścili w swej wiosce; wkrótce jeden z Portugalczyków umarł, nie mogąc się przyzwyczaić do nędznej strawy dzikich. Chcieliśmy dostać się do osad naszych, lecz nie mając narzędzi, niepodobna zbudować statku, a w łodziach Karaibów byłoby szaleństwem powierzać się oceanowi.

Przed kilku dniami najechali na nas sąsiedni wyspiarze. Wszystko co żyło, pochwyciło za broń. Musieliśmy walczyć w obronie naszej i naszych gospodarzy; w bi-

twie z nimi stoczonej zwyciężyliśmy wprawdzie nieprzyjaciela, ale ostatni Portugalczyk poległ, ja zaś dostałem się do niewoli. Przywieziono nas tu na wyspę i już mieliśmy być pożarci, kiedy twoja szlachetna pomoc ocaliła nas od okrutnej śmierci. Oto moja historya, Robinzonie.

— Wiesz co bracie – zawołałem, - mam myśl ocalenia twoich współziomków.

— O! byłbyś naszym aniołem opiekuńczym, a wdzięczność dla ciebie nie miałaby granic, — odpowiedział Don Juan.

— Słuchaj więc: trzeba tu sprowadzić wszystkich współziomków, a wtedy mając podostatkiem narzędzi, zbudujemy obszerny statek, zaopatrzymy go w żywność, broń i działa i podczas stałych pogód, panujących tu przez znaczą część roku, puścimy się na morze dla wyszukania osad hiszpańskich lub angielskich.

— Przecudny to plan! O jakżeś dobry, Robinzonie!

— Jedna mnie tylko okoliczność od jego wykonania wstrzymuje.

— Cóż takiego? — zapytał niespokojnie Hiszpan.

— Oto bojaźń, abym źle nie wyszedł na mojej dobroci.

— Jakto? — zagadnął zdziwiony.

— Wiesz, jaka nieprzyjaźń dzieli nasze narody, lękam się więc, abyście za przybyciem do osad hiszpańskich, nie oddali mnie jako Anglika w ręce wielkorządzcy.

Wyrazy te widocznie zasmuciły bardzo Hiszpana.

— Wielki Boże! — zawołał — czyż możesz nas mieć za takie potwory? Doznaliśmy tyle nieszczęść i przeciwności, jak więc możesz sądzić, byśmy zbawcy naszemu tak czarną odpłacali niewdzięcznością?

— Właśnie też — zawołałem, - najczęściej ludzie złem za dobre odpłacają, a wdzięczność coraz bardziej wychodzi z mody. Wreszcie tobie wierzę, ale któż mi zaręczy za twych współziomków?

— W takim razie pozwól, abym ze starym Karaibem odpłynął do wyspy, gdzie dotąd mieszkaliśmy. Zabiorę z sobą papier i wszystko co do pisania potrzebne, spiszemy kontrakt, że uznajemy we wszystkiem twoją władzę i złożymy ci przysięgę na wierność. Ja wykonam ją także jeszcze przed odjazdem, a gdyby się znalazł złoczyńca, któryby tego układu nie dotrzymał, to ukarzemy go za to śmiercią.

W twarzy Hiszpana, kiedy wymawiał te wyrazy, było widać taką szczerość, żem mu zupełnie zaufał, więc też przystałem na umówiony układ. Już wszystko było ułożonem co do dnia i godziny wyprawy, kiedy on sam zwrócił uwagę, że trzeba się jeszcze pół roku wstrzymać, albowiem zapasy żywności, a głównie zboża, dostateczne dla mnie i Piętaszka, a nawet dla nas wszystkich, nie wystarczyłyby długo na wyżywienie dwudziestu ludzi. Postanowiliśmy zatem

duży kawał ziemi uprawić i obsiać, a dopiero po ukończeniu żniw przedsięwziąć zamierzoną wyprawę.

Ponieważ było nas dosyć i mieliśmy dostateczny zapas broni i amunicyi dla oparcia się najazdowi dzikich, zatem uprawa i zasiewy odbyły się bez najmniejszej obawy. Nie chcąc zaś wytępiać bez potrzeby kóz oswojonych, polowaliśmy na dzikie, co nam odpowiednią ilość mięsa dostarczało Co zaś nad potrzebę zostawało, soliliśmy i wędzili,



aby dla przyszłych mieszkańców przygotować większe zapasy żywności.

Wśród tego czasu wyznaczyłem kilkanaście drzew, do budowy przyszłego statku przydatnych. Piętaszek, jego ojciec i Hiszpan ścinali je i obrabiali, a ponieważ było parę dużych pił, przeto wystawiliśmy rusztowanie, jakiego używają tracze, i porżnęliśmy

na deski najdłuższe pnie, poukładawszy je w cieniu, aby dobrze wyschły.

Nadeszły nakoniec żniwa, a zbiór wypadł tak pomyślnie, że otrzymaliśmy 70 korcy jęczmienia, 46 ryżu, żyta 14 i pszenicy 8. Te dwa ostatnie gatunki zboża z przyczyny gorącego klimatu, nie chciały się dobrze rodzić, dlatego też, gdybym miał dłużej zostać na wyspie, z pewnością zaprzestałbym ich uprawy. Obrobiliśmy jeszcze raz pola, ażeby na wypadek przedłużenia pobytu, można było przedsięwziąć zasiewy zaraz na wiosnę.

Po ukończeniu tych robót, nic już nie przeszkadzało do zajęcia się wyprawą. Don Juan i ojciec Piętaszka mieli przy pierwszym pomyślnym wietrze odpłynąć do zawarcia ugody z Hiszpanami. Aby mnie na każdy wypadek zabezpieczyć, spisał Hiszpan na dzień przed odjazdem rozkaz w następujących słowach:

»Ktokolwiek chce przybyć na wyspę, znajdującą się pod władzą Robinzona Kruzoe, winien wykonać uroczystą przysięgę, iż we wszystkiem podda się jego zwierzchnictwu, będzie wykonywał każdy jego rozkaz bez najmniejszego oporu. Nigdy nie zrobi nic na jego szkodę, a gdziekolwiek Robinzonowi spodoba się skierować statek, uda się tam, broniąc właściciela i jego majątku do ostatniej kropli krwi. Akt niniejszy każdy dobrowolnie zaprzysięgnie na Ewangelię Świętą i honor hiszpańskiego narodu. Kto-

by zaś nie chciał tego wykonać, ten nie zostanie przyjęty na wyspę Robinzona«.

Podpisaliśmy z Don Juanem ten układ, a on natychmiast wykonał mi przysięgę na wierność, przyobiecując przytem, że współziomkowie jego bez najmniejszego wahania toż samo uczynią.

Czółno karaibskie zaopatrzyliśmy w żywność i wodę na óśm dni, bo chociaż pogoda była piękna, a żegluga dłużej nad sześć godzin trwać nie mogła, jednak lękaliśmy się, aby burza nie napadła naszych żeglarzy, Dałem im dwie strzelby i po dziesięć naboi. z nakazem, żeby wystrzałów nie marnowali napróżno, lecz zachowali je na wypadek napotkania nieprzyjaznych Karaibów. Nadto wzięli z sobą dwie siekiery, świder i topór, oraz paczkę gwoździ, dla naprawy starej szalupy lub wybudowania wielkiej łodzi, potrzebnej do przewiezienia tak znacznej liczby osób. Nakoniec wręczyłem Don Juanowi pióra i flaszeczkę atramentu, aby mieli czem podpisać umowę.

Nastąpiła chwila odjazdu: Piętaszek rzucił się na szyję ojcu, okrywał go pocałunkami i pieszczotami: ściskał starego i płakał tak rzewnie, że mnie samemu cisnęły się łzy do oczu. Ja i Don Juan, podawszy sobie dłonie, uścisnęliśmy się serdecznie, życząc sobie rychłego zobaczenia się. Poczem wsiedli do czółna, zaopatrzonego masztem i żaglem, a wiatr pomyślny zaczął je pędzić w

pożądanym kierunku. Długo, długo patrzyliśmy za nimi, dopóki tylko jeszcze czarny punkt rozróżnić można było na morzu, a Piętaszek zalewał się rzewnemi łzami, jak gdyby nigdy już ojca nie spodziewał się zobaczyć,



Kiedy łódź nam z oczu zniknęła, udaliśmy się do świątyni, prosząc u stóp krzyża o pomyślną żeglugę i o szczęśliwy powrót naszych towarzyszy.

XXXVIII.

Piętaszek spostrzega szalupę — obawa napadu — przygotowania do obrony — wichrzyciele i więźniowie — narada — potyczka z rokoszanami — zdobycie szalupy — konwój więźniów.

Don Juan i ojciec Piętaszka odpłynęli z wyspy w dniu 11 sierpnia 1677, to jest w czternastym roku mego na wyspie pobytu.

Wyprawa ich była pierwszym pewnym krokiem po tak długim przeciągu lat, przedsięwziętym do wyzwolenia się z wygnania; pierwszy raz miałem nadzieję, że nareszcie dostanę się do ojczyzny.

Wszystkie wolne me chwile zaprzątała myśl, jakby ten zamiar przywieść do skutku. Nadzieja i obawa opanowywały duszę na przemian: raz cieszyłem się jak dziecko blizkiem spełnieniem zamysłów, to znów drżałem ze strachu, aby burza nie zatopiła Hiszpana i Karaiba, aby pozostali przyjęli układ, lub nareszcie, by w powrocie nie zaskoczyła ich burza morska. Podług umowy mieli przybyć dopiero na wiosnę, lecz któż mógł za to ręczyć, czy zniecierpliwieni długim pobytem między Karaibami, nie zechcą korzystać z resztek pogodnej pory i nie puszczą się natychmiast z powrotem?

Czasami znowu dręczyła mnie inna myśl: czy też za moim powrotem do Anglii, zastanę jeszcze przy życiu moich rodziców?.... czy nie byłoby lepiej zakończyć tu życie na bezludnej wyspie, aniżeli w domu śmierć ich opłakiwać? W takim nieznośnym stanie duszy przebyłem parę tygodni, gdy w dniu 28 sierpnia o świcie zbudził mnie Piętaszek, wołając:

— Panie! Robinzonie, wstawaj! wstawaj! już są!

Zerwałem się z łóżka, wciągnąłem szybko suknie, a nie myśląc o niebezpieczeństwie, nie wziąwszy nawet broni, pobiegłem

ku wybrzeżom. Lecz jakież było moje przerażenie, gdy wybiegłszy z lasku, otaczającego zamek, ujrzałem na morzu dużą szalupę, pędzoną wiatrem ku brzegom.

— To nie nasz statek — krzyknąłem z trwogą — oni płyną od zachodu, a nasi mieli przybyć z południa! Ukryjmy się, ukryjmy co żywo, bo któż wie, czy to przyjaciel czy wróg?

Natychmiast pośpieszyliśmy ku zamkowi. Postawiłem Piętaszka przy nabitym kilkunastu kulami falkonecie, z lontem w ręku, i rozkazałem mu, aby natychmiast dał ognia, skoro zakomenderuję, sam zaś wybiegłem na strażnicę, uzbrojony w strzelbę i dalekowidz.

Zaledwie wdarłszy się na skałę zwróciłem oczy na morze, gdy w odległości dwóch mil morskich spostrzegłem okręt, stojący na kotwicy, a z budowy jego można było od razu poznać, że jest pochodzenia angielskiego, podobnież jak szalupa, zbliżająca się coraz bardzie ku brzegom.

Na ten widok serce zabiło mi gwałtownie. Była to dla mnie niewypowiedziana radość, iż zobaczę się nakoniec z Anglikami, rodakami, braćmi. Lecz wkrótce zatruło ją powątpiewanie i trwoga. Skąd w tym odludnym zakącie mórz mógł się znaleść okręt angielski? Wszakże marynarze i kupcy nasi nie zapuszczają się nigdy w te strony; żaden okręt europejski nie zawija do tych niegościnnych brzegów, gdzie niema ani

osad, ani przystani handlowych. Burza zaś ich tutaj nie zapędziła, bo od trzech miesięcy najmniejsza chmurka nie zasępiła widnokręgu. Należało więc być ostróżnym i ukrywać się, bo po takich zakątkach włóczą się tylko rozbójnicy lub bukaniery (»Bukanierami« nazywano w połowie 17-go wieku awanturników francuskich, którzy osiadłszy w Antylach i połączywszy się z różnymi śmiałkami innych narodów, z początku bili dzikie bydło i wędzili mięso, lecz później, tchnąc nienawiścią ku Hiszpanom, prowadzili z nimi zacięte wojny, niszcząc ich miasta nadbrzeżne, zabierając statki kupieckie i staczając bitwy z wojennemi flotami; później nazwano ich »Flibustierami«. Przyj.)

Długo jeszcze leżałem za odłamkiem skały z wymierzonym dalekowidzem, zanim szalupa przybiła do lądu. Szczęściem nie dostrzegli zatoki, w której łódka moja była ukrytą, gdyż byliby mnie niezawodnie odkryli. Załoga składała się z jedenastu ludzi, z których ośmiu miało szable, trzech zaś ze związanemi w tył rękoma stało w środku. Z ubioru przekonałem się, iż są rzeczywiście Anglikami.

Położenie jeńców musiało być nie najprzyjemniejszem, gdyż wznosili głowy ku niebu, wstrząsając związanemi rękami. Twarze ich były wybladłe, a krok niepewny. Zbrojni wyprowadzili ich na brzeg, jeden dobywszy szabli, zaczął wywijać nią nad głowami nieszczęśliwych jeńców. Następnie

posadzono ich pod drzewem, a cała gromada zbrojnych udała się ku lasowi, gdzieśmy przed paru miesiącami stoczyli bitwę z dzikimi. Dwóch pozostałych w szalupie obwinęło się w płaszcze i poukładało jakby do spoczynku.

Zbiegłem z góry, gdyż zajmowała mnie myśl oswobodzenia trzech związanych, lecz nie wiedziałem jak tego dokonać. O, gdyby Hiszpan i ojciec Piętaszka byli ze mną, bez wahania uderzyłbym na ich prześladowców, tem bardziej, że prócz pałaszy nie mieli innej broni. Położenie biedaków przypominało mi moje własne, kiedy wyrzucony przez fale, doznałem pomocy Bożej; teraz z kolei należało spłacić chociaż w części dług zaciągnięty i ratować od opuszczenia, a może i od śmierci tych nieszczęsnych więźniów.

Gdy szalupa przybiła do brzegu, przypływ morza dochodził do najwyższego stanu. Mniemałem więc nie bez słuszności, że przed odpływem nie powrócą do okrętu, miałem zatem przeszło dziesięć godzin czasu do przedsięwzięcia skutecznych kroków. Nieprzyjaciel był daleko groźniejszym od Indyan, z którymi stoczyłem walkę zwycięską. Należało postępować ostróżnie: nabiłem najprzód duże działo kulą, wymierzywszy je prosto na szalupę; potem drugi falkonet siekańcami z różnych kawałków żelaza, pozostałe zaś dwie strzelby, siedm muszkietów i cztery pistolety kulami.

Około południa, gdy upał zaczął mi mocno dokuczać, dostrzegłem z mej strażnicy, że sześciu awanturników pokładło się spać w lesie, o dwie mile angielskie od zamku odległym. Dwaj pozostali w szalupie także spali, nakoniec trzej związani siedli pod drzewem, tuż przy lasku, otaczającym moją twierdzę.

Chwila ta zdawała mi się być najstósowniejszą do uwolnienia jeńców. Wziąłem



strzelbę, dwa pistolety i pałasz; Piętaszek, podobnie uzbrojony, niósł jeszcze trzy muszkiety i trzy szable.

Wyglądałem straszliwie: ubiór z kozich skór nadawał mej postaci jakąś dzikość,

ogromne wąsy i broda, oraz włos długi, spadający na ramiona, przy ogorzałej od słońca twarzy, dodawały mi niemniejszej grozy. Zbliżywszy się niepostrzeżony ku siedzącym jeńcom, zapytałem po angielsku:

— Kto panowie jesteście?

Zrazu przerazili się bardzo. Zerwawszy się z miejsca zaczęli uchodzić i tylko więzy przeszkadzały im w ucieczce. Widząc to rzekłem:

— Nie lękajcie się wcale, przybywam wam na pomoc.

Słowa te wywołały czarodziejski wpływ na jeńców, tem bardziej, gdy porozcinałem ich więzy. Jeden z nich wyprostowawszy zbolałe ręce, zdjął kapelusz i rzekł:

— O panie! bądź zbawcą i opiekunem nieszczęśliwych, a Bóg ci wynagrodzi.

— Uspokójcie się: jestem Anglikiem tak jak wy, i pragnę was wyzwolić. Jest nas tu, jak widzicie tylko dwóch, lecz mamy podostatkiem broni i amunicyi. Powiedzcież więc bez ogródki, co wam się przytrafiło, w czem możemy być wam użyteczni?

— Długa to historya — odrzekł najstarszy — i nie wiem, czy starczy czasu na jej opowiadanie, bo lada chwila mogą wrócić nasi wrogowie. Lecz powiem ci krótko. Jestem kapitanem okrętu, stojącego na kotwicy opodal wyspy. Ludzie moi zbuntowali się, zamierzając z początku mnie zabić, lecz ponieważ niektórzy prosili za mną, przeto postanowiono wysadzić nas na tę wyspę

wraz z porucznikiem i tym podróżnym, który opierał się ich zamiarom.

— Pójdźcież za mną — rzekłem, cofając się w głąb lasku.

Gdyśmy stanęli w gęstwinie, przemówiłem do uwolnionych w następne słowa:

— Panowie! gotów jestem dopomódz wam do pokonania buntowników, pod dwoma jednak warunkami:

— Przystajemy na nie z góry — zawołał kapitan.

— Wysłuchajcie ich wprzódy. Po pierwsze: żądam, abyście dopóki zostajecie na wyspie, byli mi we wszyskiem posłusznymi. i broń, którą wam powierzam, zwrócili na każde me żądanie i nie starali się nam szkodzić pod żadnym względem. Powtóre: jeżeli przy mej pomocy odzyskacie wasz okręt, abyście nas obu z naszemi ruchomościami przewieźli bezpłatnie do Europy.

— Dodaj jeszcze trzeci — zawołał z zapałem kapitan — że się zobowiązujemy walczyć za ciebie do ostatniej kropli i ofiarować ci 2000 funtów szterlingów za twą uczynność.

— Obronę przyjmuję, lecz nie chcę żadnego wynagrodzenia; raz bowiem jestem dość bogatym, a powtóre, uczynku chrześcijańskiego nie spełniam za pieniądze.

— Przebacz, jeżeliśmy obrazili twą delikatność — rzekł kapitan, ściskając moją rękę.

— A więc do dzieła! zawołałem. — Oto macie trzy muszkiety i amunicyę, oraz trzy szable. Mniemam, że najlepiej palnąć do śpiących, a jeżeli reszta obudzi się i będzie prosić o łaskę, możemy im darować.

— Nie, nie — odrzekł kapitan. — Wprawdzie ci łotrzy ciężko zawinili, lecz nie wszyscy są zarówno złymi. Dwóch z nich tylko zasługuje na śmierć bez litości, lecz inni dadzą się na dobrą drogę naprowadzić.

— Czyń jak ci się podoba — rzekłem, podając im broń.

W kwadrans później, byliśmy już o kilkadziesiąt kroków od śpiących, zakryci krzewiną. Wtem z krzaków wyszło dwóch majtków.

— Czy to są naczelnicy buntu? — zagadnąłem.

— Nie...

— Pozwólmy im więc odejść spokojnie gdyż snać Opatrzność nie chce ich śmierci, skoro się na czas przebudzili.

Kapitan z dwoma towarzyszami poskoczył naprzód. Szelest kroków i szczęk broni zbudził śpiących wichrzycieli. Zerwali się z przestrachem, lecz w tej chwili kapitan i porucznik dali ognia. Kula ugodziła jednego z hersztów w samo serce, drugi zaś powalił się z przestrzeloną piersią obok niego. Wtem i podróżny dał ognia, zadrasnąwszy w bok jednego z dwóch pozostałych. Ciężko ranny podźwignął się na kolana, lecz kolba kapitana zgruchotała mu czaszkę.

Na odgłos strzałów powrócili i tamci, którzy przed chwilą weszli w gęstwinę, ale widząc mnie i Piętaszka wychodzących z lasu, zamiast uderzyć na kapitana, wszyscy czterej rzucili się na kolana i błagali o łaskę. Tak odnieśliśmy zupełne zwycięstwo.

Kapitan, obróciwszy się do klęczących, zawołał:

— Wszyscy bez wyjątku zasłużyliście na śmierć, jednak mogę wam przebaczyć pod tym warunkiem, że żałując za popełnioną zbrodnię, przysięgniecie mi dopomódz do zdobycia okrętu.

Zwyciężeni przysięgali na wszystko, że będą posłusznymi i wiernymi. Kapitan chciał ich natychmiast uwolnić, lecz ja, uznając to za nierozsądne, wszedłem pomiędzy obie strony i rzekłem:

— Za pozwoleniem kapitanie, nie masz prawa rozrządzania losem tych ludzi, gdyż znajdując się na wyspie, winieneś posłuszeństwo jej gubernatorowi. Wiesz, pod jakimi warunkami obiecał ci udzielić pomocy, a zatem w imieniu gubernatora polecam ci związać tych ludzi i oddać pod straż moją.

Uważałem, że słowa te niezmiernie przestraszyły pojmanych. Powaga, z jaką je wymówiłem i posłuszeństwo kapitana, niezawodnie dały im wysokie wyobrażenie o potędze mniemanego gubernatora. Bez oporu tedy dali się związać. Rozkazałem Piętaszkowi, aby przy pomocy porucznika za-

prowadził ich i zamknął w jaskini; broń zaś zabraną ukryto w bezpiecznem miejscu.

Po odejściu ich naradzaliśmy się z kapitanem, co dalej czynić wypada. W szalupie było jeszcze dwóch, którzy z przyczyny odległości, strzałów nie słyszeli. Spodziewaliśmy się podejść ich szczęśliwie; lecz na okręcie znajdowało się 26 ludzi, opatrzonych w broń i gotowych walczyć do upadłego, ponieważ znali surowość prawa, orzekającego karę śmierci na wichrzycieli. Trzeba więc było wymyślić jakiś podstęp, ażeby opanować statek.

— Sądzę — rzekłem, — iż pozostali na okręcie, nie mogąc się doczekać powrotu towarzyszy, wyślą czółno, przedewszystkiem trzeba więc opanować szalupę, aby nie mogli jej uprowadzić.

Wyruszyliśmy zatem zaroślami ku przystani. Jeden z majtków, na straży zostawionych, zapuścił się w krzaki i właśnie zajmował się rwaniem bananów, kiedyśmy go z nienacka podeszli. Widząc wymierzone strzelby, poddał się bez oporu.

Przywiązałem go do drzewa, zakneblowawszy mu usta, poczem śmiało poszliśmy ku szalupie. Trzeba widzieć przestrach drugiego majtka, gdy nas ujrzał wychodzących z zarośli z bronią, a mianowicie gdy poznał kapitana. Nie myśląc nawet o obronie, rzucił się na twarz, błagając litości.

Naówczas zabrałem obu przestępców i zaprowadziłem ich do chatki Piętaszka i tam mocno przywiązałem do słupów; potem wróciłem na wybrzeże. Tymczasem kapitan z podróżnym oderwali parę desek z dna szalupy: wyciągnęliśmy ją z trudem na brzeg, do czego dopomógł nam Piętaszek, z porucznikiem w tej chwili przybywający.

Po dokonaniu tej ciężkiej pracy, zabrałem moich gości do zamku, gdzie wypoczęli i posilili się, ale jeszcześmy nie skończyli obiadu, kiedy wystrzał działowy dał się słyszeć z okrętu, widocznie dla przywołania szalupy. Po kwadransie zahuczał drugi, następnie trzeci i czwarty, lecz rzecz prosta, że nasi więźniowie nie mogli tego wezwania usłuchać.

Natychmiast udaliśmy się na strażnicę z dalekowidzami dla przypatrzenia się, co dzieje się na okręcie. Załoga, nie mogąc się doczekać powrotu szalupy, wywiesiła różnobarwną flagę, jako sygnał ostateczny, wzywający do powrotu; lecz gdy i to nie skutkowało, spuszczono czółno na wodę.

Wkrótce zbliżył się nowy statek, tak, iż mogliśmy rozpoznać nawet twarze będących na nim ludzi. Wszyscy mieli broń palną.

— Na nieszczęście — zawołał kapitan — pomiędzy ludźmi w czółnie tylko czterech jest takich, których pogróżkami do buntu wciągnięto. Reszta zaś, mianowicie też sternik, są to prawie główni wichrzyciele: w razie spotkania nie możemy się spodziewać,

ażeby nam poszło tak łatwo jak za pierwszym razem.

— Wierz mi kapitanie — rzekłem na to — że za przybyciem tu, znajdowałem się w gorszem położeniu od ciebie, a jednak Bóg mnie z niego wydźwignął; miej zatem nadzieję, że i ciebie nie opuści.

— Dziękuję ci za dodawanie mi odwagi, jednakże jeżeli mam szczerze powiedzieć, nie spodziewam się, abyśmy z tej sprawy wyszli cało.

XXXIX.

Druga łódź — śmierć głównych buntowników — wymowa Robertsona — gubernator — wypadki na okręcie — wyrok na winnych — przygotowania do opuszczenia wyspy.

Tymczasem szalupa zbliżyła się do lądu. Siedmiu ludzi wyskoczyło na ląd, trzech zaś pozostało na straży. Z gęstwiny lasku otaczającego zamek, mogliśmy się doskonale przypatrzeć, sami nie będąc wcale widziani. Najpierwej pobiegli do pierwszej szalupy, lecz wpadli w niezmierne przerażenie, ujrzawszy ją przedziurawioną na wylot i ogołoconą z masztu, żagli i wioseł.

Przez chwilę stali jakby wrośnięci w ziemię, nareszcie wydali głośny krzyk, a gdy tenże pozostał bez odpowiedzi, wystrzelili naraz. Lecz i tym razem głucha cisza panowała dokoła, tylko echo przeciągłym grzmotem powtórzyło donośny huk ręcznej broni.

Widać, że grobowe milczenie nie bardzo im było przyjemnem, albowiem po krótkiej naradzie wsiedli na łódź i odbili od brzegu. To znów wcale nie było mnie na rękę; odwróciłem się więc żywo w przeciwną stronę i wydałem przytłumiony krzyk, tak, ażeby go usłyszeli, a nie poznali skąd pochodzi.

Szalupa skierowała się natychmiast ku lądowi. Widząc to, szepnąłem Piętaszkowi, aby z podróżnym udali się w wąwóz, gęsto



zarosły, a odszedłszy o kilkaset kroków, wydawali krzyki dla zwabienia osady czółna, kiedy zaś odprowadzą ją daleko, by znanymi manowcami do nas wracali.

Podstęp ten przewybornie się udał. Zaledwie majtkowie zbuntowani usłyszeli krzyk w lesie, natychmiast odpowiedzieli nań i pospieszyli w gęstwinę. Tego nam też było

potrzeba; kiedyśmy pomiarkowali z głosu, że są już dość daleko, postanowiliśmy napaść pozostałych na straży.

Wysłańcy nasi przewybornie się sprawiali; wydostawszy się z wąwozu i idąc wciąż lasem, wiedli ich z pagórka na pagórek, coraz dalej i dalej, nareszcie wydawane głosy i naszych obu towarzyszy i wichrzycieli znikły w oddaleniu.

Wówczas pośpieszyliśmy ku brzegowi. W szalupie był tylko jeden majtek, drugi kąpał się w morzu, trzeci zaś usnął w krzakach. Kapitan, poznawszy w śpiącym jednego z dowódców wichrzycieli, kolbą mu głowę roztrzaskał. Dwaj drudzy poddali się zaraz, tem bardziej, że ich tylko uwiedziono i już poprzednio żałowali przyłączenia się do buntu.

Obadwaj przyrzekli kapitanowi pomagać ze wszystkich sił, z żalem wyznawając swą winę:

— Gdybyśmy się — rzekł jeden — odważyli im sprzeciwić, byliby nas zamordowali; życie poświęcimy za pana, jeżeli tylko zechcesz przebaczyć nam łaskawie.

Kapitan prosił, abym obudwóch uzbroił, zaręczając za ich wierność. Uczyniłem to też, a tak siły nasze zwiększyły się.

Pomiędzy sześciu jeńcami, znajdującymi się w jaskini, było czterech takich, którym kapitan i porucznik ufał; że zaś i dwaj majtkowie potwierdzili to zdanie, zatem kazałem ich przyprowadzić i także uzbroić. Wojsko

nasze wynosiło więc dziewięciu ludzi, nie licząc mnie i Piętaszka.

Noc już zapadała, kiedy obaj towarzysze przybyli z swej wycieczki. Wspólnemi siłami wyciągnęliśmy czółno i przedziurawili jak szalupę, poczem posiliwszy się i wypocząwszy, oczekiwaliśmy na przybycie zbłąkanych.

Może w godzinę potem nadciągnął nieprzyjaciel: cała gromada klęła w szkaradny sposób. Jeden narzekał na głód, drugi na pragnienie, a wszyscy wogóle użalali się na próżną włóczęgę, która ich nadzwyczajnie zmęczyła. Utykając co krok w ciemnościach, zbliżyli się wreszcie do szalupy. Nikt sobie wystawić nie zdoła ich pomieszania i przestrachu, gdy ujrzeli ją w podobnym stanie jak pierwszą. Z zajęciem słuchałem ich niedorzecznych uwag: jednym zdawało się, że to uczynili dzicy, inni twierdzili, iż to sprawka złych duchów, zamieszkujących tę zaczarowaną wyspę.

— Wszak wam już w lesie mówiłem — dowodził sternik — że nas zły duch wodzi po tych przeklętych bezdrożach, gdzie sobie nogi pozbijałem. Toć głos ich zupełnie odmienny od ludzkiego, a wy głupcy utrzymywaliście wciąż, że to wołanie naszych towarzyszy. Łaziliśmy jak niedołęgi po lesie, a tymczasem szatan popsuł nam czółno i jeszcze trzem pozostawionym łby poukręcał I cóż teraz poczniemy?

Wrzący zapalczywością kapitan chciał natychmiast uderzyć na wichrzycieli, ale go powstrzymywałem tłómacząc mu, że wśród ciemności walka mogłaby wziąć zły obrót i łatwo który z naszch mógłby poledz od wystrzałów.

Podczas tej cichej rozmowy, sternik, główny podżegacz buntu, wpadł w największą trwogę, wołał kilkakrotnie zaginionych towarzyszy, a gdy mu żaden nie odpowiedział, zaczął sobie z rozpaczy wyrywać włosy, płakać i załamywać ręce.

Widząc, że już dłużej nie zdołam powstrzymać kapitana, poleciłem mu, aby w towarzystwie podróżnego podpełznął ku sternikowi i z nim naprzód skończył. Wkrótce znajdowali się obaj zaledwie o trzydzieści kroków od niego. Wśród nocnej ciszy, przerywanej tylko wyrzekaniami majtków, rozległy się dwa silne strzały. Od pierwszego padł sternik, podróżny zaś zranił drugiego z naczelników tak ciężko, że w godzinę później ducha wyzionął.

Huk strzałów i jęk padających był hasłem do ogólnego ataku. Wypadliśmy na przerażoną hałastrę. Wśród ciemności nie mogli przeciwnicy rozpoznać naszej liczby, a echo, powiększając siłę wrzasku wydanego przez nas, przeraziło ich zupełnie. Korzystając z przestrachu wichrzycieli, nakazałem majtkowi imieniem Robertson, aby zawezwał ich do poddania się na łaskę i niełaskę.

— Tom Smith! — krzyknął Robertson — poddaj się natychmiast i zawezwij drugich, aby to samo uczynili, bo w tej chwili grad kul was zasypie!

Czy to ty, Robertsonie? — zapytał Smith z trwogą?

— Ja, stary łotrze, twój kolega z duszą i ciałem, skrępowany jak kołowrot kotwiczny. Ci zacni panowie, — bodaj im szatan łby poukręcał! — trzymają mnie jak w kleszczach. Zaklinam was zbrodniarze, rzucajcie broń, bo za chwilę i tak ją będziecie musieli puścić, gdy wam kule pogruchotają czaszki!

Poklepałem po ramieniu Robertsona za tę dzielną przemowę i podałem mu flaszkę z rumem, której wcale nie odepchnął.

— Komuż mamy się poddać? — zapytał drżącym głosem Smith.

— Komu? i ten się pyta pyta jeszcze, komu? Wytrzeszczże lepiej oczy, ty nietoperzu! Czyż nie widzisz pięćdziesięciu muszkieterów, których gubernator oddał pod dowództwo kapitana? Dalej plackiem na ziemię! Sternik poszedł już do swego kumotra lucypera, a Will Fry oddaje bluźnierczą duszę w jego szpony. Czy chcecie, żeby i wasze dusze powędrowały do piekła, niegodziwcy?

— A czy nam aby darują życie? — zagadnął inny.

— Cicho na Boga, Atkinsie! zawrzeszczał Robertson — nie odzywaj się przynajmniej sprawco wszystkiego złego. Jeśliś przyczy-

nił się swym bezbożnym jezykiem do uwiedzenia tych biednych ludzi, to nie pozbawiajże ich przynajmniej życia przez dłuższe ociąganie się.

Wszyscy otrzymacie przebaczenie — zawołał kapitan — wszak znacie mój głos.

To głos kapitana! — zawołał Smith.

— A zatem wszystkim obiecuję łaskę — powtórzył wyjąwszy Willa Atkinsa.

— Na miłość Boską, przebacz i mnie kapitanie — zawołał Atkins — alboż już jestem tak bardzo złym, żebym się nie mógł poprawić?

— Tyś pierwszy rzucił się na mnie i skrępował — odrzekł kapitan — więc dla ciebie nie ma przebaczenia!

— Łaski! łaski! kapitanie! — zawołali drudzy.

— Złóżcie wprzódy broń buntownicy — zagrzmiał głos kapitan — a potem będziemy mówili o łasce.

Natychmiast wichrzyciele broń złożyli, a kiedyśmy ich związali i zaprowadzili do lasku, kapitan przemówił surowo, przedstawiając całą obrzydliwość i niegodziwość występku, jakiego się dopuścili, oraz smutne następstwa popełnionej zbrodni.

— Chcieliście mnie zostawić na wyspie bezludnej — dodał, kończąc przemowę — ale Bóg inaczej rozrządził. Wyspę tę ma pod swoją mocą gubernator angielski, jego więc błagajcie o przebaczenie, gdyż ja tu nie

mam władzy rozkazywania. Przechodzicie teraz pod jego sąd.

Więźnie najpokorniejszemi słowami obiecywali poprawę i prosili kapitana, ażeby się raczył wstawić za nimi do gubernatora.

Ma się rozumieć, że tym gubernatorem byłem ja, lecz stałem z daleka, nie mięszając się wcale do tej rozprawy. Wysłuchawszy wszystkiego, wysłałem porucznika, który zbliżywszy się do kapitana, rzekł:

— Panie! jego ekscelencya pan gubernator życzy sobie z nim mówić.

— Powiedz pan jego ekscelencyi, że jestem na jego rozkazy — odrzekł kapitan.

Więźniowie, słysząc te słowa, uwierzyli, że rzeczywiście gubernator z oddziałem wojska znajduje się w pobliżu, a widząc odchodzącego kapitana, raz jeszcze błagali go, żeby się za nimi wstawił.

Naradziliśmy się po cichu. Wypadło z tego, aby Atkinsa i dwóch najzuchwalszych odprowadzić do jaskini, do reszty zaś przemówić, dać im zupełne przebaczenie, pod warunkiem, aby nam dopomogli do odzyskania okrętu.

Podczas gdy Piętaszek z podróżnym i jednym z najzaufańszych majtków odprowadzali więźniów, niosącz sobą żywność dla nich i schwytanych poprzednio ludzi, odbyliśmy naradę w sprawie zdobycia napowrót statku.

Przedewszystkiem należało zbadać usposobienie majtków, obdarzonych przebaczeniem, o ile mają chęć wspierać nasz zamiar. Kazałem ich przywołać do siebie.

Ciemność taka panowała wokoło, że nie mogli widzieć, jak wielka liczba wojska była pod moimi rozkazami.

— Słuchajcie i zważcie pilnie, co wam powiem: mógłbym kazać was wszystkich natychmiast rozstrzelać, a moim ludziom kazać zdobyć statek i wywieszać całą osadę, ale kapitan wasz być może za gorąco wstawia się za wami. Jeden tylko jest sposób zasłużenia sobie na łaskę: jeżeli o własnych siłach odzyskacie okręt, natenczas wam przebaczę, jeżeli nie, to rozkażę mym armatom rozpocząć ogień przeciwko statkowi, wyszlę łodzie na jego zdobycie, a wówczas wszyscy będziecie wisieli na rejach.

— Ekscelencyo! — zawołał Smith — przysięgamy wam na wszystko, że bedziem walczyć do ostatniej kropli krwi, walczyć jak opętani, aby odzyskać cześć i dobre imię, a dać dowód kapitanowi, że nas tylko uwiedziono.

Siły, któremi mogliśmy uderzyć na okręt stojący na kotwicy, składały się: z czterech jeńców, wziętych w lesie podczas bitwy; że jednak jeden był ranny w bok, zatem na trzech tylko można było liczyć; następnie dwóch wziętych ze straży czółna, pięciu, którzy w tej chwili zaprzysięgli wierność, nakoniec kapitana, porucznika i podróżnego;

wogóle trzynastu. Ja z Piętaszkiem nie należeliśmy do wyprawy, gdyż należało strzedz zamku i sześciu uwięzionych w jaskini.

Natychmiast wzięto się do naprawy przedziurawionych statków, co poszło bardzo prędko. Założyliśmy napowrót maszty, stery i żagle. W szalupę wsiadł kapitan, podróżny i pięciu majtków, na drugiem czółnie płynąć miał porucznik i pięciu innych majtków. Zanim odbito od brzegu, przemówiłem raz jeszcze do osady:

— Płyńcie z Bogiem i sprawcie się dobrze, a zaręczam wam słowem gubernatorskiem, że wszystko pójdzie w niepamięć; lecz jeżeli za godzinę nie usłyszę sygnału, umówionego z kapitanem, na znak odzyskania okrętu, natychmiast zasypię was kulami z moich bateryi dział. — Poczem odwróciwszy się do Piętaszka, rzekłem rozkazująco:

— Niechaj porucznik Dickby i kadet Maxwel wsiądą natychmiast w kanonierki[1]) i przetną okrętowi drogę do ucieczki; po dwudziestu ludzi na każdym statku będzie dosyć. Płynąć stroną przeciwną, a w razie przedłużenia się buntu, żadnemu nie dawać pardonu.

— Tak, panie! — odrzekł Piętaszek, odchodząc niby dla spełnienia moich rozkazów.

Nareszcie wyprawa odpłynęła. Ostatnie słowa moje musiały nawróconym majtkom napędzić strachu i zachęcić ich do użycia wszelkich sił dla odzyskania okrętu, gdyż

w razie niepowodzenia, śmierć im groziła od mniemanych bateryi dział i szalup kanonierskich.

W trzy kwadranse później około samej północy trzy wystrzały działowe z okrętu dały mi znać, że się wszystko powiodło szczęśliwie. Aby załogę utrzymać w mniemaniu, że baterye w istocie znajdują się na wyspie, wypaliłem po trzykroć z mej sześciofuntówki, znajdującej się na strażnicy. To, jak mi później opowiadał kapitan, wywarło bardzo zbawiennny wpływ i zjednało mi nie tylko ślepe posłuszeństwo, lecz nawet poświęcenie, gdyż okazałem się wspaniałomyślnym, mogąc a nie karząc śmiercią wichrzycieli.

Ucieszony szczęśliwem powodzeniem, a czując się nadzwyczaj zmęczonym, poszedłem do zamku z Piętaszkiem, a po chwili obadwa spaliśmy jak zabici. Nad ranem zbudził nas bardzo blizki wystrzał działowy. Wybiegłem na strażnicę i ujrzałem kapitana płynącego ku brzegowi w szalupie; okręt zaś o paręset sążni od wyspy stał na kotwicy.

Włożywszy paradny mundur, znaleziony na portugalskim okręcie, kapelusz i szpadę, wybiegłem naprzeciw kapitana, który właśnie na ląd wyszedł, a ujrzawszy mię rzucił się na szyję i zaczął ściskać, mówiąc:

— Zbawco mój! przyjacielu! oto twój okręt ze wszystkiem, co się na nim znajduje.

— A więc przecież po czternastu latach wygnania, ujrzę moją ojczyznę! Bóg zlitował się nademną i położył koniec długiej pokucie. Myśl ta wycisnęła łzy z moich oczu; mimo starannego powstrzymywania się, wybuchnąłem głośnym płaczem.

Gdym przyszedł do siebie, kapitan opowiedział mi szczegóły odzyskania okrętu.

— Przybliżywszy się do niego, rozkazałem Smithowi, aby oznajmił straży, iż odszukawszy towarzyszy, przywozi ich z sobą. Ciemność nocy nie dozwoliła rozpoznać straży, ilu i jakich ludzi przybywa; spuszczono drabinę, po której wdarliśmy się na pokład. W mgnieniu oka straż porwano i związano tak szybko, że żołnierz nie był w stanie wydać okrzyku. Na pokładzie ujrzałem cieślę okrętowego, najzagorzalszego z wichrzycieli; aby nie robić hałasu, zamiast strzelić, przeszyłem mu pierś szpadą. Porucznik z czterema ludźmi zbiegł do kuchni, aby pochwycić kucharza, podżegacza tej sprawy, ja zaś z podróżnym i sześciu majtkami poskoczyłem do kajuty kapitana, obranego przez buntowników. Drzwi były z wewnątrz zaparte: wysadziliśmy je. Na ten łoskot nędznik zerwał się z łóżka, lecz nim miał czas sięgnąć po broń, rozstrzaskałem mu kulą czaszkę.

Wystrzał zwabił resztę osady w liczbie dwunastu. Ujrzawszy zabitego kapitana buntowniczego i poznawszy mnie, jedni rzucili broń zdając się na łaskę, paru zaś chciało

uciekać, ale nadchodzący porucznik z swym oddziałem schwycił ich i skrępował. Naówczas rozkazałem poddającym się wykonać przysięgę wierności, co też chętnie uczynili, zwłaszcza, że Robertson swoją wymową napędził im wielkiego strachu, opowiadając o gubernatorze i wysłanych statkach dla przecięcia im ucieczki. Wystrzały twoje potwierdziły prawdę słów jego i tak odzyskałem statek. Zwłoki dowódcy wichrzycieli kazałem obwiesić na rei głównego masztu.

Skończywszy opowiadanie, kapitan prosił mnie, abym się udał na okręt w charakterze oficera, umocowanego przez gubernatora do osądzenia winnych i odrowadzenia okrętu do Anglii.

Aby utrzymać w błędzie osadę — dodał — powiedziałem, że gubernator rozkazał mi skierować ku przeciwnemu brzegowi wyspy, gdyż nie chce patrzeć na wichrzycieli, ani ich sądzić, ponieważ lęka się, aby go nie uniosła sprawiedliwa surowość.

Poleciwszy Piętaszkowi, jakie ma odłożyć rzeczy do zabrania do Europy, sam naradziłem się z kapitanem, jak sobie postąpić z jeńcami, będącymi w jaskini. Atkins i dwóch innych byli to łotrzy niepoprawni. Zabrawszy ich z sobą, musielibyśmy trzymać wszystkich trzech w więzach i w najbliższej osadzie angielskiej wydać w ręce sprawiedliwości. Kapitan, ukarawszy już kilku buntowników śmiercią, nie chciał powiększać rozlewu krwi.

Na mój rozkaz przyprowadzono sześciu skrępowanych wichrzycieli, wówczas rzekłem:

-- Jego ekscelencya gubernator wysłał mnie, abym was osądził.

— Łaski! łaski! — zawołali chórem.

— Łaski! — odpowiedziałem z pogardą — teraz jej żebrać umiecie, a nie wahaliście się podnieść rękę na kapitana i zabrać okręt, aby się puścić na rozbój morski. Jego ekscelencya, zwróciwszy statek właścicielowi, udzielił żałującym przebaczenia przez wzgląd, że dopomogli sami do jego odzyskania. Jednakże wina nie mogła ujść bezkarnie: oto kapitan buntowniczy wisi na rei — mówił dalej, wskazując na okręt — sternik, cieśla, Will Fry i trzech innych już nie żyją; teraz kolej na Atkinsa, kucharza i Harrego. Z rozkazu gubernatora jesteście skazani na śmierć, a kara dla przykładu całej osady zostanie wykonaną na okręcie.

Trzej obwinieni zaczęli gorzko płakać.

Wówczas kapitan i porucznik zaczęli mnie błagać, ażebym winnym przebaczył, do czego przyczyniły się także prośby innych majtków.

Długi czas opierałem się pozornie prośbom, nakoniec rzekłem:

— Dobrze więc, ponieważ tak bardzo za wami prosi wasz kapitan, zostaniecie przy życiu, lecz będziecie skazani na wygnanie w jednej z pustych okolic tej wyspy, pod warunkiem nie przekraczania granic

wam naznaczonych, w przeciwnym bowiem razie zostaniecie przez żołnierzy naszych schwytani i bez miłosierdzia na miejscu rozstrzelani.

Winowajcy padli mi do nóg z radości za darowanie życia. Postanowiłem dać im mieszkanie na folwarku: dla tego zaś zabroniłem opuszczać wyznaczonego miejsca, aby nie złupili broni i sprzętów, przeznaczonych dla Hiszpanów, i nie dowiedzieli się, że oprócz ich trzech, nikogo więcej na wyspie niema.

Spodziewałem się, że nastraszeni potęgą mniemanego gubernatora, nie ośmielą się wyjść z kryjówek, dopóki tamci nie przypłyną. Tymczasem zaś pozostawiłem im kilka korcy zboża, siekierę, nóż, nieco gwoździ, oraz łuk i strzały, wybrane z broni zdobytej na ludożercach, nie chcąc dawać strzelb w ręce takich ludzi.

We dwa dni potem zabrawszy wszystkie rzeczy, wyrobione przezemnie, jako to: ubrania i pościel z koziej skóry, nieco garnków, lampę, stół, krzesełka, parasol, oraz pieniądze zachowane w jaskini, których nieznany właściciel utonął podczas rozbicia się okrętu portugalskiego, a żaden z jego towarzyszy już nie żył, zamierzaliśmy podnieść kotwicę.

Przy wnijściu do zamku zostawiłem list do Hiszpana po portugalsku napisany, aby Atkins, jeżeli go znajdzie, zrozumiał. W liście tym doniosłem mu o zamurowanym

składzie amunicyi w jaskini, jakoteż poleciłem, aby zawsze miał na baczności zostawio-



nych Anglików i uważał ich za podległych swej władzy.

XL.

Pożegnanie wyspy — żegluga do Anglii — Londyn — wdowa po kapitanie — powrót do Hull — co tam zastałem — odrętwienie i życie odludne — odwiedziny plantatora — dobre wiadomości — podróż do Brazylii — zukupno różnych rzeczy — niespodziewany majątek — odpłynięcie z Bahii.

Dnia 31 sierpnia 1677 roku, w lat 13, miesięcy 11 i dni 7 po mojem przybyciu na wyspę, miałem ją wreszcie opuścić i wrócić pomiędzy swoich, do lubej ojczyzny, której od dziewiętnastu lat nie widziałem. Radość moja była trudną do opisania, lecz gdy nadszedł dzień stanowczy, kiedy ujrzałem wschód słońca, mającego ostatni raz oświecić mą

wyspę, serce mi się ścisnęło i łzy napełniły oczy. Tu przeżyłem lat tyle. Tu Opatrzność przez swe mądre zrządzenia dozwoliła, żem się stał z próżniaka i włóczęgi człowiekiem pracowitym. Tu wreszcie przybyłem dwudziestotrzech-letnim młodzieńcem, a dziś, po spędzeniu na pustyni uroczych dni młodości, powracam jako trzydziestosiedmio-letni mężczyzna. Raz jeszcze obiegłem najpamiętniejsze dla mnie miejsca, pożegnałem zamek, uściskałem kozy, nareszcie poszliśmy obydwaj z Piętaszkiem do naszej świątyni na górze i tam spędziłem dwie godziny na modlitwie gorącej i serdecznej, dziękując Bogu za wszystkie łaski i dobrodziejstwa, od Niego w tym długim czasie otrzymane.

Nakoniec wszedłem do łodzi w towarzystwie Piętaszka, który nie dał się nakłonić do pozostania na wyspie. Papugę, Amiga i dwie najulubieńsze kozy zabraliśmy ze sobą.

Długo stałem na pokładzie z Piętaszkiem, wpatrując się w niknące góry ukochanej wyspy. On także miał oczy łzą zaszłe, gdyż rozstawał się, kto wie na jak długo, z swym ojcem, którego szczerze kochał.

Miałem zamiar kiedyś tu powrócić, choćby dla odwiezienia Piętaszka i zobaczenia, co się dzieje z mojem królestwem.

Podróż nasza odbyła się pomyślnie, tak iż dnia 25 listopada tegoż roku zawinęliśmy do brzegów Anglii.

Skądże wezmę słów dla wyrażenia mych uczuć na widok ukochanej ojczyzny, od tylu lat niewidzianej. W żadnej podobno mowie ludzkiej takich nie znajdzie. Bóg tylko jeden widział stan mojej duszy. On słyszał bicie mego serca, czuł łzy gorące, spływające mi do twarzy. O! ta niezapomniana chwila była mi sowitą nagrodą za wszystkie trudy i cierpienia.

Bez zatrzymania podążyliśmy do Londynu. Dnia 4 grudnia zarzuciliśmy kotwicę przy wybrzeżach przedmieścia Southwark.

Naprzód wywiedziałem się o mieszkaniu wdowy po mym przyjacielu, kapitanie portugalskim, z którym przed ośmnastu laty odbyłem pierwszą podróż do Gwinei. Żyła jeszcze, trzymając niewielki sklepik na Flinchlane. Przebyła wiele nieszczęść i dziś zostawała prawie w niedostatku; wsparłem ją podarunkiem stu funtów szterlingów, za co błogosławiła mnie jak matka.

Dołączywszy do znalezionego skarbu na okręcie moje dawne pieniądze, pomimo udzielonej sumy wdowie, miałem jeszcze 6,500 funtów, co stanowiło znaczny majątek. Pragnąłem nim osłodzić podeszłe lata rodziców i spieszyłem do Hull, aby im upaść do nóg z prośbą o przebaczenie.

O Boże! jakaż mnie ciężka dotknęła dola! Oboje już nie żyli. Ojciec przed jedenastu laty zstąpił do grobu, a matka zgasła przed półtora rokiem w dniu 31 lipca 1676 roku. Straciłem więc wszystko co miałem

najdroższego na ziemi... straciłem bezpowrotnie!... Dziś biedny sierota, opuszczony, samotny, nie mam gdzie przytulić głowy, a nawet sam Bóg, moja jedyna ucieczka, już mi tej straty nie wróci.

Poszedłem na cmentarz, gdzie spoczywały święte prochy rodziców i tam tarzałem sie z boleścią. Zdawało mi się, że mi serce pęknie, że zmysły stracę z żalu i rozpaczy.

Omdlałego zaniesiono mnie do domu. Przez kilka tygodni walczyłem z śmiercią, powalony straszną gorączką. Pośród niej o niczem nie mówiłem, jak tylko o rodzicach, którzy pomarli nie udzieliwszy mi przebaczenia i błogosławieństwa. Wierny Piętaszek czuwał nademną. I czy uwierzycie czytelnicy, że wstawszy z choroby, uczułem się o 20 lat starszym? Włosy mi posiwiały, straciłem dawną energię i już nic mnie nie cieszyło na świecie.

W takim stanie przeżyłem trzy lata, nie myśląc wcale o odwiedzeniu mej wyspy. Wtem jednego dnia Piętaszek dał mi znać, że jakiś obcy żąda się ze mną widzieć.

Chociaż miałem wstręt do ludzi, jednakże kazałem go wpuścić.

Był to pan portugalski, mogący mieć przeszło lat czterdzieści, bogato ubrany.

— Pan przebaczy — rzekł do mnie. — Wszak pan nazywa się Robinson Kruzoe?

— Nie inaczej — odpowiedziałem, prosząc, aby usiadł.

— Ten sam, który niegdyś mieszkał w Brazylii?

— Tak jest, ale w czem mogę być panu użytecznym?

— Daruj mej ciekawości panie, lecz chciałbym się dowiedzieć o szczegółach waszego pobytu w Brazylii. Czy nie zechciałby mi ich pan powiedzieć?

Uczyniłem zadość życzeniu obcego, a gdy skończyłem moje opowiadanie, powstał, pochwycił mnie za rękę i zapytał:

— Czy nie poznajesz mnie pan, panie Kruzoe?

Wpatrywałem się długo w jego twarz. Rysy jego nie były mi obce, lecz nazwiska żadną miarą przypomnieć sobie nie mogłem.

— Czy nie pamiętasz nazwisk twoich wspólników w zamierzanym handlu murzynami?

— Don Jose de Aranha — zawołałem naraz, wyciągając do niego ręce — mój sąsiad i przyjaciel z San Salvador.

— Tak, mój przyjacielu. Przed trzema laty przybyłem do Londynu. Było to wówczas właśnie, kiedy cała stolica brzmiała echem twoich wypadków; rozgłosił je kapitan, któremu ocaliłeś życie i okręt, nie chcąc za to przyjąć nagrody. Nazwisko twoje dobrze pamiętałem; szlachetny twój postępek dał mi poznać, że to ty sam jesteś, zacny mój przyjacielu. Lecz musiałem wracać do Brazylii, a tam wskutek zamieszek dostałem się do więzienia. Odzyskawszy wolność,

uważałem sobie za najświętszy obowiązek, odwiedzić Cię i odnowić dawną naszą przyjaźń, zawartą jeszcze w Brazylii.

— Miałem tam niegdyś niezłą plantacyę, lecz zapewne dawno ją zabrano na skarb. Zresztą utraciwszy rodziców, nie dbam o nic na świecie; posiadam majątek taki, że mi na wygodne utrzymanie do śmierci wystarczy i proszę tylko Boga, żeby jaknajprędzej nadeszła.

— Taka mowa nie jest wcale zgodną z twym sposobem myślenia. Żyjąc w samotności i oddając się bez pomiarkowania żalowi, pokazujesz się samolubem. Nie, Robinsonie, tak ci żyś nie wolno; masz względem bliźnich obowiązki, ich powinieneś uważać niejako za swą rodzinę. Błogosławieństwo pocieszonych przez ciebie, zastąpi ci przebaczenie rodziców, którego nie otrzymałeś. Powtarzam raz jeszcze: tak jak teraz, żyć ci nie wolno.

Słowa Brazylijczyka dziwne na mnie zrobiły wrażenie. Zdawało mi się, że słyszę głos ojca, przemawiającego z grobu i wskazującego mi, co mam czynić. Myśl osadnika trafiła zupełnie do mego przekonania, podałem mu więc rękę na znak przyjęcia jego rady.

— Trzeba ci wiedzieć — rzekł mi osadnik, — że przez trzy lata po zginieniu okrętu, prowadziliśmy plantacyę, wraz z kapitanem portugalskim na twój rachunek, przypuszczając zarazem do udziału w zy-

skach, jakie nam przyniósł handel niewolnikami. Kiedy jednak nie było o tobie wcale wieści, prokurator królewski objął plantacyę na skarb. Dochody jej dzielą w ten sposób, że jedna piąta idzie do skarbu królewskiego, jako wynagrodzenie za zarząd; jedną piątą wypłacają klasztorowi świętego Augustyna na wsparcie biednych i nawracanie Indyan; trzy piąte składają się w skarbie na twój dochód. Gdybyś po dwudziestu pięciu latach nie wrócił, wówczas plantacya przechodzi na klasztor, a pieniądze depozytowe stają się własnością państwa. Ale ponieważ termin ten jeszcze nie upłynął, zatem powrócisz do ich posiadania, trzeba tylko pojechać do Brazylii i udowodnić, że jesteś owym Robinsonem Kruzoe, który ma do nich prawo.

— Zgoda zacny mój przyjacielu, — odpowiedziałem Portugalczykowi — pójdę za twoją radą. Poczem przywoławszy Piętaszka, zapytałem go:

— Kochany mój Piątku! powiedz mi, czy nie tęsknisz za swoją rodziną i starym ojcem?

Zapytanie to zadziwiło niezmiernie Indyanina, spojrzał na mnie wielkiemi oczami, w których zabłysły dwie duże łzy i stoczyły się wolno po bronzowej jego twarzy.

— I cóż tak na mnie patrzysz? — rzekłem z uśmiechem. — Zdaje ci się niepodobnem, abyśmy kiedy wyruszyli z tego odludnego zakątka? Otóż dowiedz się, że za

kilka dni wyjedziemy do Londynu, a jeżeli Bóg poszczęści naszej żegludze, to za kilka miesięcy ujrzysz znów swoją ojczystą wyspę.

Piętaszek nie chciał zrazu uwierzyć swemu szczęściu, lecz gdy się przekonał, że nie żartuję, zaczął skakać, tańczyć, śmiać się, płakać i tysiącznymi sposobami okazywać swoją radość.

W przeciągu kilku dni uporządkowałem moje interesa, złożyłem testament w ratuszu miejskim, rozporządzając pieniędzmi na korzyść ubogich z Hull, jeżelibym nie powrócił. Wziąłem także świadectwa, że jestem w istocie Robinzonem Kruzoe; poczem wyruszyliśmy do Londynu dla wyszukania statku odpowiedniego potrzebie. Osadnik brazylijski miał zabierać z sobą kilku ludzi, oraz rozmiate narzędzia, a że i ja zamierzałem robić różne sprawunki dla moich wyspiarzy, więc postanowiliśmy nająć na wspólny koszt statek, ażeby od nikogo nie zależeć. Jakóż wkrótce wynaleźliśmy ładny bryg kupiecki, o dwóch masztach i ośmiu działach, nazwany Shark, za sumę stosunkowo niezbyt wysoką,

Natychmiast zająłem się porobieniem różnych zakupów. I tak naprzód nabyłem ładną szalupę, mogącą pomieścić 14 do 16 ludzi i jedno działko, przeznaczając ją jako statek strażniczy, do zabezpieczenia wyspy od morskich napadów Karaibskich. Dalej niewielki arsenał, złożony z ośmdziesięciu strzelb, czterdziestu halabard, tyluż pałaszy i par pistoletów. Nadto dwa polowe cztero-

funtowe działa, z potrzebnym zapasem amunicyi dla wojska, a śrutu dla myśliwych. Tym sposobem postawiłem osadę w możności zmierzenia się z parotysięcznem wojskiem dzikich.

Poczem zakupiłem 16 postawów sukna 40 sztuk płótna rozmaitej grubości, 40 sztuk drelichu, częścią na pościel, w części na odzież. Sto kapeluszy, sto par obuwia różnej miary, zapas pończoch, igieł, nici, tasiemek, nożyczek, gwoździ, młotków, szydeł i różnych narzędzi ciesielskich, kilkanaście kociołków, wiele różnych sprzętów kuchennych, kilka pługów, bron i innych narzędzi rolniczych. Zresztą wyliczanie wszystkiego szczegółowo zajęłoby zbyt wiele miejsca.

W Anglii znajduje się zawsze dosyć osób, szukających polepszenia losu. Skoro więc tylko rozgłosić kazałem, że przyjmuję ochotników, chcących osadzić się na mej wyspie, natychmiast zgłosiło się ich takie mnóstwo, że trzeba było wybierać tylko co lepszych i porządniejszych. Zabrałem więc czterech kmieci z żonami; małżeństwa te miały siedm córek i trzech dorastających synów, dalej dwóch cieśli żonatych z trojgiem dzieci, bednarza z żoną szwaczką, krawca z czeladnikiem, kowala z żoną i dwiema dorosłemi córkami, szewca, ogrodnika, tokarza, wszystkich żonatych i mających dzieci, gdyż rodzinom dawałem pierwszeństwo, aby ile możności stworzyć osadę. Razem było ich 19 mężczyzn i 23 kobiet. Nakoniec za-

kupiłem mnóstwo nasion rozmaitych warzyw europejskich, cztery krowy z cielętami, dwie maciorki i kilka owiec.

Brazylijczyk aż się przeląkł, widząc takie mnóstwo ludzi i rzeczy, lecz statek obszerny pomieścił wszystko. Wydałem przeszło 1500 funtów, ale uważałem sumę tę jako częściowy zwrot majątku zebranego na wyspie.

W dniu 15 stycznia 1680 roku, rozwinąwszy żagle, opuściliśmy Londyn. Przykro mi się zrobiło, gdy brzegi Anglii znikły mi z oczu. Zrażony tylu doznanemi przygodami, nie spodziewałem się oglądać już nigdy mojej ojczyzny. Piętaszek wcale w innem był usposobieniu, cieszył się jak dziecko i ciągle tańczył po pokładzie, rozpowiadając nowym osadnikom cuda o piękności i żyzności naszej wyspy. Dla jego wesołości wszyscy go polubili i podróż schodziła nam nader przyjemnie.

W dniu 27 marca zarzuciliśmy kotwicę w porcie Bahia, czyli San Salvador, w Brazylii. Wkrótce dowiedziano się o mojem przybyciu; stanąłem w mieszkaniu plantatora, gdzie odbierałem ciągle odwiedziny obywateli miejskich i osadników. Każdy rad był się dowiedzieć moich przygód i tak często musiałem je opowiadać, iż mi się to w końcu bardzo uprzykrzyło.

Po kilkodniowym wypoczynku udałem się z mym przyjacielem do prokuratora królewskiego i do przeora klasztoru swiętego Au-

gustyna. Gubernator portugalski uznał tożsamość mojej osoby, poświadczoną przez kilku dawnych znajomych.

Wszyscy, wzruszeni moją kilkunastoletnią niedolą, nie tylko nie robili mi żadnych trudności, ale nawet ułatwiali mi we wszystkiem obrachunki i odbiór pieniędzy. Plantacya przez ten czas znacznie się powiększyła i wartość jej podniosła.

Namawiano mnie, ażebym sprzedał plantacyę, na którą natrafiał się korzystny kupiec. Myśląc jedynie o mojej wyspie, z chęcią na to przystałem. Natychmiast wyliczono mi za nią bardzo znaczną gotówkę. Prócz tego zapłacono mi za sprzedane 140 pak cukru, 60 pak kawy i 100 zwojów tytoniu, a cała otrzymana suma na monetę angielską wynosiła po odtrąceniu kosztów na podarunki dla gubernatora, prokuratora i klasztoru, około 58 tysięcy funtów szterlingów, a dodawczy to, co posiadałem w Anglii, miałem przeszło 65 tysięcy funtów majątku.

Zabawiwszy do połowy czerwca w San Salvador, pożegnałem mego przyjaciela, obiecując przepędzić z nim zimę. Okręt Shark przeszedł obecnie pod mój zarząd. Do dawnego ładunku przydałem 10 pak cukru i pięć worów kawy dla moich wyspiarzy. Kilku robotników, obeznanych z uprawą kawy i trzciny cukrowej, zabrałem z sobą, Wziąłem także trzech .obeznanych z warzelnią cukru, kilka kobiet i dzieci, tak, iż liczba nowych osadników pomnożyła się do 24

mężczyzn i 32 kobiet, a wielu ochotnikom musiałem odmówić, obiecując kiedykolwiek później ich wysłać.

Korzystając z pięknej pory, udałem się w łodzi na pokład mego statku i natychmiast podnieśliśmy kotwicę. Wiatr szybko pędził nasz statek; dnia 27 czerwca ujrzałem zdala góry mej wyspy, rysujące się na widnokręgu.

Przybycie do wyspy — radość Hiszpanów — przywitanie się Piętaszka z ojcem — co zaszło podczas mej nieobecności — przygody osadników — zuchwałość Atkinsa — Anglicy opuszczają wyspę — powrót ich w towarzystwie dzikich i kara zbrodniarza.

Pomimo dokładnych obliczeń, zrobionych przez kapitana angielskiego okrętu w czasie naszego odjazdu z wyspy, nie byłem pewny, czy ją mam przed oczyma; ale serce Piętaszka i jego bystry wzrok, wnet rozstrzygnęły wątpliwość.

— Patrz! patrz Robinzonie! — wołał poczciwy chłopak, — tam nasza wyspa... tam ojciec Piętaszka... stary, kochany ojciec... on bardzo płacze za Piętaszkiem i myśli, że syn jego już nie żyje... O tam... tam na prawo strażnica... ja ją widzę dobrze, bardzo dobrze. — I zaczął się rzucać i skakać jak szalony, klaszcząc w ręce, zaledwie go wstrzymałem, że nie skoczył w morze, ażeby wpław do brzegu dopłynąć.

Z bijącem sercem wsiadłszy do łodzi, popłynąłem z Piętaszkiem i sześciu uzbrojonymi ludźmi do brzegu. Sądziłem bowiem, że może zamiast osadników, znajdę na wyspie dzikich Karaibów. Jakaż więc była moja radość, kiedy naprzód spotkałem Hiszpana, wyratowanego przeze mnie.



Trudno opisać, z jakiem wzruszeniem witał mnie ten zacny człowiek. Przez długi czas ściskaliśmy się ze łzami, nie mogąc przemówić ani słowa. Gdy inni dowiedzieli się o mojem przybyciu, natychmiast powitali mnie wystrzałem całej artyleryi, na co okręt i szalupa odpowiedziały. Na odgłos wystrzałów nadbiegł także ojciec Piętaszka. Powitanie ich było bardzo rozrzewniającem. Posadziwszy ojca na wzgórzu, Piętaszek wpatrywał się w niego jak w obraz, a co chwila odbiegał po jakiś przysmaczek do szalupy i wracał znów okrywać

pieszczotami starca. Przytem wciąż mówił po karaibsku, tak, że mu się usta nie zamknęły na chwilę.

Nadbiegli Hiszpanie w liczbie szesnastu, prowadzili nas w tryumfie do zamku; na szczycie strażnicy zatknięto sztandar z mojem nazwiskiem. Nie mogłem poznać fortyfikacyi, bo je znacznie podniesiono, tak, że wał dochodził do czterech sążni wysokości, a rów dokoła szeroki na trzy sążnie, napełniała woda strumienia. W trzech narożnikach pięciokąta stały nabite falkonety, tuż zaś przy drzwiach groty, znajdowało się dziesięć muszkietów i dwie strzelby. Później dopiero dowiedziałem się o przyczynach tych ostróżności.

Nastąpiły wzajemne opowiadania: Hiszpanie nie spodziewali się więcej mnie oglądać, sądząc, że okręt, na którym płynąłem, zatonął, albo też, że przybywszy do Anglii, wkrótce zakończyłem życie. Poczciwi ludzie nie przypuszczali, ażebym mógł o nich zapomnieć.

Prosiłem Hiszpanów, ażeby mi opowiedzieli wszystkie wypadki, zaszłe na wyspie od czasu mego odjazdu. — Powtarzam je tu w krótkości:

Wszyscy siedmnastu, zaprzysiągłszy przysłaną przeze mnie umowę, postanowili od razu puścić się na wyspę. Ojciec Piętaszka zgodził się im towarzyszyć. Dzicy przecież wcale o odjeździe nie wiedzieli, gdyż pod

pozorem parodniowego rybołóstwa, uciekający opuścili ich siedziby.

Za przybyciem na wyspę zasmucili się niezmiernie, nie zastawszy mnie. Z listu dowiedzieli się co zaszło, zawiadomiłem ich zarazem o trzech pozostawionych Anglikach i o sposobie, w jaki z nimi postępować mają. W tydzień dopiero trzech Hiszpanów uzbrojonych udało się na folwark, gdzie tamci przebywali, nie śmiejąc się wychylić z doliny, stósownie do moich rozkazów. Dobrzy Hiszpanie jednak, mając ich za porządnych ludzi, już w parę tygodni potem złagodzili ten surowy rozkaz, pozwalając im przechadzać się po całej wyspie.

Dana tym łotrom swoboda, zamiast ich ująć, posłużyła im tylko do popełniania nowych niegodziwości. Przybrawszy postawy pokorne, potrafili tak sobie zjednać Hiszpanów, że ci wbrew moim poleceniom, powierzyli Anglikom broń palną. Odtąd Atkins i jego towarzysze, zuchwali z powodu posiadania broni, przekonawszy się, że historya o gubernatorze była tylko zmyśleniem, nie tylko wypowiedzieli Hiszpanom posłuszeństwo, lecz rozpoczęli z nimi kłótnie, domagając się żywności i udziału we wszystkich, przeze mnie pozostawionych zapasach.

Kiedy zaś Hiszpanie żądań tych zaspokoić nie chcieli, Anglicy zagrozili im, że ich wymordują.

Skutkiem tych pogróżek trzeba było po całych nocach utrzymywać straże, aby nie-

godziwi łotrzy niespodzianie nie napadli śpiących i nie wypełnili swej strasznej obietnicy. Trzej wygnańcy, nie mogąc podejść cichaczem Hiszpanów, dopuszczali się wszelkiego rodzaju psot: zniszczyli zasiewy na folwarku, poburzyli budynki i wycięli kilkadziesiąt palm kokosowych. Nakoniec Atkins, zaczaiwszy się w lesie, postrzelił przechodzącego Hiszpana. Pochwycili go i skrępowali drudzy, poczem udali się na schwytanie pozostałych Anglików, co powiodło się szczęśliwie. Natychmiast złożono sąd pod przewodnictwem Don Juana. Atkins tak zuchwale odzywał się przed sądem i powtarzał znane pogróżki, że skazano go na karę śmierci przez powieszenie, dwóch zaś drugich na wygnanie do jednej z wysp, na południu leżących. Szlachetny Don Juan nie chciał tego wyroku potwierdzić, przez pamięć na to, że Anglicy byli mymi rodakami, owszem prosił nawet, ażeby ich zupełnie uwolniono. Sędziowie po długim oporze przystali wreszcie na to pod warunkiem, żeby Atkins pozostał przez parę miesięcy w więzieniu, dopóki nie przyrzecze stanowczej poprawy.

Poodbierano im broń palną, a nawet siekiery, a dopóki Atkins siedział w więzieniu, wszystko szło jako tako. Lecz złoczyńca, sprzykrzywszy sobie pobyt w zamknięciu, zdołał się wyswobodzić, a połączywszy się z swymi koleżkami, na nowo zaczął dokuczać Hiszpanom.

Tego już było zanadto: mieszkańcy zamku, chociaż szlachetni i łagodni, nie mogli dłużej wytrzymać i żyć ciągle pod grozą stracenia wszystkiego, co posiadali. Raz należało pozbyć się niegodziwych sąsiadów. Aglicy, widząc, że tym razem nie ujdzie im na sucho, udali się w pokorę, prosząc Hiszpanów o pozwolenie opuszczenia wyspy na karaibskiej łodzi i uzyskali je. Don Juan zaopatrzył łódź we wszystkie potrzeby, a nawet udzielił im dwie strzelby i kilkadziesiąt ładunków. Do łodzi dorobiono maszt i żagiel.

Tak zaopatrzeni puścili się na morze. Hiszpanie odprowadzili ich do brzegu, życząc pomyślnej podróży i ciesząc się, że wreszcie pozbyli się na dobre wichrzycieli, zatruwających im życie.

We dwa tygodnie potem, Hiszpan pracując w polu spostrzegł łódź płynącą ku brzegowi, na której znajdowało się ośmiu ludzi. Przestraszony tem pobiegł do zamku, donosząc o niebezpieczeństwie. Hiszpanie, pochwyciwszy strzelby, wyszli na spotkanie mniemanych nieprzyjaciół i z wielkiem zdziwieniem i smutkiem poznali, że to powracają Anglicy w towarzystwie pięciu Karaibów. Oto co ich spotkało:

Po dwóch dniach żeglugi wylądowali na jakąś wyspę, leżącą na zachodzie. Mieszkańcy zbiegli się natychmiast z bronią w ręku, dla przeszkodzenia wylądowaniu przybyszów. Zaniechawszy więc swego zamiaru, popłynęli

ku południowi i wsiedli na niewielką, przez kilkudziesięciu dzikich zamieszkaną wysepkę. Karaibowie przyjęli ich bardzo dobrze, dostarczając podostatkiem żywności, złożonej z bananów i suszonych ryb. Mieli oni u siebie pięciu niewolników schwytanych w ostatniej potyczce, i za parę europejskich fraszek odstąpili ich Anglikom. Między tymi znajdowało się dwóch mężczyzn i trzy kobiety.

Po czterech dniach wypłynął Atkins z towarzyszami i niewolnikami na morze, w



zamiarze osiedlenia się na jakiej pustej wysepce, lecz gdy nie mogli takiej jak chcieli znaleźć, postanowili powrócić na moją wyspę.

Mając teraz niewolników, nie potrzebowali pracować koło roli i mogli wygodne prowadzić życie. Wylądowali więc, prosząc Hiszpanów, aby im pozwolili osiąść na zachodnim krańcu wyspy, odległym o dwie mile od hiszpańskiej osady, gdzie mieli za-

miar pobudować chaty i zająć się uprawą roli.

Pomimo doznanych nieprzyjemności, dobrzy mieszkańcy zamku przystali na żądanie Anglików, zagrozili im jednak, że w razie ponowienia zaczepek, natychmiast wszystkich trzech rozstrzelają. Ponieważ pogróżka ta wyszła z ust Don Juana, który do tego czasu był bardzo pobłażliwym, przeto Anglicy poznali, że niema żartów i przez długi czas zachowali się spokojnie. Burzliwy jednak charakter Atkinsa nie dozwolił mu wytrwać na stałe w dobrych zamiarach.



Rozgniewawszy się raz na jednego Indyanina, uderzył go tak silnie siekierą w głowę, iż ten na miejscu padł trupem. Towarzysz zaś tamtego, mszcząc się za krzywdę rodaka, rzucił się na Atkinsa i pochwyciwszy wpół, powalił na ziemię i począł go dusić. Na szczęście dwaj drudzy Anglicy przybyli w porę i ocalili życie Atkinsowi, zabijając

Karaiba. Ale pomimo to zuchwały majtek przez kilka miesięcy ciężko chorował, mając mocno pognieconą klatkę piersiowią i kilka żeber złamanych. Wylizał się wprawdzie z niebezpieczeństwa, ale nie mógł przyjść do dawnego zdrowia i wpadł w suchoty. Kiedy go ujrzałem, przestraszyłem się, że tak źle wyglądał. Z barczystego i silnego majtka, zaledwie cień pozostał, zaledwie powłóczył za sobą nogi i zdawało się, że niedługo pożyje.

Krwawy ten wypadek zasmucił osadników, lecz poniekąd był pomyślnym, gdyż dwaj drudzy Anglicy, podburzani poprzednio przez Atkinsa, zachowywali się teraz spokojnie, a herszt, przyciśnięty niemocą, nie miał chęci zakłócać spokojności osady.

Z przywiezionych Karaibek wziął jedną Hiszpan, a dwie inne Anglicy pojęli za żony. Ochrzczono je tymczasowo w nieobecności kapłana i nauczono pierwszych zasad religii chrześcijańskiej. Były to kobiety pracowite, prędko nauczyły się gotować, prać i szyć odzież z koziej skóry i osadnicy mieli z nich wielką pomoc.

Tak upłynęły pierwsze dwa lata pobytu na wyspie. Gdyby nie tęsknota za ziemią rodzinną i nie niegodziwość Atkinsa, wyspiarze byliby zadowoleni z swojego losu.

XLII.

Najazd Karaibów na wyspę — dwie flotylle — przygotowania do walki — potyczka i odparcie dzikich — spalenie czółen — powtórny nrpad — wódz indyjski — mężna Karaibka — klęska — zakończenie wojny.

Przez cały ten czas dostrzegano wprawdzie odwiedziny Karaibów, lecz piekielne ich uczty nie zakłócały w niczem spokojności osady. Jednego atoli poranku dwaj Anglicy przybiegli przerażeni, donosząc, że flotylla, złożona z ośmiu łodzi napełnionych dzikimi, przybiła do wyspy niedaleko od ich mieszkań. Na szczęście dostrzegli ją dość daleko na morzu, mogli więc ujść bezpiecznie, zabrawszy żony i sprzęty.

Natychmiast Don Juan, zastępujący miejsce gubernatora, wysłał trzech Hiszpanów i jednego Anglika na zwiady. Kozy zapędzono do gaju, otaczającego zamek, ponabijano działa i strzelby, z niecierpliwością oczekując powrotu oddziału.

Wkrótce powrócili wysłańcy i to nadzwyczaj zasmuceni, donosząc, że dzicy odkryli chaty Anglików i obrócili je w perzynę, poczem rozproszyli się w rozmaitych kierunkach, pewnie dla wyszukania mieszkańców osady. Jakkolwiek liczba Karaibów wynosiła do pięćdziesięciu, Europejczycy nie obawiali się ich, mając dostateczny zapas broni i amunicyi.

Przez całą noc część osadników ubranych i uzbrojonych spoczywała, podczas

gdy druga odbywała straż. Don Juan spał na skale, od czasu do czasu wstając i spoglądając w stronę, gdzie dzicy obozowali. Las nie dozwalał widzieć ich, lecz jasna łuna świadczyła, że palili ogniska. Postępowania tego nie mogli sobie osadnicy wytłómaczyć.

O wschodzie słońca wódz hiszpański wyszedł sam na zwiady w towarzystwie jednego z Anglików. Dotarłszy do końca lasu, ujrzeli obóz dzikich, którzy ani myśleli odpływać, ale byli zajęci pieczeniem bananów. Nie widać zaś było pomiędzy nimi jeńców, przeznaczonych na pożarcie, co niemało zadziwiło Don Juana. Przez cały dzień osadnicy mieli się na ostróżności, a gdy noc zapadła, wysłali ojca Piętaszka z poleceniem, aby zakradł się do obozu dzikich i mógł ich zamiary wybadać. Powrócił on nad ranem, dokonawszy pomyślnie swego posłannictwa. Dzicy przybyli na wyspę w celu wynalezienia jej mieszkańców, zabrania ich i pożarcia. Kiedy bowiem ostatni raz wyprawiali tu swoją wojenną ucztę, jeden z nich dostrzegł chaty angielskie, lecz dopiero na morzu opowiedział o tem innym.

Wiadomość ta rozeszła się w całem pokoleniu, które postanowiło zrobić wyprawę. Dlatego zaś jeszcze nie rozpoczynali kroków wojennych, że miały im lada chwila liczniejsze nadpłynąć posiłki.

Jakoż na drugi dzień rano dostrzeżono z strażnicy dwadzieścia jeden czółen, na

których znajdować się mogło około stu pięćdziesięciu Karaibów, tak iż cała ich potęga przenosiła dwieście głów. Wypadek ten niemało zmieszał osadników, gdyż niełatwo było pokonać tak przeważnego nieprzyjaciela, pomimo, że był licho uzbrojony.

Mieli oni łuki i strzały, dziryty i szerokie miecze z żelaznego drzewa. Siła osadników, dziesięć razy od nich szczuplejsza, składała się z siedmnastu Hiszpanów, trzech Anglików, ojca Piętaszka i trzech kobiet, które postanowiły walczyć obok swych mężów. W arsenale było 12 muszkietów, 5 strzelb, trzy sztućce odebrane Anglikom, 5 par pistoletów, 2 halabardy, 3 szpady i 7 pałaszy. Prócz tego osadzono cztery topory na długich drzewcach i rozdzielono siekiery pomiędzy tych, którzy nie mieli szabel. Działo wielkie i trzy falkonety nabito kulami karabinowemi.

Zastęp europejski uszykował się na końcu lasku, otaczającego zamek; na wzgórku, gęstym krzewem pokrytym, ustawiono dwa falkonety jako artylerye pod zasłoną Atkinsa, ojca Piętaszka i czterech Hiszpanów. Dwunastu pozostałych i dwóch Anglików pod dowództwem Don Juana, ukryło się poza urwiskami skał, w zaroślach u stóp wzgórza położonych. Nakoniec kobiety wdarły się na niedostępną opokę, uzbrojone w łuki i strzały, z któremi dobrze umiały się obchodzić. W ostatecznym razie postanowiono cofnąć się do zamku.

Dzicy podzielili się na trzy oddziały: pierwszy, złożony z sześciu ludzi, szedł naprzód, jakby na zwiady. Za tymi o sto kroków postępowało czterdziestu uzbrojonych w miecze i łuki, nakoniec reszta, około 160 głów wynosząca, zamykała pochód półksiężycowym szeregiem. Wszyscy posuwali się zwolna ku laskowi, znać wyśledzili poprzednio, że poza nim ukrywali się mieszkańcy wyspy.

Europejczycy przepuścili straż przednią, nie zaczepiając jej wcale, lecz kiedy zastęp środkowy zbliżył się na pół strzału karabinowego, zagrzmiała z poza skał potężna salwa, a kilkunastu dzikich powaliło się na ziemię. Przestrach nie do opisania ogarnął Karaibów; w mgnieniu oka rozpierzchli się i znikli w gęstwinie leśnej. Osadnicy chcieli ich ścigać, lecz Don Juan na to nie pozwolił, lękając się, aby dzicy, ochłonąwszy z przestrachu, nie otoczyli ich w czystem polu, gdyż w takim razie musieliby uledz przeważającej sile Indyan.

Jakoż postępek ten był bardzo rozsądnym, gdyż dzicy wkrótce wypadli z lasu, wydając okropne ryki. Na czele biegł Karaib olbrzymiego wzrostu, odznaczający się pękiem piór czerwonych, zatkniętych w wysoko związanej czuprynie. Na lewej ręce miał wielką tarczę z żółwiej skorupy, w prawej zaś ogromny i ciężki miecz drewniany, z obu stron nasadzony ostrymi krzemieniami.

Hiszpanie, przypuściwszy ich blizko siebie, celnymi przywitali ich strzałami, lecz pomimo upadku kilkunastu Karaibów, reszta biegła odważnie naprzód, wyrzucając mnóstwo strzał, z który dwie raniły Hiszpanów.

Już ledwie czterdzieści kroków oddzielało walczących, za chwilę dopadną kryjówek osadników, a w takim razie nic ich



ocalić nie zdoła. A tu nagle Atkins z Hiszpanem dają ognia z falkonetów, a pozostali wtórują im wystrzałami z muszkietów.

Straszny huk, zwiększony echem skał, powstrzymuje napad dzikich, pierzchają w nieładzie na wszystkie strony. Napróżno wódz z czerwonem piorem usiłuje ich zatrzymać: przejęci zabobonną trwogą, mnie-

mając, że mają przed sobą duchów władających piorunami, umknęli z placu boju.

Porażka dzikich nastąpiła około południa. W pół godziny po ich zniknięciu Don Juan wyszedł, aby dać pomoc rannym. Siedmnastu dzikich mniej więcej ciężko rannych zniesiono do szopy, przeznaczonej na skład siana, i opatrzono ich rany. Lżej ranni uszli wraz z swymi towarzyszami, a trzydziestu jeden zabitych pokrywało pole bitwy. Pozostawało przecież jeszcze stu pięćdziesięciu Karaibów do zwalczenia.

Po krótkiej naradzie Hiszpanie umyślili cofnąć się do zamku, gdyż niepodobieństwem było bronić się w dawnem stanowisku; zwłaszcza, że już dwóch z nich, chociaż lekkie, odniosło rany. Należało się obawiać, że przy ponowieniu napadu dzicy, oswojeni już nieco z działaniem broni ognistej, nacierać będą śmielej, a chociażby ich i połowa od wystrzałów poległa, to reszta będzie aż nadto dostateczna do wymordowania osadników.

Don Juan lękał się nadto, aby dzicy nie wsiedli na łodzie i nie odpłynęli w zamiarze powrócenia w nierównie większej liczbie. Atkins, lubo mocno cierpiący na ciele, nie stracił przecież potęgi ducha: usłyszawszy utyskiwania Don Juana, odciągnął na bok ojca Piętaszka i długo z nim rozmawiał. Przed zachodem słońca starzec znikł niepostrzeżenie.

Reszta dnia przeszła spokojnie. Dzicy, poniosłszy tak ciężką klęskę, nie śmieli ponowić napadu. Europejczycy schronili się za wały zamku, z którego strzelnic wyglądały paszcze trzech falkonetów i kilkunastu strzelb. Co dwie godziny przez całą noc zmieniały się straże: kolejno czterech czuwało nad bezpieczeństwem zamku, gdy inni wypoczywali po całodziennych trudach.

Około północy jaskrawa łuna zaczerwieniła sklepienie niebios. Don Juan wybiegł na strażnicę i z podziwieniem ujrzał czółna dzikich w płomieniach; cała załoga przypatrywała się pożarowi, odbijającemu się w przeźroczy oceanu, a zdala słuchać było wycia dzikich, rozpaczających nad utratą swych łodzi.

W godzinę później przybył ojciec Piętaszka, któremu powiodło się spalić flotyllę nieprzyjacielską. Już teraz nie mogli powrócić do swej ojczyzny; wprawdzie tym sposobem Atkins zapobiegł najściu liczniejszych zastępów dzikich, lecz pozostali na wyspie, wpadłszy w rozpacz, mogli stać się groźnymi dla osady.

Myśl ta trapiła niezmiernie Don Juana: Karaibowie, będąc niejako uwięzieni na wyspie, zamiast szturmowania zamku, mogli się rozproszyć po okolicy, pustoszyć zasiewy, wybić kozy, a wreszcie czatując poza krzakami, nie dać się wychylić nikomu z zamku. Po spożyciu zaś zapasów nie pozostałoby Hiszpanom nic innego, jak zginąć z głodu,

albo też uderzywszy z rozpaczą na Karaibów, poledz od ich broni.

Na szczęście dzicy nie mieli tyle przebiegłości. Wrząca ich krew nie dopuściła im czekać cierpliwie pewnego upadku nieprzyjaciół. Na drugi dzień, zaraz po wschodzie słońca, wyruszyli z lasów dla powtórzenia wczorajszej walki.

Za przybyciem na pole bitwy, oglądali się dokoła, napróżno śledząc nieprzyjciela. Radosne wycia oznajmiły Hiszpanom, iż Karaibowie sądzili, że osadnicy nie odważą się próbować dalszej walki. Wódz z czerwonem piórem długo do nich przemawiał, znać zagrzewając do wytrwałości, poczem łańcuchem, jakby obława myśliwych, ruszyli w zarośle. Las jednak był tak gęsty, że dobra godzina upłynęła, zanim pierwsi wojownicy indyjscy wynurzyli się z zarośli. Załoga powstrzymała się z strzelaniem, ażeby wtenczas dopiero dać ognia, kiedy nieprzyjaciel nie będzie zasłonięty krzewiną.

Ale Karaibowie, wyrzuciwszy mnóstwo strzał, przebiegli z niespodziewaną szybkością przestrzeń na sto kroków szeroką, przedzielającą lasek od zamku. Zagrzmiały strzały Europejczyków, lecz ponieważ dzicy pędzili w rozsypce, zaledwie kilku obaliły, reszta zaś poczęła wdzierać się na mur i palisadę. Wprawdzie kule pistoletowe, halabardy i topory zwaliły najzuchwalszych napastników, lecz inni nie dali się tem odstraszyć i darli się śmiało naprzód. Zguba

Europejczyków zdawała się nieuchronna. Postanowili przynajmniej drogo sprzedawać swe życie, gdy wtem jedna z Karaibek, znać dobrze świadoma obyczajów swojego plemienia, wymierzyła strzałę na wodza z czerwonem piórem, który stojąc na szczycie ostrokołu, ogromnym mieczem zgruchotał drzewce halabardy Don Juana i gotował się powtórnym ciosem strzaskać mu czaszkę. Wtem świsnął grot i przeszył na wylot pierś mężnego Indyanina; zachwiał się i runął jak dąb, podcięty toporem leśnika.

Na widok upadającego wodza, Karaibowie zawyli z rozpaczy i zaniechawszy dalszego ataku, zbiegli się dokoła niego, spodziewając się, że cios nie był śmiertelny. Korzystając z zamieszania, załoga rozpoczęła gęstym ogniem razić nieprzyjaciół, którzy nie zważając na rany i śmierć, starali się drogie szczątki unieść w bezpieczne miejsce. Biali, wypadłszy z za swych szańców, uderzyli gwałtownie na uchodzących nieprzyjaciół, lecz ci, przejęci trwogą, nie próbowali nawet oporu. Zaledwie na wstępie do zarośli powiodło się Don Juanowi powstrzymać zapał swoich, wycinających bez litości, pierzchających Karaibów.

Pięćdziesięciu trzech zabitych i około czterdziestu rannych zaległo pole bitwy. Zaciekli Hiszpanie dobijali umierających, tak, iż ledwie dwudziestu dziewięciu zdołano ocalić. Ze strony białych ranny był ciężko

Gonzales, Hiszpan, a lżejsze rany odniosło czterech Hiszpanów i jeden Anglik.

Przez trzy dni po tej bitwie nie słychać było nic o Indyanach; w tym czasie z dwudziestu dziewięciu rannych Karaibów, czternastu umarło, a reszta miała się lepiej. O świerć mili od zamku osadnicy wykopali wielki dół i pochowali w nim ciała 190 dzikich.

Czwartego dnia z rana Don Juan, zostawiwszy Atkinsa i pięciu Hiszpanów oraz rannego Ganzalesa w zamku, sam na czele dziesięciu swych rodaków i dwóch Anglików z ojcem Piętaszka wyszli dla dowiedzenia się, co porabiają Karaibowie. Krwawe ślady i trupy, walające się po drodze, wskazywały pochód dzikich. W lasku znaleziono pięć ciał, w wielkim lesie jednaście na brzegu morskim cztery.

Gdy oddział Europejczyków dostał się na kraniec lasu, dotykającego równiny, na której był obóz Karaibów, przykry widok ukazał się jego oczom. Ciała jedenastu dzikich leżały rozciągnięte bez życia, czterdziestu pięciu żyjących siedziało w krąg z zwieszonemi głowami wokoło wodza, leżącego w pośrodku nich. Nieszczęśliwi ci od kilku dni nic nie jedli i oddawali się rozpaczy po stracie wodza.

Don Juan ulitował się nad nimi. Ustawiwszy swych ludzi w pogotowiu na przypadek zaczepki, dał ognia z pistoletu w powietrze.

Dzicy zadrżeli na odgłos wystrzału, lecz żaden nie chwycił za broń, owszem odrzucili ją daleko od siebie, na znak, że walczyć nie myślą. Wtedy Hiszpanie zbliżyli się ku nim, co widząc Karaibowie, popadali na twarz.

Naówczas Don Juan rozkazał zapytać ich, co zamyślają dalej robić.

Oto odpowiedź dzikich:

— Potężne duchy, władające piorunami wydartymi bogowi Benamuki! Zabiliście wodza, który więcej nieprzyjaciół pożarł, niż nas tu przybyło na tę straszną wyspę. Zabijcie nas i zjedzcie, bo wam się bronić nie będziemy, a przynajmniej darujcie życie naszym żonom i dzieciom, pozostałym w domu. Jeśli taka wasza wola, gotowi jesteśmy sami sobie odebrać życie.

Wówczas Wódz Hiszpanów kazał ojcu Piętaszka powiedzieć, że daruje im życie, a nawet pozwoli zabrać ranionych, jeżeli przysięgną, że nigdy nie powrócą na tę wyspę. Gdybyście poważyli się raz jeszcze tu wylądować, natenczas nietylko wszystkich zniszczymy piorunami, ale wyspę waszą pogrążymy w przepaściach morskich.

— Jakże wrócimy do siebie — rzekł jeden z Karaibów — kiedy zniszczyłeś nasze łodzie?

— Pozwolę wam zbudować inne! oto macie siekiery. — Dzicy z radością przyjęli

ten projekt i natychmiast wzięli się do ścinania drzew: Hiszpanie powrócili do zamku.

W tydzień potem już sześć czółen było gotowych. Karaibowie upiekli i pożarli ciało wodza z czerwonem piórem, albowiem mniemali, że nabiorą takiego męstwa, jakie on za życia posiadał.

Don Juan zaopatrzył ich w żywność na drogę i zwrócił im jedenastu rannych, którzy mogli odpłynąć razem, a pozostałych czterech zostało na wyspie, służąc Hiszpanom. Tylko pięćdziesięciu sześciu Karaibów z liczby dwustu, przybytych na wyspę, powróciło do swej ojczyzny.

Rok już przeszło od tego czasu, a ani jedno czółno karaibskie nie zbliżyło się do wyspy, na której tak straszliwą ponieśli klęskę.

XLIII.

Stan wyspy — liczba i narodowość jej mieszkańców — założenie miasta — pożegnanie — cisza na morzu — niezliczona flota — straszny wypadek — pogrzeb sprawiedliwego — nieukojona boleść — powrót do Anglii podróże na Wschód — dalsze losy osady — zakończenie.

Wysłuchawszy opowiadania Hiszpanów, zawiadomiłem ich, że przywożę znaczny posiłek w ludziach i rozmaitych zasobach, mianowicie odzieży, broni i amunicyi. Ucieszyło ich to niezmiernie i dziękowali mi serdecznie za pamięć o wyspie.

Wkrótce przybyli trzej Anglicy: Atkins, pomimo złego postępowania w początku, poprawił się zupełnie i w wojnie z dzikimi dał dowody nadzwyczajnej odwagi, lecz wyglądał jak cień i widać było, że wkrótce skończy. Oświadczyłem mu, że go chętnie zabiorę z sobą do Anglii, lecz odrzekł mi na to:

— Panie gubernatorze! niech wam Bóg wynagrodzi za wasze łaskawe obejście się z łotrem, który sto razy zasłużył na szubienicę, ale do ojczyzny nie chcę wracać. Nabroiłem dużo, niechaj więc umieram tu, gdzie mi Bóg dozwolił upamiętać się w moich postępkach i wyjść na porządnego człowieka. Może koledzy moi zechcą wracać, ale ja tu pozostanę.

— Cóżbyśmy robili w Anglii — odrzekł jeden z majtków. — Tu mamy wszystkiego podostatkiem, podczas gdy tam trzebaby ciężko pracować i do śmierci włóczyć się po morzu. Jeżeli pan gubernator pozwoli, to i my z chęcią pozostaniemy.

Tylko trzech Hiszpanów zażądało, abym ich zabrał ze sobą do Europy; mieli oni zamiar powrócić dotąd z rodzicami swymi, znajdującymi się w Hiszpanii. Przyobiecałem im opłacić koszta tej podróży.

Następnie sprowadziłem nowych osadników z okrętu: nie mogli się napatrzeć i nachwalić piękności wyspy i z chęcią na niej osiedli.

Obecnie więc ludność dawna i nowa wyspy wynosiła:

Anglików	22	Angielek	25
Brazylianów	5	Brazylianek	7
Hiszpanów	17		
Karaibów	4	Karaibek	3
Razem mężczyzn	48	kobiet	35

oprócz mnie, Piętaszkach i jego ojca.

Liczba ta przy broni i amunicyi mogła się więc oprzeć i kilkuset dzikim, gdyby odważyli się ponowić kroki nieprzyjacielskie przeciwko nam.

Postanowiłem zabawić przez całą zimę, poleciwszy tymczasem kapitanowi mego okrętu, aby popłynął do Hiszpanii dla przywiezienia rodzin rozbitków. Dałem mu zarazem pełnomocnictwo do werbowania ochotników, którzyby chcieli osiedlić się na wyspie.

Zaraz po odpłynięciu kapitana cieśle przy pomocy osadników zajęli się ścinaniem drzewa na wystawienie miasteczka. Obraliśmy na ten cel wzgórze, położone nad zatoką morską, stanowiącą wyborny port. Naprzód postanowiliśmy wybudować dwie kaplice; jedną dla katolików, to jest Hiszpanów i Brazylian, drugą dla Anglików. Obliczyliśmy, że dla pomieszczenia wszystkich rodzin potrzeba będzie 28 domów, gdyż zaprojektowano skojarzyć kilka małżeństw. Don Juan i Gonzales nie chcieli zamku opu-

szczać, im więc powierzono straż twierdzy i arsenału z bronią i amunicyą.

Brazylianie wzięli się do założenia plantacyi, kmiecie angielscy poobierali sobie pola, cieśle pracowali nad obrabianiem drzewa, krawcy przy pomocy kobiet szyli suknie i bieliznę. Jednem słowem ruch niezwykły ożywił wyspę, która przed dwudziestu laty była jeszcze bezludną.

Na początku maja przybył szczęśliwie wysłany okręt, przywożąc pastora anglikańskiego z żoną i córką, oraz sędziwego księdza katolickiego. Z Hiszpanami przybyło trzynaście osób, a między niemi pięciu mężczyzn, do ich rodzin należących. Nakoniec z Anglii przybyło trzech kmieci żonatych z dziećmi, czterech parobków, stelmach, stolarz, dwóch tkaczy, piwowar, ślusarz, rymarz, chirurg, kotlarz, garncarz i kilku innych rzemieślników lub kolonistów z rodzinami. Odtąd ludność cała wynosiła: Anglików obojej płci 110, Hiszpanów 31, Brazylian 12 i Karaibów 8; czyli razem osób 161, z których pięć zostało w zamku, a reszta mieściła się w 49 domach miasta, nazwanego przez wyspiarzy dla uczczenia mej pamięci »Robinsontown« — to jest gród czyli miasto Robinsona.

Pomimo zamiaru opuszczenia wyspy na wiosnę, zabawiłem na niej jeszcze cały rok, pragnąc porozdzielać grunta i doprowadzić do porządku osadę i dopiero 26 czerwca 1681 roku odpłynąłem stamtąd, żegnany łza-

mi wdzięczności osadników i rzęsistymi wystrzałami artyleryi zamkowej. Jednak pewne przykre zdarzenie zasępiło mój odjazd, a tem była śmierć ojca Piętaszka, który na dwa tygodnie przedtem życie zakończył.

Biedny chłopiec, przejęty niewymownym żalem, nie chciał pozostać na wyspie, lecz prosił, abym go koniecznie z sobą zabrał do Anglii.

Zostawiłem moją osadę pod zwierzchnictwem Don Juana w stanie kwitnącym, zaopatrzoną we wszystko, co do jej rozwoju było potrzebnem. Bydło rogate i trzoda chlewna, oraz owce przywiezione przeze mnie, już się poczęły rozmnażać. Budowa miasteczka postępowała też szybko, jednem słowem miałem nadzieję, że z upływem lat będzie z niej piękna kolonia.

Trzeciego dnia po odpłynięciu z portu zaskoczyła nas cisza morska. Przez kilka godzin okręt posunął się zaledwie o paręset sążni, lecz nagle wpadł na prąd morski, który go zaczął pędzić ku wschodowi. Dwa razy majtek, siedzący w koszu bocianiego gniazda, ostrzegał, że widzi ląd w kierunku wschodnim, lecz znaczna odległość nie dozwoliła dostrzedz z pokładu, czy to była wyspa, czy stały ląd. Około południa, gdy morze wygładziło się jak zwierciadło, ujrzeliśmy o milę na wschód ziemię. Pomiędzy nią a naszym statkiem morze było zasiane mnóstwem punktów czarnych, poruszających się żywo w tę i ową stronę. Sternik rozpo-

znał w nich łodzie karaibskie, których mogło być przeszło sto pięćdziesiąt.

Zapewne dzicy spostrzegli okręt, zatrzymany ciszą i wsiedli na łodzie, aby mu się z blizka przypatrzeć. Nie cieszyło mnie to co prawda. gdyż łatwo mogło przyjść do starcia, czego sobie wcale nie życzyłem. Osada okrętowa, nasłuchawszy się podczas pobytu na wyspie różnych historyi o odwadze i ludożerstwie Karaibów, zatrwożyła się nieco, tem więcej, że nie można było uniknąć spotkania, gdyż najmniejszy wietrzyk nie poruszał żagli, a prąd morski, chociaż zwolna, przecież wciąż posuwał statek ku lądowi.

Przemówiłem do osady obudzając w niej męstwo i rozkazałem nabić działa i broń ręczną, oraz przygotować naczynia z wodą na przypadek, gdyby dzicy chcieli okręt podpalić. Było nas dwudziestu, a na flotyli dzidzikich znajdować się mogło przeszło tysiąc ludzi.

W pół godziny później otoczyło nas mnóstwo czółen. Karaibowie, jak się zdaje, mieli zamiar ze wszystkich stron na nas uderzyć. Wstrząsając dzirytami i napinając łuki, zaczęli wydawać straszne okrzyki.

Zaczęliśmy dawać im znaki, ażeby się oddalili; zrozumieli to dobrze, ale zamiast usłuchania nas, wyrzucili mnóstwo strzał, z których jedna zraniła naszego majtka. Osada domagała się, aby natychmiast rozpocząć ogień, lecz na nieszczęście nie posłuchałem

tej zbawiennej rady, żal mi bowiem było tych ciemnych ludzi, nie wiedzących, na jaką nierówną narażają się walkę. Postanowiłem więc użyć jeszcze ostatniego sposobu.

— Piętaszku — rzekłem — idź na tył okrętu i przemów do nich. Powiedz im, że na okręcie są duchy, władające piorunami, że jeżeli zaraz nie odpłyną, zniszczymy całą ich flotę i wytępimy wszystkich bez miłosierdzia.

Indyanin, wziąwszy w rękę zieloną gałązkę, pobiegł na tył statku, a stanąwszy na dachu kajuty, zaczął robić przyjazne znaki,



przywołując dzikich. Po chwili jedna z największych łodzi, na której znajdowało się dwunastu wojowników, podpłynęła pod nasz okręt.

Zaledwie Piętaszek skończył swoją przemowę, kiedy dzicy, zamiast odpowiedzi, wypuścili nań grad strzał, z których dwie przeszły mu pierś: z jękiem padł nieszczęśliwy na ziemię.

Poskoczyłem ku wiernemu przyjacielowi. Z smętnym uśmiechem spojrzał mi tkliwie w oczy, pochwycił za rękę, przycisnął do ust, a potem westchnąwszy, skonał.

— Ognia! ognia do tych poczwar! — krzyknąłem z wściekłością — mierzyć dobrze i bić bez miłosierdzia! ach łotry! zbrodniarze! I porwawszy lont z ręki kanoniera, wymierzyłem na łódź zdradziecką; huknął grom, a czółno zniknęło bez śladu z powierzchni wód. Wnet nastąpiły liczne dalsze salwy. Majtkowie bez wytchnienia nabijali działa i sypali zabójczymi pociskami, mierząc do dalszych łodzi, aby tym sposobem zapobiedz ucieczce bliższych. Przez trzy kwadranse trwała straszliwa kanonada! Trzy części floty nieprzyjacielskiej zniszczono, zaledwie trzydzieści lub czterdzieści czółen uszło zagłady, a morze okryło się szczątkami łodzi i mnóstwem ciał pobitych.

Widok ten przeraził mnie: kazałem zaprzestać ognia: i cóż mi z śmierci tylu nieszczęśliwych, wszak oni byli w swoim kraju i mieli prawo odpędzać Europejczyków, którzy w Ameryce tylu dopuścili się okrucieństw i dziewięć dziesiątych wytępili ludności. Ach! z chęcią darowałbym im życie, oddał całe moje mienie, za życie kochanego Piętaszka.

Uśmiechu, z którym konał, śmierć nie zdołała spędzić z tej poczciwej twarzy; pochylony nad ciałem mojego przyjaciela, siedziałem z załamanemi rękoma, a gorące łzy

spadały na drogie, martwe oblicze. Od chwili, kiedym się dowiedział o stracie mych rodziców, nie doznałem dotąd większej boleści. Nie miałem siły powstrzymać żalu, tylko od czasu do czasu wyrywały się z ust moich słowa:

— Piętaszku! o mój drogi Piętaszku!

Słońce chyliło się już ku zachodowi, a ja wciąż jeszcze oddawałem się głębokiemu żalowi; towarzysze moi nie mieli odwagi przerwać go. Nakoniec kapitan przybliżył się do mnie, a wstrząsnąwszy lekko za ramię, prosił, ażebym zaprzestał daremnych narzekań i upamiętał się.

Jak ze snu zbudzony, powstałem, dając znak, aby uczyniono przygotowania do pogrzebu.

Obszyto ciało Piętaszka w nowe płótno żaglowe, przymocowano u stóp dwie kule działowe, aby poszło na dno, i złożono je na desce w pośrodku pokładu.

W braku kapelana kapitan odczytał w głos błogosławieństwo pośmiertne, wzywając obecnych, aby się modlili za duszę poległego.

Cała osada, zgromadzona na pokładzie, a kochająca szczerze biednego Karaiba, upadła na kolana i zaczęła się modlić; łzy rozrzewnienia spływały po tych ogorzałych twarzach, nieprzystępnych zwykle żalowi.

Na ten widok ogarnęła mnie taka boleść, iż nie będąc panem siebie, rzuciłem się na zwłoki przyjaciela z głośnym płaczem. Zaledwie zdołano mnie od nich oderwać.

Majtkowie podnieśli deskę i umieścili ją na brzegu statku, tak, że większa, a dolna połowa ciała wystawała poza okręt. Kapitan odczytał ostatnie błogosławieństwo.

— Bądź zdrów, drogi mój bracie, towarzyszu mojego wygnania, serdeczny przyjacielu, bądź zdrów na wieki!

Deska się przechyliła, ciało zsunęło się lekko w morze, które na zawsze, na wieki, zawarło nad niem kryształowe swoje sklepienia.

I już nie było Piętaszka!

Smutny ten wypadek zmienił zupełnie plany mej podróży. Zamiast do Brazylii, jak to uczynić zamierzałem, popłynąłem wprost do Anglii, gdzie przybyliśmy bez żadnej przygody w końcu września.

Majątek mój, wynoszący przeszło 25 000 funtów szterlingów, pozwalał mi żyć wygodnie, lecz brak rodziny, śmierć Piętaszka, a nadto zamieszki w Anglii i rozruchy w pobliskiej Szkocyi, nakłoniły mnie do nowej podróży, którą odbyłem tym razem na Wschód do Indyi, wysp Sundzkich, Chin i Serbii.

Opisywać wypadków jej nie będę, gdyż nie mają żadnego związku z moją wyspą. Dość powiedzieć, że na handlu angielskimi towarami w Indyach i Chinach i na znacznym transporcie cenych futer, podwoiłem prawie mój majątek.

Handlem tym zajmowałem się przez lat jedenaście. Kiedy nareszcie w kwietniu 1692

roku wróciłem, już Stuartowie w Anglii nie panowali, a na tronie zasiadł Wilhelm Orański, który poprzednio panował w Holandyi, i w kraju powróciła spokojność.

Okręt, przybyły z Antylów, przywiózł mi bardzo smutne wiadomości o stanie mej osady:

Do roku 1685, to jest dopóki żył Don Juan de Castillos, szło wszystko dość pomyślnie, a ludność powiększyła się do czterechset osób. Lecz po śmierci jego Anglicy, przeważający sześć razy liczbę Hiszpanów i Brazylian, poczęli ich uciskać tak, że wkońcu przyszło tam do otwartego starcia, skutkiem którego wypędzono ostatnich z wyspy.

W parę lat później, kiedy Ludwik 15-ty, król francuski, popierając strąconego z tronu Jakóba II Stuarta, zostawał w sporze Wilhelmem Orańskim, okręt wojenny francuski podpłynął przypadkiem ku mojej wyspie, a ujrzawszy na zamku powiewający sztandar angielski, zniszczył miasto i mieszkańców jego uprowadził w niewolę, albo rozproszył zupełnie.

Tak to osada, dla wzniesienia której poniosłem tyle trudów i wydatków, upadła jeszcze za mego życia. Byłem temu po części sam winien, należało bowiem poddać ją władzy korony angielskiej, która niezawodnie potrafiłaby ją zabezpieczyć od napadu nieprzyjaciela i osłonić swą potężną opieką, jak inne swoje kolonie.

Zasmucony tym wypadkiem, porzuciłem handel i pędzę życie w moim zameczku, położonym w pobliżu rodzinnego miasta. Najmilszem mojem zajęciem jest wyszukiwanie młodych ludzi, pragnących poświęcić się marynarce i dopomaganie im do wykształcenia się w tym zawodzie. Oprócz tego chętnie niosę pomoc młodzieży, uczęszczającej do szkół i uniwersytetów, pomny na to, ile to ja sam doznałem w mem życiu przykrości, właśnie z powodu braku gruntownego wykształcenia.

Gdy kiedyś spodoba się Bogu powołać mnie do siebie, przekażę cały mój majątek na wykształcenie dobrych rękodzielników i rolników, oraz na szerzenie pomiędzy nimi oświaty. Oświata bowiem jest najgłówniejszem źródłem potęgi każdego kraju. Tymczasem gotuję się do ostatniej podróży, której celem jest wieczność!..

KONIEC.

20,-